

JONATHAN CARROLL

GŁOS NASZEGO CIENIA

Przekład: Zuzanna Naczyńska

DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ 2000

Wydanie I w nowym tłumaczeniu (dodruk)

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
----------------------	---

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1	8
Rozdział 2	20
Rozdział 3	33
Rozdział 4	39

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 1	59
Rozdział 2	72
Rozdział 3	85
Rozdział 4	104
Rozdział 5	131
Rozdział 6	153
Rozdział 7	176
Rozdział 8	194

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział 1	211
Rozdział 2	237
Rozdział 3	258
Rozdział 4	268

Rozdział 5	283
Rozdział 6	295
Rozdział 7	297
EPILOG	314

DLA MOJEGO OJCA

— A zatem jest to twoje. Przyjmij to, proszę.

— Z przyjemnością, sir. Z największą przyjemnością.

Szkliste spojrzenie zatrzymuje cię
I idziesz wstrząśnięty dalej: czyżby to mnie dostrzeżono?
Czy tym razem zauważyli mnie takiego, jakim jestem,
Czy też odwlecze się to znowu?

John Ashbery,
Jak ktoś pijany załadowany na parowiec
(w przekładzie Piotra Sommera)

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Formori, Grecja.

W nocy często śnią mi się tu rodzice. Budzę się potem szczęśliwy i wypoczęty, bo są to dobre sny, choć nie dzieje się w nich nic szczególnie ważnego. Siedzimy latem na ganku i pijemy mrożoną herbatę, przyglądając się, jak nasz szkocki terier, Jordan, biega po podwórku. Rozmowa, którą prowadzimy, jest leniwa i banalna, nieistotna. Nie ma to jednak znaczenia — wszyscy bardzo się cieszymy, że tam jesteśmy, nawet mój brat, Ross.

Matka co pewien czas wybucha śmiechem albo, mówiąc coś, po swojemu kreśli rękami zamasytne łuki w powietrzu. Ojciec pali papierosa, jak zwykle zaciągając się głęboko. Kiedy byłem mały, spytałem go raz, czy dym dochodzi mu do nóg.

Jak bardzo wiele małżeństw, moi rodzice mieli krańcowo różne temperamenty. Matka pożerała życie tak szybko, jak tylko mogła, natomiast ojciec był spokojny i przewidywalny, zawsze stoicki w obliczu jej impulsywności i ekstrawagancji. Ból sprawiało mu chyba tylko to, że jego kochała uczuciem ciepłym i przyjacielskim, swoim dwóm synom zaś okazywała bezgraniczne uwielbienie. Chciała mieć pięcioro dzieci, ale pierwsze dwa porody były tak ciężkie, że lekarz powiedział jej, iż następnego może nie przeżyć. Wynagrodziła sobie rozczarowanie, przelewając miłość przeznaczoną dla tej piątki na nas dwóch.

Ojciec był weterynarzem; jest weterynarzem. Żeniąc się, miał intratną praktykę na Manhattanie, ale zrezygnował z niej tuż po narodzinach pierwszego syna, by przenieść się na prowincję. Chciał, aby jego dzieci miały ogródek do zabawy, w którym byłyby bezpieczne o każdej porze dnia.

Matka, jak to ona, rzuciła się na nowy dom i stoczyła z nim gwałtowną walkę. Malowanie wewnątrz i z zewnątrz, tapetowanie, wymiana podłóg, uszczelnianie rur... Gdy ogłosiła zawieszenie broni, był dostatecznie miły, przestronny, jasny, ciepły i bezpieczny, abyśmy mogli go uznać za prawdziwe rodzinne gniazdo.

To wszystko i dwóch małych chłopców na wychowaniu. Mówiła później, że właśnie w tych pierwszych latach czuła się najszczęśliwsza. W którąkolwiek stronę się zwróciła, była komuś lub czemuś potrzebna, i bardzo jej to służyło. Z jednym dzieckiem na rękę i drugim u spódnicy telefonowała, gotowała i doprowadzała nasz dom oraz nasze nowe życie do porządku. Zajęło jej to parę lat, ale gdy skończyła, wszystko chodziło jak w zegarku. Ross zaczynał szkołę, uczyła mnie czytać, każdy posiłek, który stawiała na stole, był smaczny i inny.

Kiedy uznała, że nasze podstawowe potrzeby zostały zaspokojone, kupiła nam psa.

Mój brat, Ross, szybko wyrósł na żywego, ciekawskiego chłopca. Mając pięć lat, był już strasznym rozrabiaką — z gatunku tych, którzy robią potworne rzeczy, ale zawsze im się wybacza, bo ludzie myślą, że stało się to przypadkiem albo było zabawne.

Jako mały brzdąc zwykł przetrząsać dom w poszukiwaniu przedmiotów, które mógłby rozebrać na kawałki. Z plasteliny, klocków Lego i „małych mechaników” wyrastał z ekspresową prędkością. Mimo zdecydowanego sprzeciwu ojca, na szóste urodziny matka kupiła mu zestaw do wypalania w drewnie. Przez kilka tygodni posługiwał się nim jak należy i wypalał swoje imię na każdym niepotrzebnym drewnianku, jakie udało mu się znaleźć, aż w końcu napisał ROSS LENNOX na poręczu dębowego fotela. Matka zbiła go i wyrzuciła wypalarkę. Taka właśnie była — bardzo stanowcza i przekonana, że dzieci trzeba kochać, ale nie da się ich wychować bez klapsów. Nie pomagały tłumaczenia ani przeprosiny — jeśli narozrabiałeś, obrywałeś. Pięć minut później znów cię tuliła i była gotowa zrobić dla ciebie wszystko. Musiałem pojąć to wcześniej, bo rzadko dostawałem lanie. Ale nie Ross; Boże, nie Ross. Wspominam o tym epizodzie dlatego, że właśnie wtedy moja matka i brat po raz pierwszy naprawdę się starli. Ross zniszczył fotel, matka go zbiła i wyrzuciła zabawkę do śmieci. Ross ją wyjął i kiedy matka wyszła z domu, starannie wypalił dziury w podszewkach jej nowych drogich botków.

Odkryła szkodę po godzinie i, ku mojemu przerażeniu, spytała, czy to ja. Ja! Byłem prostaczkiem, który obserwował tych dwoje tytanów z bojażnią i drzeniem. Nie, to nie

ja. Oczywiście wiedziała o tym, ale chciała to usłyszeć ode mnie, zanim przystąpi do działania. Kiedy wmaszerowała do pokoju Rossa, mój brat siedział na łóżku, spokojnie czytając komiks. Matka równie spokojnie podeszła do szafki i wzięła jego ulubiony model samolotu. Wyjęła wypalarkę z kieszeni fartucha, włączyła ją do kontaktu i na oczach zdumionego Rossa wypaliła dziury pośrodku obu skrzydeł. Mój brat wybuchnął płaczem, po pokoju rozszedł się okropny smród, czarne, wiotkie nitki zwęglonego plastyku poszybowały w powietrzu. Matka odstawiła samolot na szafkę i wyszła, zachowując tytuł mistrza.

Wówczas wygrała, lecz z wiekiem Ross stawał się coraz bardziej pomysłowy i przebiegły; ich pojedynek trwał, ale byli już równymi przeciwnikami.

Problem polegał na tym, że mój brat odziedziczył po matce witalność i apetyt na życie, ale zamiast jak ona łaknąć wszystkiego, wołał duże porcje określonych dań. Jeśli życie było wystawną ucztą, chciał tylko pasztetu, ale całego.

Potrafił manipulować ludźmi jak nikt inny. Ze mną, największym niedojdą na świecie, radził sobie bez trudu. Kiedy miałem sześć lat, w ciągu trzech letnich miesięcy zmusił mnie, abym: wybił okno w gabinecie ojca, rzucił kamieniem w ul (podczas gdy

stał w drzwiach domu i patrzył), oddawał mu kieszonkowe w zamian za ochronę przed Bogiem, który, jak powiedział, w każdej chwili może mnie wtrącić w ogień piekielny. Ojciec miał stare wydanie *Piekiła* z ilustracjami Dorego i Ross pokazał mi je któregoś popołudnia, bym wiedział, co mnie czeka, jeśli przestanę płacić. Obrazki były tak przerażające i tak fascynujące, że przez kilka następnych tygodni, dopóki czar nie przysł, sam sięgałem po książkę i ze zdumieniem patrzyłem, czego to udało mi się uniknąć dzięki pomocy brata.

Byłem, rzecz jasna, jego główną ofiarą, ale umiał zarzucić lasso na większość ludzi. Potrafił urobić matkę, aby pozwoliła mu nie iść do szkoły, i ojca, aby zabrał nas na mecz Jankesów czy do kina samochodowego. Naturalnie od czasu do czasu przyłapywano go na jakiejś psocie i dostawał lanie lub inną karę, ale w porównaniu z innymi dziećmi bilans („porażek i zwycięstw”, jak go nazywał) miał zdumiewający.

Ja natomiast byłem archaniołem Gabrielem. Myślę, że słałem łóżko, odkąd tylko nauczyłem się chodzić, a w moich nie kończących się wieczornych modlitwach prosiłem Boga, aby miał w opiece wszystkich znanych mi ludzi, łącznie z trupą cyrku Barnuma i Bailey'a.

Miałem chomika w srebrzystej klatce, dywanik z Samotnym Jeźdźcem i proporczyki college'ów na ścianach. Starannie temperowałem ołówki i ustawiałem książeczki z serii „Mali detektywi” w porządku alfabetycznym. Jedną z ulubionych reakcji Rossa na to wszystko był „nalot bombowy”. Wpadał do mojego pokoju, rozpościarał ręce jak mógł najszerzej i z najwyższą prędkością walił się na moje łóżko. Drewniane poprzeczki trzeszczały, czasem któraś pękała, a poduszka wylatywała wysoko do góry. Ja jęczałem, on piszczał z uciechy. Ale to, iż w ogóle raczył mnie odwiedzić, sprawiało mi taką przyjemność, że nigdy nie narzekałem zbyt głośno. Raz położył mi na poduszce na wpeł żywego kota w małej baseballowej czapeczce i nie powiedziałem o tym nikomu. Starłem się udawać, że to nasz wspólny sekret.

Jego pokój stanowił przeciwieństwo mojego, ale był dziesięć razy bardziej cudowny, muszę to przyznać. Miał tam zawsze nieopisany bałagan, buty trzymał na biurku, a radio pod materacem. (Matka toczyła z nim o to wojny światowe, ale rzadko kończyły się one porządkami, mimo jej darcia włosów z głowy i pogróżek.) Najbardziej jednak zdumiewała różnorodność przedmiotów, które zgromadził.

Nie dla niego proporczyki. Zdobył olbrzymi plakat do filmu *Godzilla*, więc jedną ścianę pokrywały płomienie, błyskawice i krew. Na drugiej wisiała postrzępiona albańska flaga, którą ojciec przywiózł z wojny. Na półkach stały pełne roczniki pisma „Słynne Potwory”, wyliniały wypchany skunks, wszystkie książki o czarnoksiężniku z Oz i kilka tych starych żeliwnych skarbonek, jakich pełno dzisiaj w sklepach z antykami.

Uwielbiał chodzić na miejskie wysypisko i całymi godzinami grzebał w śmieciach długim metalowy prętem. Znalazł tam porcelanową tabakierkę, dworcowy zegar bez wskazówek, książkę o papierowych lalkach wydaną w 1873 roku.

Pamiętam to tak dokładnie, bo jakiś czas temu obudziłem się w środku nocy po jednym z tych niesamowicie wyraźnych snów; tych, w których wszystko oblane jest tak zimnym i czystym światłem, że po przebudzeniu czujesz się dziwnie w realnym świecie. W każdym razie, śnił mi się pokój Rossa i kiedy oprzytomniałem, chwyciłem papier i ołówek i zrobiłem listę przedmiotów, które zobaczyłem.

Jeśli pokój chłopca jest nieostrym obrazem mężczyzny, na jakiego ów chłopiec wyrośnie, Ross byłby... Sprzedawcą antyków? Ekscentrykiem? Trudno przewidzieć, ale na pewno kimś wyjątkowym. Najlepiej pamiętam leżenie na jego łóżku (kiedy raczył

mnie wpuścić — musiałem pukać, zanim wszedłem) i błędzenie wzrokiem po półkach, ścianach, rzeczach. Miałem wówczas uczucie, że przebywam w krainie albo na planecie znajdującej się nieprawdopodobnie daleko od naszego domu, od mojego życia. A gdy obejrzałem już wszystko po raz setny, patrzyłem na Rossa i byłem szczęśliwy — mimo jego obcości, dziwności i okrucieństwa — że jest moim bratem, że dzielę z nim dom, nazwisko i krew.

Jego gust zmieniał się z wiekiem, lecz znaczyło to tylko tyle, że zbierał coraz bardziej osobliwe przedmioty. Przez jakiś czas miał obsesję na punkcie starych maszyn do pisania. Na jego biurku stały zawsze trzy albo cztery takie graty, rozebrane na tysiąc kawałków. Wstąpił do klubu kolekcjonerów i miesiącami pisał i dostawał setki listów. Wymieniał części i fachowe rady. Coraz to dzwonił do nas ktoś z Perry w Oklahomie albo z Hickory w Karolinie Północnej i prosił go do telefonu dziwnym, jakby omszałym głosem. Ross rozmawiał z tymi kolegami-fanatykami, zachowując spokój i pewność siebie czterdziestoletniego mistrza rzemiosła.

Z maszyn do pisania przerzucił się na stare latawce, po nich były psy rasy shar-pei, a zaraz potem Edgar Cayce i różokrzyżowcy.

Przedstawiam go jako geniusza w powijakach, i w pewnym sensie nim był, ale był też strasznym mrukiem. Stale zamykał się w swym pokoju na klucz, przez co rodzice podejrzewali go o robienie „różnych rzeczy”. Tłumaczyłem im, że zamyka się z czystej przekory, ale nie chcieli mnie słuchać.

Dwa albo trzy razy w tygodniu, z rozmaitych powodów, wdawał się w karczemne awantury z matką. Przy jej wybuchowym usposobieniu mógł ją rozzłościć bardzo łatwo (jedząc z otwartymi ustami, nie wycierając butów. . .), ale to mu nie wystarczało. Kiedy był w nastroju, chciał, żeby się pieniała, kipiała i wpadała na meble, dosłownie zaślepiona wściekłością.

Jak rozumiem, nie ma nic niezwykłego w tym, że rodzice i dorastające dzieci skaczą sobie do gardeł, ale w naszej rodzinie wyglądało to tak, że w miarę jak matka traciła przewagę nad Rossem, stawała się coraz bardziej nieufna wobec nas obu. Byłem tchórzem i brałem nogi za pas, ilekroć czułem, że wybuch jest bliski, ale nie zawsze udawało mi się uciec. Płomień jej gniewu często mnie parzył i nie mieściło mi się w głowie, jak świat może być tak niesprawiedliwy. Wiedziałem, że jestem normalnym, szczęśliwym małym chłopcem. Wiedziałem też, że mój brat nim nie jest. Wiedziałem, że doprowadza

matkę do szału, i rozumiałem, że musi ponosić tego konsekwencje. Nie mogłem jednak pojąć, dlaczego jestem wciągany w ich często brutalne starcia, a potem bity, wyzywany lub karany w inny sposób bez żadnego powodu.

Czy okaleczyło mnie to na całe życie? Czy nienawidziłem wszystkich matek, które od tamtej pory spotkałem? Wcale nie. Zachowanie Rossa deprymowało mnie i przerażało, ale byłem też najbardziej chłonnym widzem wśród jego publiczności. Mimo okazjonalnych klapsów nie wyprowadziłbym się z tej krainy huraganów za nic w świecie.

Wkrótce Ross zaczął kraść wszystko, co wpadło mu w ręce. Był pierwszorzędnym złodziejem, głównie dzięki swemu tupetowi. Ciągłe zatrzymywano go w sklepach i pytano, gdzie idzie z tym zegarkiem (książką, zapalniczką. . .). Odpowiadał, przybrawszy niewinną, zdziwioną minę, że chciał go tylko pokazać matce. Zawstydzony sprzedawca przeproszał Rossa i pięć minut później mój brat wychodził ze sklepu z upatrzoną rzeczą w kieszeni.

Raz pokłócił się z matką nazajutrz po Bożym Narodzeniu i oświadczył, że ukradł wszystkie prezenty, które nam dał. Matka eksplodowała, mój spokojny ojciec — za-

smucony, ale już do tego nawykły — spytał tylko, z którego sklepu pochodzą. Ross nie chciał powiedzieć i karuzela zaczęła się kręcić od nowa.

Pięć dni później rodzice poszli na sylwestra i zostawili mnie pod opieką Rossa. Ledwo zamknęły się za nimi drzwi, kazał mi zjechać z zamkniętymi oczami po poręczy schodów. W połowie drogi poczułem, że coś okropnie parzy mi wierzch dłoni. Wyrzuciłem ramiona w górę i wytrąciłem mu papierosa, którym mnie przypalał, ale straciłem równowagę i spadłem. Wylądowałem na ręce, która natychmiast pękła w dwóch miejscach. Jedyne, co pamiętam oprócz bólu, to usta Rossa tuż obok mojej twarzy, mówiące mi raz po raz, że mam trzymać głowę na kłódce.

Czy byłem głupi? Tak. Czy powinienem był narobić wrzasku? Tak. Czy chciałem, żeby mój brat choć odrobinę mnie kochał? Tak.

Rozdział 2

Kiedy Ross skończył piętnaście lat, zmienił styl i został chuliganem: skórzana kurtka z tysiącem zamków błyskawicznych i chromowanych ćwieków, włoski nóż sprężynowy z kościaną rękojeścią, tuba brylantyny na półce w łazience.

Zadawał się z bandą tępaków, którzy zamiast rozmawiać, palili marlboro i pluli na ziemię. Przywódcą tej paczki był niejaki Bobby Hanley, chłopak niski i chudy jak samochodowa antena, mający paskudną reputację. Mówiono, że mógłby z nim zadrzeć tylko kompletny wariat.

Po raz pierwszy zobaczyłem Bobby'ego na meczu koszykówki w liceum. Miałem wtedy jedenaście lat i chodziłem do szkoły podstawowej, więc nie wiedziałem, kim jest. Przyszedłem na mecz z Rossem (rodzice kazali mu mnie zabrać), który natychmiast gdzieś przepadł. Rozglądałem się gorączkowo za kimś, koło kogo mógłbym usiąść, ale na sali byli sami nieznajomi i w końcu ulokowałem się przy głównym wejściu. Kilka minut po rozpoczęciu meczu stanął obok mnie stary woźny, który, jak wiedziałem, miał na imię Vince. Trzymał w ręku szczotkę na długim drewnianym kiju i za każdym razem, gdy nasza drużyna zdobyła kosza, stukał nią o podłogę. Zaczęliśmy ze sobą rozmawiać i poczułem się znacznie pewniej. Pomyślałem nawet, jak fajnie będzie się uczyć w liceum i móc przychodzić na wszystkie te mecze z przyjaciółmi.

Na kilka minut przed końcem pierwszej kwarty drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wparadowała grupa chuliganów. Vince mruknął coś o „nieznośnych gnojkach”, a ja, nie wiedząc, o co chodzi, skinąłem głową.

Podeszli do samej linii autowej i zaczęli się rozglądać po widowni, nie zwracając najmniejszej uwagi na grę. Jeden z nich wyjął papierosa, przypalił go i rzucił zapalną na podłogę. Vince zbliżył się do niego i powiedział, że w sali gimnastycznej nie wolno

palić. Bobby Hanley nawet nie zaszczylił go spojrzeniem. Zaciągnął się powoli i głęboko i odburknął:

— Spadaj na bambus, dziadku.

Nie wierzyłem własnym uszom! Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że Vince tylko wymamrotał coś pod nosem i wrócił do drzwi.

Kilku koleżków Hanleya zachichotało, ale żaden nie miał dość tupetu, by również zapalić. Stojący obok mnie Vince zaklął i dalej przesunął dłońmi po trzonku szczotki. Nie wiedziałem, co robić. Dlaczego uszło to temu chłopakowi na sucho? Czyżby miał jakąś tajemniczą władzę?

Kwarta się skończyła, gdy Bobby wypalił papierosa do brązowego filtra. Rzucił niedopałek na drewnianą podłogę i przydeptał go obcasem. Patrząc, jak jego stopa porusza się w przód i w tył, powiedziałem, o wiele za głośno:

— Co za kretyn.

— Hej, Bobby, ten pojar nazwał cię kretynem.

Zamarłem.

— Który pojar?

— Ten przy drzwiach. W pomarańczowym swetrze.

— Nazwał mnie kretynem?

Spuściłem głowę. Chciałem zamknąć oczy, ale nie zrobiłem tego. Widziałem tułów i nogi Hanleya, gdy przepychał się przez swoją świtę, idąc ku mnie. Chwycił moje ucho i pociągnął je do góry.

— Nazwałeś mnie kretynem?

— Zostaw małego w spokoju, Hanley.

Nie puszczając mnie, Bobby powiedział woźnemu, żeby się odpieprzył.

— Spytałem cię o coś, łajzo. Jestem kretynem?

— W sali gimnastycznej nie wolno palić. Au!

— Kto tak powiedział, łajzo? Kto mi zabroni?

Cisza. Wokół nas kręcili się ludzie. Umierałem z przerażenia i wstydu. Nie miałem „jaj”. Cały świat patrzył na mnie. Nikt mnie nie znał, ale to było bez znaczenia. Wszyscy widzieli, że jestem cykorem. Hanley powoli urywał mi ucho. Byłem przekonany, że słyszę, jak mięśnie odchodzą od kości, pękają miękkie błony i drą się cienkie jak pajęczyna włosy. . . Jego kumple otoczyli nas półkolem, zachwyceni, że coś się dzieje.

— Posłuchaj no, łajzo.

Dał krok do przodu i wbił obcas w mojego adidasa; ból przeszył całe moje ciało. Zawyłem i wybuchnąłem płaczem.

— Łajza płacze. Dlaczego płaczesz?

Gdzie jest Vince? Gdzie jest mój ojciec? Mój brat? Mój brat — ha! Wiedziałem, że gdyby Ross był w pobliżu, umarłby ze śmiechu.

— Hej, Bobby, Madeleine czeka na ciebie.

Pierwszy raz podniosłem wzrok na Bobby'ego. Nie sądziłem, że jest taki niski. Kim była Madeleine? Czy pójdzie do niej?

— Posłuchaj, łajzo, żebym cię tu więcej nie widział, jasne? Bo wydlubię ci te pieprzone oczy tym.

Wyjął z kieszeni otwieracz do butelek i mocno przycisnął mi go do nosa. Pamiętam, że był ciepły. Skinąłem głową najlepiej, jak mogłem, i wtedy mnie odepchnął. Wyrznąłem ciemieniem w ławkę i na chwilę straciłem przytomność. Kiedy ją odzyskałem, Hanleya i jego kumpli już nie było.

W następnych miesiącach przemykałem się po szkole jak cień. Sprawdzałem każdy korytarz, każdą salę, każdą łazienkę, na wypadek, gdyby się tam na mnie zaczął. Wiedziałem, że jest mało prawdopodobne, aby kiedykolwiek przyszedł do podstawówki, ale nie chciałem kusić losu.

Nikomui nie powiedziałem o tym zajściu, a przede wszystkim nie powiedziałem Rossowi. Czasami śniło mi się w nocy, że biegnę co sił w nogach po miękkiej gumowej drodze, uciekając przed olbrzymim, roztańczonym otwieraczem do butelek.

Nic się nigdy nie stało, kiedy więc rok później Ross skumał się z Bobbym, widząc ich po raz pierwszy razem, poczułem tylko lekkie ukłucie strachu.

Ostateczną zniewagą było to, że kiedy Bobby pierwszy raz do nas przyszedł, w ogóle mnie nie poznał. Gdy Ross powiedział tytułem prezentacji: „Ten gówniarz to mój młodszy brat”, Bobby uśmiechnął się tylko i mruknął: „Jak się masz, koleś?”

Jak się miałem? Chciałem mu powiedzieć. . . Nie, chciałem zażądać, aby mnie rozpoznał. Mnie, łajzę, któremu napędził stracha na długie miesiące. Nie zrobiłem tego jednak. Dopiero później zdobyłem się na odwagę, aby mu przypomnieć nasze pierwsze

spotkanie. Strzelił palcami, jakby zapomniał kupić sznurowadła. „Tak, racja, wydawało mi się, że skądś cię znam”. I to wszystko.

Naturalnie, im dłużej przyjaźnił się z Rossem, tym bardziej go lubiłem. Był bardzo zabawny i, jak mój brat, miał pewnego rodzaju wrażliwość, która pozwalała mu natychmiast dostrzegać mocne i słabe strony danej osoby. W dziewięciu przypadkach na dziesięć posługiwał się tą umiejętnością dla własnej korzyści, ale od czasu do czasu robił coś tak niesamowicie miłego, że zbijało cię z nóg.

Tuż przed moimi trzynastymi urodzinami byliśmy we trzech w sklepie papierniczym i z rozmarzeniem powiedziałem, że bardzo chciałbym dostać model lotniskowca Forrestal, który tam mieli. Gdy nadszedł mój wielki dzień, Bobby zjawił się u nas i wręczył mi ten właśnie model, zapakowany w ozdobny papier. „Kurde, stary, próbowałeś kiedyś rąbnąć coś tak dużego? To kurewsko trudne!” Złożyłem ten model staranniejsz niż jakikolwiek inny i pokazałem mu go dopiero wtedy, gdy był perfekcyjnie pomalowany i wypolerowany. Skinął głową z uznaniem i powiedział Rossowi, że znam się na rzeczy. Od Rossa dostałem tego roku małą gumową lalkę w kostiumie kąpielowym, z piersiami, które wyskakiwały ze stanika, gdy naciśnąłeś brzuch.

Sądę, że Hanley polubił mojego brata głównie dlatego, że Ross był bardzo bystry. Nauka przychodziła mu łatwo i często odrabiał za Bobby'ego lekcje, chociaż był klasę niżej. Nie chcę przez to powiedzieć, że był to jedyny powód ich przyjaźni. Kiedy mój brat miał ochotę, potrafił nie tylko owinąć sobie wszystkich wokół palca, lecz także rozweselić największego ponuraka. Nie był żartownisiem, ale wśród licznych talentów posiadał znakomite wycucie cudzych gustów, jak również umiejętność rozśmieszania ludzi do łez. Ponieważ Hanley był niekwestionowanym królem szkoły, Ross upatrzył dla siebie inną rolę. Postanowił zostać królewskim błaznem. Nie był twardy jak inni członkowie gangu, ale był piekielnie sprytny! Wkrótce milion łobuzów w mieście chciało stłuc Rossa na miazgę, lecz zostawiali go w spokoju, gdyż wiedzieli, że Bobby wziął go pod swoje niebezpieczne skrzydła.

Kto wie, jak potoczyłyby się ich losy w innym środowisku. Obaj, Bobby i Ross, mieli *élan* i dar czarowania; tę wyjątkową, rzadką zdolność przeistaczania okrucieństwa w różowe chusteczki, a dobroci w nicość.

Spędzali razem coraz więcej czasu, ale moi rodzice nie mieli nic przeciwko temu, ponieważ kiedy Bobby przychodził do nas na kolację, był cichy i uprzejmy. Wydawało

się też, że ma dobry wpływ na Rossa. W domu mój brat nie zachowywał się nawet w połowie tak podle i samolubnie jak dawniej. Nie stawał wprawdzie na głowie, aby być miłym czy uczynnym, ale pewne przebłyski świadczyły o tym, że minął zakręt i zmierza w jakimś dobrym kierunku.

W przeddzień śmierci Rossa Bobby nocował u nas. Ross był bardzo podniecony, ponieważ kilka dni wcześniej dostał na urodziny strzelbę kaliber dwanaście. Ojciec uwielbiał strzelać do rzutków i obiecał nauczyć nas tego sportu, gdy skończymy szesnaście lat.

Bobby miał własne strzelby, ale ta była prawdziwym cackiem i umiał to docenić. Tego wieczoru pozwolili, bym został z nimi w pokoju, nawet kiedy Ross wyciągnął nowe, oczywiście kradzione, świerszczyki. Wypalili prawie całą paczkę papierosów, rozmawiając o dziewczynach ze szkoły, różnych markach samochodów i o tym, co Bobby będzie robił po maturze.

Ross pozwolił mi też spać na rozkładanym fotelu. Kilka godzin później gwałtownie się obudziłem, czując na twarzy coś gęstego, ciepłego i lepkiego. Stali obaj nad moim posłaniem i w nikłym świetle dostrzegłem, że Ross polewa mnie czymś z butelki. Gdy

otworzyłem usta, by zaprotestować, poczułem ciężką słodycz syropu klonowego. Byłem już cały nim oblany. Mogłem tylko wstać i obijając się o meble, wyjść z pokoju, odprowadzany ich radosnym śmiechem. Wyplukałem górę od pizamy w umywalce najlepiej jak potrafiłem, żeby matka niczego nie spostrzegła. Później wziąłem po ciemku długi prysznic.

Nazajutrz obudziłem się rozpalony i nieswój. Silne poranne słońce lało się przez okna, grzejąc mnie niczym dodatkowa, niepotrzebna kołdra.

Umywszy zęby, poszedłem pod pokój Rossa i zapukałem. Nikt mi nie odpowiedział, więc ostrożnie pchnąłem drzwi. Podobnie jak ja, Ross miał drewniane piętrowe łóżko. Przechylał się teraz przez krawędź górnego piętra, żywo rozmawiając z Bobbym, który leżał na dolnym z rękami pod głową.

— Czego chcesz, palancie? Jeszcze syropu?

Bobby przegonił muchę, która usiadła mu na nosie, i ziewnął. Wczorajszy żart był dobry wczoraj, teraz przyszła pora na coś nowego.

— Wiesz, Ross, gdybyś wyniósł tę strzelbę z domu, moglibyśmy pójść nad rzekę i stuknąć parę mew. Nienawidzę tych pieprzonych ptaków.

Mieszkaliśmy pół mili od rzeki. Chodziłeś tam latem, kiedy nie miałeś nic lepszego do roboty albo jeśli udało ci się namówić jakąś dziewczynę na wspólne „pływanie”. Jako że woda była aż brązowa od zanieczyszczeń, nigdy naprawdę nie pływaliście — jak tylko rozłożyłeś ręczniki na brzegu, zaczynaliście się całować.

W drodze nad rzekę trzeba było przejść przez tory kolejowe. Robiłeś to ostrożnie, dając absurdalnie wysokie kroki nad wszystkim, co wyglądało choć trochę podejrzanie: gdzieś tam na dole był t r z e c i t o r i wiedziałeś, że jeśli go choćby muśniesz, zginiesz na miejscu, porażony prądem.

Bobby i Ross chodzili z bronią na tory już wcześniej. Ross jako jedyny „podwładny” Hanleya miał odwagę strzelać do przejeżdżających wagonów z bydłem z jednej z jego wielu dubeltówek. Nigdy ich na tym nie przyłapano.

Moi rodzice poszli tego ranka na zakupy, nie było więc kłopotu z wyniesieniem strzelby z domu. Ross włożył ją z powrotem do kartonowego pudełka i to wystarczyło za kamuflaż. Pozwolili mi pójść ze sobą, pod groźbą, że jeśli coś komuś powiem, usmażą mnie w gorącym oleju.

Kiedy doszliśmy do torów, Bobby kazał Rossowi wyjąć strzelbę — miał ochotę ją wypróbować. Widziałem, że Ross chciał strzelać pierwszy; przez jego twarz przemknął cień irytacji. Podał jednak strzelbę Bobby’emu, razem z garścią czerwono-żółtych naboarów, które przed wyjściem z domu wepchnął do tylnej kieszeni spodni. Zostało mu tylko puste pudełko; rzucił je mnie.

Słońce mocno przygrzewało i zacząłem ściągać koszulkę. Kiedy miałem ją na głowie, usłyszałem *paf* pierwszego wystrzału i zaraz potem brzęk tłuczonego szkła.

— Rany kota, Bobby! Myślisz, że trafiłeś w stację?

Ross miał piskliwy, przestraszony głos.

— Zabij mnie, kurwa, nie wiem.

Bobby załadował drugi nabój i strzelił w innym kierunku. Zakryłem uszy dłońmi i wbiłem wzrok w ziemię. Już umierałem ze strachu, a to był dopiero początek.

— Ross, bracie, to cudeńko nie strzelba. Już to widzę. Chodźmy dalej.

Szliśmy ostrożnie, w odległości czterech czy pięciu metrów od siebie. Bobby, Ross, potem ja. To bardzo ważne, jak za chwilę zobaczycie. Bobby trzymał strzelbę przy boku, lufą do dołu. Widziałem ją kątem oka. Była matowoniebieska, a tory pod naszymi

stopami srebrne i tak błyszczące od słońca, że zmrużyłem oczy. Wiele dałbym za to, żeby być już w domu. Co zamierzali robić dalej? Co będzie, jeśli przyjdzie im ochota na coś niepotrzebnego i złego, jak strzelanie do bydła jadącego powoli do rzeźni w tych topornych czerwonobrazowych wagonach? Nienawidziłem strzelby, nienawidziłem mojego strachu, nienawidziłem mojego brata i jego przyjaciela. Ale za nic w świecie nie mogłem się do tego przyznać.

Szliśmy w tym samym tempie, podnosiliśmy i opuszczaliśmy nogi w tym samym czasie. Nagle Ross potknął się o coś i runął do przodu. Rozległ się gniewny warkot, jakby silnika łodzi, i chrzęst żwiru uciekającego spod stopy mojego brata. Jego bark dotknął trzeciego toru, głowa okręciła się na szyi. Usłyszałem głośny szum, ostry syk i trzask. Twarz Rossa wykrzywiła się, wykrzywiła i wykrzywiła, aż zastygła w nieprawdopodobnym, nieodwracalnym uśmiechu.

Rozdział 3

Dlaczego kłamię? Dlaczego pomijam tak istotną część tej historii? Jakże ma to teraz znaczenie? W porządku, zanim przejdę dalej, oto fragment układanki, który chowałem za plecami.

Bobby miał starszą siostrę imieniem Lee. W wieku lat osiemnastu była najbardziej zachwycającą dziewczyną, jaką mógłbyś sobie wyobrazić. Skończyła szkołę na kilka lat przed tym, jak Ross i Bobby zostali przyjaciółmi, ale była tak niesamowita, że ludzie wciąż o niej mówili.

Przewodziła dziewczęcej drużynie dopingującej, należała do samorządu i do kółka kulinarnego. Wiedziałem to wszystko, ponieważ Ross miał szkolną kronikę z roku, w którym zdawała maturę, i jak to bywa w przypadku najładniejszej dziewczyny w szkole, można ją było zobaczyć na co drugiej stronie: robiącą gwiazdę na boisku, koronowaną na królową balu maturalnego, uśmiechającą się promiennie zza naręcza książek. Ile razy pożerałem te zdjęcia wzrokiem? Setki? Tysiące? Dużo.

Dopiero później zrozumiałem, że jej specjalna aura brała się po części z czystej zmysłowości. Nie wiedziałem, czy Lee jest „łatwa”, bo moim jedynym źródłem informacji na ten temat był Ross, który twierdził, że miał ją milion razy, ale nawet najbardziej niewinne z tych zdjęć roztaczały aromat seksu równie silny jak zapach świeżego chleba.

Kiedy skończyłem dwanaście lat, Ross w prezencie urodzinowym nauczył mnie sztuki masturbacji. Załącznikiem do prezentu był stary numer pisma „Gent”, ale od początku mogłem szczytować tylko wtedy, gdy myślałem o znanych mi kobietach. Balonowe biusty i ekstatyczne grymasy modelek bardziej mnie peszyły niż pobudzały. Moim ideałem seksualnej podniety był widok kawałeczka majtek Lee Hanley podska-
kującej do góry na zdjęciu z meczu futbolowego.

Pozwólcie mi jednak powiedzieć, że zakochałem się w Lee na długo przed tym, jak nauczyłem się zabawiać ze sobą, toteż kiedy po raz pierwszy wykorzystałem ją w moich fantazjach, czułem się parszywie. Uważałem — choć nie zamieniłem z nią ani jednego słowa — że w pewnym sensie ją zawiodłem. Ale wyrzuty sumienia szybko mi przeszły, bo mój dwunastoletni penis palił się do roboty, i dalej gwałciłem jej zdjęcie wzrokiem, a siebie drżącą dłonią.

Czasami kompletnie mnie ponosiło i czując, że lecę już w stratosferę, zaczynałem powtarzać jej imię. *Lee Hanley! Och! Leeeee!* Chociaż starałem się oddawać tej przyjemności tylko wtedy, gdy byłem pewien, że jestem sam w domu, pewnego popołudnia nie sprawdziłem tego i ów błąd miał katastrofalne skutki.

Ze spodenkami opuszczonymi do kolan i szkolną kroniką opartą wygodnie na piersi, zacząłem śpiewać mój hymn do Lee, gdy nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Ross.

— P r z y ł a p a ł e m c i ę! Lee Hanley? Brandzlujesz się przy Lee Hanley? Rany, niech no tylko Bobby to usłyszy! Zrobi z ciebie hamburgera. Hej, co tam masz? To moja kronika! Dawaj! — Wyrwał mi ją z ręki i spojrzał na zdjęcie. — Jezu, niech no

tylko powiem Bobby'emu. Cholera, nie chciałbym być na twoim miejscu, stary. — Jego twarz promieniała triumfem.

To zdarzenie dało początek szyderstwom i torturom, które trwały ponad rok. Gdy tego wieczoru podniosłem kołdrę, zobaczyłem przyklejone do poduszki zdjęcie: zmasakrowane zwłoki na polu bitwy i jakiś żołnierz patrzący na nie obojętnie. Podpis, wykonany krwistoczerwonym atramentem, informował, że żołnierz to Bobby. Trupem byłem ja.

Doznałem mnóstwa podobnych przykrości, ale najbardziej przerażające były chwile, gdy Ross rzucał od niechcienia do Bobby'ego: „Wiesz, co robi mój brat? Zaraz ci powiem, jaki to świntuch!” Patrząc prosto na mnie, uśmiechnięty od ucha do ucha, zawieszał głos na całe tysiąclecie, a ja marzyłem o tym, żeby się znaleźć na Sumatrze albo w grobie, albo i tu, i tu. W końcu Ross mówił: „Smarkacz dłubie w nosie” albo coś równie paskudnego i prawdziwego, ale zupełnie niewinnego w porównaniu z „tym”, i znów mogłem normalnie oddychać.

Potem przez jakiś czas był spokój i zaczynałem mieć nadzieję, że to koniec. Ale temat regularnie powracał, spadając na mnie nagle niczym drapieżny ptak, i znów wilem

się w męce. Kiedy byliśmy sami, Ross mówił mi, że tylko degenerat wali konia, myśląc o s i o s t r z e kolegi. Był równie przekonujący jak gniewny, nielitościwy ksiądz.

Zapewne właśnie z powodu tych męczarni majtki Lee Hanley stały się dla mnie najseksowniejszą rzeczą na świecie i jedynym tematem mych fantazji. Onanizowałem się o wszystkich porach dnia; moim największym wyczynem było spuszczenie się w spodnie na szkolnej akademii, podczas gdy Indianin z plemienia Czirokezów dawał pokaz tańców wojennych.

Byłem głupi. Oddawałem Rossowi kieszonkowe, załatwiałem jego sprawy, przynosiłem mu kanapki i tak dalej na każde skinienie. Przyszło mi nawet do głowy, że to, co robię, jest w pewnym sensie komplementem dla Lee, ale kiedy spróbowałem mu to wyjaśnić, zamknął oczy i machnął na mnie ręką jak na natrętą muchę.

Oto, w jaki sposób naprawdę zginął. Kiedy przechodziliśmy przez tory, Ross był wściekły na Bobby'ego, że zabrał mu strzelbę, i w połowie drogi na drugi peron nie-dbałym tonem spytał przyjaciela, ile razy w tygodniu się brandzluje.

— Nie wiem. Chyba codziennie. To znaczy, jeśli nie robię tego z jakąś laską. A ty? Głos mojego brata minimalnie się podniósł.

— Mniej więcej tak samo. Myślisz czasem o kimś, kiedy to robisz?

Moja twarz stężała i niemal przestałem się poruszać.

— Jasne, a co myślałeś? Że liczę do stu? Co z tobą, Ross? Zamieniasz się w zboka?

— Nie, tak się tylko zastanawiam. Wiesz, o kim myśli Joe, jak to robi?

— Joey? Grzejesz już gruchę, mały? Wstydz się! Wiesz, ile ja miałem lat, kiedy zacząłem to robić? Ze trzy! — Roześmiał się.

Wbiłem wzrok w ziemię. Wiedziałem, co zaraz nastąpi. Ross zamierzał odsłonić mój najmroczniejszy sekret i nie mogłem temu zapobiec.

— Śmiało, przyznaj się. O kim myślisz, Joe? O Suzanne Pleshette?

Zanim Ross zdążył odpowiedzieć, rozległ się przeraźliwy gwizd nadjeżdżającego pociągu. I wtedy zrobiłem coś, czego nie zrobiłem nigdy dotąd. Krzyżąc „nie!”, popchnąłem Rossa z całej siły. Przysięgam na Boga, tak bardzo się bałem tego, co chciał powiedzieć, że zupełnie zapomniałem, gdzie jesteśmy.

— Rany kota, Ross, jedzie pociąg!

Nie patrząc w naszą stronę, Bobby rzucił się do ucieczki. Mój brat upadł. Ja stałem nieruchomo i patrzyłem. Właśnie tak.

Rozdział 4

To, co się stało, tak mną wstrząsnęło, że przez kilka dni nie mogłem mówić. A kiedy szok minął, bałem się cokolwiek powiedzieć.

Na szczęście zdaniem wszystkich (w tym Bobby'ego, który zeznał, że Ross się potknął, bo przestraszył go gwizd pociągu) był to po prostu tragiczny wypadek.

Moja matka zwariowała. Jakiś tydzień po pogrzebie stanęła u stóp schodów i zaczęła wrzeszczeć do mojego zmarłego brata, żeby wstawał, bo spóźni się do szkoły. Trzeba ją było oddać do zakładu. Ja dostałem trzęsionki i musiałem brać silne środki uspokajające, po których czułem się tak, jakbym szybował w błękitnej przestrzeni.

Kiedy lekarze postanowili zatrzymać matkę w szpitalu, ojciec zabrał mnie na kolację. Żaden z nas nie mógł jeść. W połowie posiłku ojciec odsunął talerze i ujął moje dłonie.

— Joe, synu, przez jakiś czas będziemy sami i czekają nas trudne chwile.

Skinąłem głową. Po raz pierwszy byłem bliski powiedzenia mu prawdy, całej prawdy. Wtedy spojrzał na mnie i zobaczyłem na jego twarzy wielkie, przejrzyste łzy.

— Płacę, Joe, z powodu twojego brata, i dlatego, że już bardzo tęsknię za twoją mamą. Czuję się tak, jakbym stracił obie ręce. Mówię ci o tym, ponieważ myślę, że potrafisz mnie zrozumieć, i ponieważ będę potrzebował twojej pomocy, aby być silnym. Ja pomogę tobie, a ty mnie, dobrze? Jesteś najlepszym synem, jakiego można mieć, i od tej chwili nie pozwolimy, żeby spotkało nas coś złego. Nie pozwolimy! Prawda?

Po śmierci Rossa widziałem Bobby'ego tylko dwa czy trzy razy. Skończywszy szkołę, zaciągnął się do piechoty morskiej. Pod koniec czerwca wyjechał z miasta, ale docierały do nas wieści o nim. Podobno okazał się bardzo dobrym żołnierzem. Odsłużył w wojsku cztery lata. Kiedy wyszedł do cywila, byłem na pierwszym roku college'u.

Jako student drugiego roku przyjechałem do domu na jakiś długi weekend. W sobotę wieczorem paskudnie pokłóciłem się z ojcem na temat mojej „przyszłości”. Wyszedłem wściekły z domu i poszedłem do baru, żeby utopić mój *Angst* w piwie.

Kiedy piłem trzecie z kolei, ktoś usiadł obok mnie przy kontuarze i dotknął mojego łokcia. Patrzyłem w telewizor i nie zareagowałem. Natręt dotknął mnie ponownie, więc, zirytowany, obejrzałem się. To był Bobby. Miał bardzo długie włosy i tatarskie wąsy, zwisające poniżej kwadratowego podbródka. Uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu.

— Mój Boże, Bobby!

— Jak się masz, studenciaku?

Nadal się uśmiechał i uprzytomniłem sobie, z niejaką ulgą, że jest solidnie zaćpany.

— Jak tam college, Joe?

— Świetnie, Bobby. A jak ty się masz?

— Dobrze, stary, pierwsza klasa.

— Tak? A co porabiasz? To znaczy, gdzie pracujesz?

— Posłuchaj, Joe, już dawno chciałem się z tobą spiknąć, wiesz? Mamy dużo do pogadania, wiesz?

Twarc miał chudą i zmęczoną, malowało się na niej zagubienie człowieka, który długo dryfował przez życie, niczego w nim nie znajdując. Było mi go żal, lecz wiedziałem, że niewiele mogę zrobić. Jego dłoń spoczywała na moim ramieniu, więc ją ująłem, chcąc mu okazać, że w pewien dziwny sposób nadal jest ważną częścią mnie.

Wspomniałem wcześniej, że zawsze był bardzo drażliwy. Teraz gwałtownie cofnął rękę i wściekłość wykrzywiła mu rysy. Miałem przed sobą dawnego Bobby'ego Hanleya, który groził mi otwieraczem do butelek. Wzdrygnąłem się i spróbowałem uratować sytuację uśmiechem.

— Słuchaj, stary, mam do ciebie pytanie. Chodzisz czasem na grób swojego brata? Co? Chodzisz tam czasem i zanosisz Rossowi kwiaty czy coś?

— Ostatnio. . .

— Ostatnio-sratnio! Nie chodzisz i dobrze o tym wiem! Boja tam jestem bez przerwy! Ross był najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem! A ty, jego brat, gówno dla niego robisz. Nic dziwnego, że uważał cię za mięczaka. Ty dupku!

Zsunął się ze stołka i wydłubał z kieszeni banknot jednodolarowy zgnieciony w małą zieloną kulkę. Gdy rzucił ją na kontuar, potoczyła się i spadła z drugiej strony.

— Myślisz, że cię nie znam, Joe? Myślisz, że nie wiem, co czujesz do Rossa? No więc, coś ci powiem, stary, i zapamiętaj to sobie. Ross był królem, był pieprzonym królem. A ty... Chryste, ty jesteś zwyczajną łajzą!

Wyszedł z baru, nie oglądając się za siebie. Chciałem za nim pobiec i wytłumaczyć mu, że nie ma racji. Odczekałem chwilę, udając, że się zastanawiam, co powiem, kiedy go dogonię. Nie miałem mu jednak nic do powiedzenia; nie można było powiedzieć nic więcej.

Jakiś miesiąc później napisałem opowiadanie pod tytułem *Drewniana piżama*. Chodziłem na kurs pisarski i nauczyciel stale nas zachęcał, żebyśmy sięgali do własnych doświadczeń. Jako że nadal byłem w szoku po spotkaniu z Bobbym, postanowiłem skorzystać z tej rady i spróbować przepędzić potwory poczucia winy, pisząc o nim, o Rossie i o ich paczce.

Miałem jednak problem z wyborem jakiegoś konkretnego zdarzenia. Najpierw usiłowałem napisać o tym, jak chcieli ukraść broń z posterunku Legionu Amerykańskiego,

ale los spletał im figła, bo w przeddzień planowanego skoku budynek się spalił. Mówię, że usiłowałem o tym napisać, ale wyszła mi totalna bzdura. Zdałem sobie sprawę, że nie wiem, jak podejść do Rossa i jego świata. Wszystko, czym był, tętniło w moich żyłach od tak dawna, że kiedy zaczynałem się nad tym zastanawiać, dostawałem zaćmienia umysłu. Wiedziałem, jakie miał kolory, ale nie umiałem ich rozdzielić, stapały mi się w wielką białą plamę. Spróbujcie opisać biel, mówiąc coś ponad to, że jest wszystkimi kolorami w jednym.

Poeksperymentowałem z narratorem pierwszoosobowym — dziewczyną porzuconą przez jednego z chłopaków. Nic z tego nie wyszło. Spróbowałem być jednym z rodziców. Znowu nic. Potem zapełniłem trzy strony historiami o Rossie i Bobbym. Niektóre mnie rozśmieszyły, inne zasmuciły lub przyprawiły o poczucie winy, ale gdy przypomniałem sobie to wszystko, pomysł przeniesienia kawałka ich świata na papier stał się moją obsesją. Nic nie mogło mnie powstrzymać.

To zabawne, ale z początku w ogóle nie przyszło mi do głowy, że mógłbym sam coś wymyślić i wykorzystać Rossa i jego kumpli jako bohaterów mojego opowiadania. Ross był tak silną osobowością i zrobił tyle szalonych rzeczy, że zupełnie nie brałem

pod uwagę możliwości usunięcia go w cień własnych fantazji. A jednak tak właśnie się stało.

Pewnego sobotniego wieczoru, jadąc samochodem, zobaczyłem na Main Street bandę chuliganów odpicowanych na jakąś imprezę. Ile razy patrzyłem, jak Ross szczotkuje swe długie włosy na wysoki połysk, spryskuje się galonem wody kolońskiej English Leather i na koniec puszcza do siebie oko w łazienkowym lustrze? „Przystojniak ze mnie, Joe. Twój brat to przystojniak!”

Zastanawiałem się nad tym przez jakiś czas, po czym, usiadłszy pewnego popołudnia przy maszynie do pisania, zacząłem moje opowiadanie od tych właśnie słów, skierowanych do młodszego brata, który przycupnął na brzegu wanny i z uwielbieniem patrzy, jak starszy przygotowuje się do... Nie miałem pojęcia, co dalej.

Pisałem to opowiadanie dwa tygodnie. Portretowało paczkę chuliganów z małego miasteczka, szykujących się do wyjścia na wielką prywatkę u jakiejś dziewczyny. Każdy chłopak był kolejno narratorem i mówił o swoim życiu oraz o tym, co według niego miało się zdarzyć na imprezie u Brendy.

Nigdy w życiu nie pracowałem nad niczym tak ciężko. Ani z taką przyjemnością. Układałem jedną historię na drugiej tak delikatnie, jakbym budował domek z kart, i wciąż je przetasowywałem, aby uzyskać jak najlepszy efekt. Nauczyciel wściekł się na mnie, bo oddałem pracę tydzień po terminie, ale wiedziałem, że opowiadanie jest dobre, może nawet wyjątkowe. Byłem z niego naprawdę dumny.

Nauczyciel również mnie pochwalił i poradził, abym spróbował je wydrukować, co też zrobiłem. Miesiącami krążyło po redakcjach rozmaitych dużych i małych pism i w końcu przyjął je „Timepiece” — nakład siedemset sztuk. Nie dostałem honorarium, tylko dwa egzemplarze autorskie, ale nie posiadałem się z radości. Dałem okładkę tego numeru do oprawy i powiesiłem ją sobie nad biurkiem.

Trzy miesiące później zadzwonił do mnie pewien producent teatralny z Nowego Jorku i spytał, czy sprzedam mu prawa do opowiadania za dwa tysiące dolarów. Zdumiony, miałem się już zgodzić, gdy przypomniałem sobie historie o pisarzach, których sprytni producenci oskubali z mnóstwa forsy, i powiedziałem, żeby odezwał się za kilka dni. W bibliotece college’u znalazłem egzemplarz „Writer’s Market” i wynotowałem nazwiska i numery telefonów czterech czy pięciu agentów literackich. Już pierwsza osoba, do

której zadzwoniłem po radę, kobieta, zgodziła się mnie reprezentować i kiedy facet z Nowego Jorku zadzwonił ponownie, powiedziałem mu, żeby załatwił sprawę z nią.

Wiecie, co się dzieje, gdy sprzedacie komuś swoją historię: prują ją i nicują, i zszywają na nowo. A kiedy już wywrócą ją na lewą stronę („dopracują”, jak lubią to nazywać), pokazują ją publiczności, umieszczając w programie tekst w rodzaju: „Na podstawie opowiadania Josepha Lennox’a”.

Producent, Phil Westberg, wysoki facet o marchewkowych włosach, zadzwonił do mnie, gdy kupił opowiadanie, i uprzejmie zapytał, jak bym się zabrał do przerobienia go na sztukę. Nie miałem żadnego pomysłu, więc bąknąłem coś głupiego i niewartego uwagi, ale jego i tak nie obchodziło, co mam do powiedzenia, bo wszystko już sobie obmyślił. Kiedy przedstawiał mi swój plan, w pewnym momencie odsunąłem słuchawkę od ucha i spojrzałem na nią tak, jakby była bakłazanem. Facet mówił o *Drewnianej piżamie*, ale to nie była moja piżama. Opowiadanie zaczynało się w łazience, sztuka na prywatce, co od razu obcinało oryginał o dobre cztery tysiące słów. Główny bohater sztuki był w opowiadaniu postacią drugoplanową. I tak dalej. Westberg wiedział jednak, czego chce, i na pewno nie był tym czymś cały mój tekst. Kiedy wreszcie to do mnie

dotarło, poczułem się jak zbity pies. „Phil” nie odezwał się więcej — aż półtora roku później przysłał mi jeden darmowy bilet na premierę.

Westberg i jego ludzie wykorzystali moje opowiadanie jako podstawę cieszącej się wielkim powodzeniem (i wielce przygnębiającej) sztuki *Głos naszego cienia*. Mówiła ona, między innymi, o smutku i małych marzeniach młodości; szła przez dwa lata na Broadwayu, zdobyła Nagrodę Pulitzera i została przerobiona na całkiem przyzwoity film. Bogu dzięki, że nie zrzekłem się praw autorskich, bo dostałem niezły procent od zysków.

* * *

Zamieszanie ze sztuką zaczęło się, kiedy byłem na ostatnim roku studiów. Najpierw czułem się z tym świetnie, potem okropnie. Ludzie brali mnie za autora i wciąż musiałem wyjaśniać, że mój wkład był, no cóż, mikroskopijny. Na premierze wpatrywałem się w młodych aktorów grających Rossa i Bobby’ego i pozostałe osoby, które tak dobrze znałem w innej epoce mego życia. Patrzyłem, jak ich wszystkich odmieniono i zniekształcono, i po wyjściu z teatru umierałem z poczucia winy za śmierć mojego brata.

Ale czy umierałem z chęci powiedzenia komuś, co się naprawdę stało? Nie. Poczucie winy daje się modelować. To zabawny rodzaj gliny; jeśli umiesz się z nim obchodzić, możesz je ugnieść i uformować jak tylko zechcesz. Wiem, że generalizuję, ale tak właśnie zrobiłem; i z wiekiem było mi coraz łatwiej racjonalizować fakt, że zabiłem własnego brata. To był wypadek. Nie chciałem tego. Ross był potworem i zasłużył na karę. Gdyby nie zaczął wtedy mówić o masturbacji... Naga, okropna prawda była taka, że wierzyłem w to, w co chciałem wierzyć.

Po kilku miesiącach miałem więcej pieniędzy niż Tutenchamon. Miałem też dość tych samych życzliwych pytań i tych samych zawiedzionych min, gdy odpowiadałem: nie, widzicie, nie napisałem s z t u k i . .

Kiedy odkryłem, że w ramach studiów mogę wyjechać na sześciotygodniowy kurs współczesnej literatury niemieckiej do Wiednia, skwapliwie skorzystałem z okazji. Studiowałem niemiecki, ponieważ był trudny, i chciałem go opanować do perfekcji. Byłem też przekonany, że po paru miesiącach *Sacher Torte*, przejażdżek modrym Dunajem i Roberta Musila wypłynę na powierzchnię życia wolny i czysty. Załatwiłem to tak,

żeby moje sześć tygodni wypadło pod koniec roku akademickiego, dzięki czemu mógłbym zostać na lato, gdyby miasto mi się spodobało.

Pokochałem Wiedeń natychmiast. Wiedeńczycy są dobrze odżywieni, uporządkowani i trochę staroświeccy. Z tej przyczyny albo może dlatego, że leżąc tak daleko na wschodzie, miasto wydaje się egzotyczne — ostatni przyczółek wolności i dekadencji, zanim wjedziesz przez szare równiny na Węgry lub do Czech — wszystkie moje wspomnienia o Wiedniu są skąpane w łagodnym, popołudniowym świetle. Nawet teraz, mimo wszystkiego, co się wydarzyło, chwilami bardzo bym chciał znów się tam znaleźć.

Są tam kawiarnie, w których możesz przesiedzieć cały ranek nad jedną filiżanką wspaniałej kawy, czytając książkę, i nikt nie będzie ci przeszkadzał. Małe, duszne kina z drewnianymi krzesłami, gdzie dwie smutne modelki dają przed seansem pokaz mody. Miałem ulubiony gasthaus, gdzie kelner przynosił psom wodę w białej porcelanowej misce z nazwą firmy.

Jest to również jedyne znane mi miasto, które dzieli się tym, co w nim najlepsze, z ociąganiem, niechętnie. Paryż rzuca ci w twarz wielkie bulwary, złociste *croissanty*

i urok każdego cala kwadratowego swej powierzchni. Nowy Jork z ciebie szydzi — pewny swego i całkowicie obojętny. Wie, że bez względu na to, ile w nim brudu, zbrodni czy strachu, i tak jest centrum wszystkiego. Może robić, co chce, ponieważ wie, że zawsze będzie ci potrzebny.

Większości ludzi Wiedeń podoba się od pierwszego wejrzenia z powodu Opery albo Ringstrasse, albo Brueglów w Kunsthistorisches Museum, ale te rzeczy są jedynie eleganckim kamuflażem. Tego pierwszego lata odkryłem, że pod ową lśniącą pozłotą kryje się smutne, podejrzliwe miasto, które szczyt świetności przeżyło dwa wieki temu. Teraz świat uważa je za urocze kuriozum — jak panna Havisham w ślubnej sukni¹ — i wiedeńczycy o tym wiedzą.

Wszystko ułożyło mi się świetnie. Spotkałem miłą dziewczynę z Tyrolu i przeżyliśmy romans, który nas zmęczył, ale nie okaleczył. Była przewodniczką jednego z miejskich biur turystycznych, więc знаła w Wiedniu każdy kąt: secesyjny basen kąpielowy na szczycie Wienerwaldu, przytulną restaurację, w której podawano oryginalnego

¹Bohaterka Wielkich nadziei K. Dickensa, porzucona przez narzeczonego w dniu ślubu, nosi przez resztę życia ślubną suknię (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

czeskiego budweisera, taką trasę przez I dzielnicę, że czułeś się jak w XV wieku. Spędziliśmy razem deszczowy weekend w Wenecji i słoneczny w Salzburgu. Pod koniec sierpnia odwiozła mnie na lotnisko i obiecaliśmy sobie, że będziemy pisać. Kilka miesięcy później dostałem list, że wychodzi za mąż za miłego sprzedawcę komputerów w Charlottesville w Wirginii i gdybym był kiedyś w tamtych stronach. . .

Ojciec wyjechał po mnie na lotnisko i gdy tylko wsiedliśmy do samochodu, powiedział, że matka ma białaczkę. Stała mi przed oczami ostatnia wizyta u niej. Biały szpitalny pokój — białe zasłony, pościel, krzesła. Pośrodku łóżka sterczała z tego morza bieli jej mała ruda głowa. Nie kręciła już nią jak koliber i miała krótko obcięte włosy, a ponieważ była pod wpływem środków uspokajających, upłynęło kilka minut, zanim mnie poznała.

— Mamo? To ja, Joe. Jestem tu, mamó. To ja, J o e.

— Joe? Joe. Joe! Joe i Ross! Gdzie są moi chłopcy?

Nie była rozczarowana, gdy powiedzieliśmy, że Ross nie przyszedł. Przełknęła to tak, jak przełykała każdą łyżkę bezbarwnej zupy czy duszonego szpinaku ze swojego talerza.

Pojechałem prosto do szpitala. Nie zmieniła się wcale, poza tym, że schudła na twarzy. Jej rysy i niezdrowy kolor skóry przywodziły na myśl bardzo stary list napisany fioletowym atramentem na bardzo cienkim, szarym papierze. Zapytała, gdzie byłem; gdy powiedziałem, że w Europie, zagapiła się na jakiś czas w ścianę, jakby próbowała sobie przypomnieć, co to jest Europa. Umarła przed Bożym Narodzeniem.

Po pogrzebie zrobiliśmy sobie z ojcem tydzień urlopu, by polecieć w upał, kolory i świeżość Wysp Dziewiczych. Przesiadaliśmy na plaży, pływaliliśmy i odbywaliśmy długie, przyprawiające o zadyszkę spacerunki po górach. Co wieczór piękno zachodu słońca sprawiało, że czuliśmy się smutni, puści i dzielni. Zgodziliśmy się co do tego. Piliśmy ciemny rum i rozmawialiśmy do drugiej, trzeciej w nocy. Powiedziałem mu, że po skończeniu studiów chcę zamieszkać w Europie. Wydrukowano mi dwa kolejne opowiadania i podniecała mnie myśl, że być może mam zadatki na prawdziwego pisarza. Teraz zdaję sobie sprawę, że ojciec chciał, abym jakiś czas z nim został. Powiedział jednak, że Europa to dobry pomysł.

Ostatni semestr college'u wypełniła mi niejaka Olivia Lofting. Po raz pierwszy w życiu naprawdę się zakochałem i był okres, że potrzebowałem Olivii jak powietrza.

Ona mnie lubiła, ponieważ miałem pieniądze i cieszyłem się prestiżem na uczelni, ale wciąż mi przypominała, że jej serce należy do chłopaka, który skończył studia przed rokiem i odbywa służbę wojskową. Robiłem, co mogłem, aby ją zdobyć, lecz pozostała mu wierna, mimo że sypialiśmy ze sobą już od trzeciej randki.

W maju chłopak Olivii przyjechał do domu na urlop. Pewnego popołudnia zobaczyłem ich razem w centrum studenckim. Byli tak ewidentnie zafascynowani sobą i tak ewidentnie zmęczeni długą sesją miłosną, że poszedłem prosto do łazienki i przesiedziałem godzinę na klozecie z twarzą w dłoniach.

Zadzwoiła do mnie po jego wyjeździe, ale nie miałem siły się z nią zobaczyć. Co dziwne, moja odmowa na nowo obudziła jej zainteresowanie i przez tych kilka tygodni, jakie zostały do końca roku akademickiego, prowadziliśmy jedną nie kończącą się rozmowę telefoniczną za drugą. Podczas ostatniej zażądała, abyśmy się spotkali. Zapytałem, czy jest sadystką. Odparła, śmiejąc się rozkosznie, że pewnie tak. Resztkami silnej woli odmówiłem, ale jakże byłem na siebie wściekły, gdy po odłożeniu słuchawki zdałem sobie sprawę, jak niepotrzebnie puste będzie tej nocy moje łóżko.

Mimo że wciąż myślałem o Wiedniu, polecałem najpierw do Londynu i przez całe lato wypróbowałem różne miasta — Monachium, Kopenhagę, Mediolan — by wreszcie uświadomić sobie, że istnieje dla mnie tylko jedno miejsce.

Jak na ironię, przyjechałem tuż przed premierą niemieckiej wersji *Głosu naszego cienia* w Theater an der Josefstadt. Zapewne sądząc, iż wyświadcza mi uprzejmość, Phil Westberg powiedział Austriakom, że jestem w mieście, więc przez miesiąc czy dwa byłem królową balu. I znów musiałem wyjaśniać, tym razem *auf deutsch*, jaki naprawdę był mój wkład w całe to przedsięwzięcie.

Na szczęście sztuka nie przypadła wiedeńskim krytykom do gustu; po miesiącu zwinęła manatki i wróciła do Ameryki. Oznaczało to również koniec hałasu wokół mojej osoby i od tej pory żyłem w błogiej anonimowości. Dobrą stroną przesunięcia się *Cienia* po Wiedniu było to, że poznałem wielu ważnych ludzi, którzy - znowu — sądząc, że jestem autorem sztuki i wiedząc, że chcę osiąść w mieście na stałe, zaczęli zamawiać u mnie teksty. Honoraria za te zamówienia były zazwyczaj bardzo marne, ale wciąż nawiązywałem nowe kontakty. Kiedy „International Herald Tribune” robił dodatek o Au-

strii, dzięki protekcji pewnego znajomego wydrukowano mi artykuł na temat Letniego Festiwalu w Bregencji.

Mniej więcej wtedy, gdy zacząłem zarabiać na moich artykułach, ojciec ponownie się żenił i pojechałem do Ameryki na ślub. Nie byłem w kraju dwa lata i tempo oraz intensywność życia w Stanach zbiły mnie z nóg. Tyle bodźców! Tyle rzeczy do zobaczenia, kupienia i zrobienia! Zachwyciłem się tym dwa tygodnie, po czym szybko wróciłem do mojego Wiednia, gdzie wszystko było takie, jak lubiłem — ciche, uporządkowane i przyjemnie nudne.

Miałem dwadzieścia cztery lata i w jakiejś głębokiej, niemej części mego umysłu tkwiła myśl, że już czas spróbować podbić świat książką. Po powrocie z Ameryki zacząłem ją pisać i... zacząłem jeszcze raz i jeszcze raz... aż zużyłem wszystkie moje kiepskie początki. To nie było jeszcze najgorsze, ale szybko zdałem sobie sprawę, że nie mam środków ani końców, nad którymi mógłbym popracować w zamian. I wycofałem się z wyścigu do Wielkiej Amerykańskiej Powieści.

Jestem przekonany, że każdy literat chciałby być poetą lub powieściopisarzem, ale dla mnie uświadomienie sobie faktu, że nigdy nie zostanę drugim Hartem Crane'em

ani Tołstojem, nie było zbyt bolesne. Mogłoby takie być kilka lat wcześniej, ale teraz regularnie mnie drukowano i parę osób wiedziało nawet, kim jestem.

Po kilku latach spędzonych w Wiedniu najbardziej brakowało mi bliskiego przyjaciela. Przez jakiś czas myślałem, że znalazłem go w osobie pewnej eleganckiej Francuzki, która pracowała jako tłumaczka w ONZ. Z miejsca się polubiliśmy i przez kilka tygodni byliśmy nierozłączni. Potem poszliśmy do łóżka i purpurowe tajemnice seksu usunęły koleżeńską zażyłość w cień. Przez pewien czas sypialiśmy ze sobą, ale nie ulegało wątpliwości, że gorsi z nas kochankowie niż przyjaciele. Na nieszczęście, bo do poprzedniego układu nie było już powrotu. W końcu ona przeniosła się do Genewy, a ja wróciłem do pisania. . . i samotności.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział 1

India i Paul Tate'owie mieli bzika na punkcie kina i poznaliśmy się w jednym z wiedeńskich iluzjonów, które pokazywały filmy w angielskiej wersji językowej. Wyświetlano akurat *Nieznajomych z pociągu* Hitchcocka i starannie się do tego seansu przygotowałem. Oprócz książki, na której film był oparty, przeczytałem wszystkie powieści Patricii Highsmith o Thomasie Ripleyu, jak również biografię Raymonda Chandlera pióra MacShane'a, zawierającą długi fragment o powstawaniu tego klasycznego obrazu.

Ściśle biorąc, kończyłem tę biografię, czekając w hallu kina na początek seansu. Obok mnie usiedli jacyś ludzie i po kilku sekundach zdałem sobie sprawę, że rozmawiają po angielsku.

— Daj spokój, Paul, nie upieraj się jak osioł. To Raymond Chandler.

— Nunnally Johnson.

— Paul. . .

— Indio, kto miał rację co do tego filmu Lubitscha? No?

— Przestań mi wytykać ten głupi film. Co z tego, że raz w życiu miałeś rację? A kto miał rację wczoraj, że Fielder Cook wyreżyserował *Mocne karty słabej kobiety*?

Tego rodzaju kłótnia pary małżonków czy kochanków jest zazwyczaj niesmaczna i hałaśliwa, ale ton głosów tej dwójki uspokajał słuchacza, że wcale się nie kłóca: żadnej ukrytej złości ani obnażonych kłów.

— Przepraszam? Mówi pan po angielsku?

Odwrociłem się i po raz pierwszy zobaczyłem Indię Tate.

Było lato; miała na sobie cytrynowy T-shirt i nowe ciemnoniebieskie dżinsy. Jej uśmiech był wyzwaniem. Skinałem głową, zachwycony, że rozmawiam z tak atrakcyjną kobietą.

— Świetnie. Wie pan, kto napisał ten film? Nie chodzi mi o książkę, tylko o scenariusz. Spieram się o to z mężem.

Wystawiła kciuk w jego stronę, jakby chciała zatrzymać samochód.

— Właśnie przeczytałem w tej książce cały rozdział na ten temat. Autor pisze, że Chandler był scenarzystą, a Hitchcock reżyserem, ale podczas pracy nad filmem strasznie się znienawidzili.

Chciałem tak to sformułować, aby oboje mieli wrażenie, że wygrali spór. Nie udało mi się. Kobieta odwróciła się do męża i błyskawicznym ruchem pokazała mu język. On uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rękę ponad jej kolanami.

— Proszę nie zwracać na nią uwagi. Nazywam się Paul Tate, a ta jędrza to moja żona, India.

Uścisnął mi dłoń tak, jak powinno się to robić — mocno i z przejęciem.

— Bardzo mi miło. Joseph Lennox.

— Widzisz, Paul? Wiedziałałam, że mam rację! Wiedziałem, że jest pan Josephem Lennoxem. Widziałam pana zdjęcie w piśmie „Wiener”. Właśnie dlatego chciałam, żebyśmy tu usiedli.

— Rozpoznany po raz pierwszy w życiu! Zakochałem się w niej w jednej chwili. Było już prawie po mnie, gdy zobaczyłem jej twarz i ten cudowny żółty T-shirt, a teraz w dodatku okazało się, że wie, kim jestem. . .

— Joseph Lennox. Boże, widzieliśmy *Głos naszego cienia* dwa razy na Broadwayu i raz w letnim repertuarze w Massachusetts. Paul kupił nawet zbiór opowiadań z *Drewnianą piżamą*.

Zdenerwowany i rozczarowany, że rozpoznano mnie z powodu sztuki, upuściłem biografię Chandlera na podłogę. India schyliła się po nią równocześnie ze mną. Poczuliśmy lekki aromat cytryny i jakiegoś dobrego, słodkiego mydła.

Bileter powiedział, że możemy wejść na salę. Wstając, umówiliśmy się szybko, że po seansie pójdziemy na kawę. Zaraz potem Tate’owie mnie wyprzedzili i usiedli w pierwszym rzędzie. Kto chciałby tam siedzieć? Niewiele zrozumiałem z filmu, bo

prawie cały czas patrzyłem na tył ich głów i zastanawiałem się, kim są ci interesujący ludzie.

* * *

— Czy tutejsze lato zawsze jest takie parne, Joe? Czuję się tak, jakby dyszał na mnie wielki pies. Chciałabym być z powrotem w Nowym Jorku.

— Indio, za każdym razem, gdy jesteśmy tam w lecie, narzekasz na upał.

— Tak, Paul, ale przynajmniej jest to n o w o j o r s k i upał. To wielka różnica.

India zamilkła, a Paul spojrział na mnie i przewrócił oczami. Siedzieliśmy w ogródku Café Landtmann. Czerwono-biały tramwaj przejechał z klekotem ulicą, kolorowe fontanny w Rathauspark strzeliły strumieniami w gęsty mrok nocy.

— Rzeczywiście robi się tu teraz dość gorąco. Dlatego wszyscy wiedeńczycy wyjeżdżają w lipcu do swoich letnich domów.

Spojrziała na mnie i potrząsnęła głową.

— To jakiś obłąd. Posłuchaj, nic jeszcze nie wiem o Austrii, ale czy turystyka nie ma tu być głównym źródłem dochodu? Większość turystów podróżuje w lipcu, prawda?

Więc przyjeżdżają do Wiednia i całe miasto jest zamknięte z powodu przerwy urlopowej. Jest tu gorzej niż gdziekolwiek we Włoszech czy we Francji, prawda, Paul?

Byliśmy w kawiarni od pół godziny. Mówiła głównie India, Paul odzywał się tylko wtedy, kiedy go poprosiła, aby opowiedział jakąś konkretną anegdotę czy historię. Ale jedno zawsze pilnie słuchało drugiego i spostrzegłszy to, poczułem przyływ samotniczej zazdrości.

Jakiś czas później spytałem Paula, który z dala od żony okazał się zachwycająco rozmownym człowiekiem, dlaczego milczy w jej obecności.

— Chyba dlatego, że jest tak cudownie ekscentryczna, Joe. Nie sądzisz? Jesteśmy małżeństwem od wielu lat, a mimo to wciąż mnie zdumiewa tymi wszystkimi dziwnymi rzeczami, które mówi! Słuchając jej, umieram z ciekawości, co też powie za chwilę. Zawsze tak było.

Tego pierwszego wieczoru, gdy na moment zapadła cisza, spytałem, jak się poznali.

— Ty mu powiedz, Paul. Chcę popatrzeć, jak przejeżdża ten tramwaj.

Wszyscy popatrzyliśmy. Po kilku sekundach Paul pochylił się do przodu i oparł swe wielkie dłonie na kolanach.

— Kiedy służyłem w marynarce i mój statek zawinął do Honolulu, kupiłem taką zwariowaną hawajską koszulę, najohydniejszą szmatę, jaką można sobie wyobrazić. Była żółta w niebieskie palmy kokosowe i zielone małpy.

— Nie kłam, Paul! Uwielbiałeś każdą jedną cherlawą palmę na tej koszuli i dobrze o tym wiesz. Myślałam, że będziesz płakał, kiedy się rozpadła.

Wyciągnęła rękę nad stolikiem i czubkami palców musnęła jego policzek. Odwróciłem wzrok, speszony i zazdrosny o tę bezpretensjonalną pieszczotę.

— Tak, chyba masz rację, ale ciężko mi się teraz do tego przyznać.

— Czyżby? Nie pleć bzdur, bo było ci w niej świetnie! Naprawdę, Joe. Stał na rogu ulicy w centrum San Francisco, czekając na tramwaj. Wyglądał jak reklama rumu Bacardi. Podeszłam do niego i powiedziałam, że pierwszy raz widzę faceta, który dobrze wygląda w tak absurdalnej koszuli.

— Nie powiedziałaś, że wyglądam dobrze, Indio. Powiedziałaś, że wyglądam z a dobrze. Zabrzmiało to tak, jakbym był jednym z tych idiotów, którzy czytają powieści science fiction i noszą przy pasku pięć milionów kluczy.

— Tak, ale powiedziałam to później, kiedy poszliśmy na drinka.

Paul odwrócił się do mnie i skinął głową.

— Zgadza się. Najpierw powiedziała, że wyglądam dobrze. Przez jakiś czas staliśmy na tym rogu i rozmawialiśmy o Hawajach. Nigdy tam nie była i chciała wiedzieć, czy poi² naprawdę smakuje jak klej do tapet. W końcu spytałem, czy chce pójść na drinka. Zgodziła się, no i bingo, byliśmy w domu.

— Jak to „byliśmy w domu”? Nie widzieliśmy się potem dwa lata! Bingo, akurat!

Paul zbył tę poprawkę wzruszeniem ramion. Nie liczyła się dla niego. Wszyscy troje zamilkliśmy i słychać było tylko samochody przejeżdżające Ringstrasse.

— Widzisz, Joe, dałam mu adres i numer telefonu. A ten padalec w ogóle się nie odezwał. No i dobrze. Skreśliłam go jako palanta w ohydnej hawajskiej koszuli i więcej o nim nie myślałam, aż zadzwonił do mnie po dwóch latach, kiedy mieszkałam w Los Angeles.

— Po dwóch l a t a c h? Dlaczego czekałeś dwa lata, Paul?

Ja, mogąc zdobyć Indię Tate, nie czekałbym dwóch sekund.

²Hawajska potrawa z bulw kolokazji zwanych taro.

— Hmm. Uznałem, że jest w porządku i w ogóle, ale nie, żeby zaraz wariować.

— Dzięki, koleś!

— Nie ma za co. Nadal służyłem w marynarce i mój statek zawinął do San Francisco na Święto Dziękczynienia. Dostaliśmy parę dni urlopu. Pomyślałem, że byłoby fajnie do niej zadzwonić. Nie mieszkała już pod tamtym adresem, ale dawna współlokatorka dała mi jej numer w Los Angeles.

Jeśli to możliwe, India jednocześnie uśmiechała się do Paula i piorunowała go wzrokiem.

— Pracowałam w wytwórni Walta Disneya. Robiłam fascynujące rzeczy, jak rysowanie uszu Myszki Miki. Nieźle, co? Nudziłam się, więc kiedy zadzwonił i zapytał, czy nie przyjechałabym spędzić Dziękczynienia z nim, zgodziłam się. Chociaż był palantem w hawajskiej koszuli. W rezultacie świetnie się bawiliśmy i na koniec poprosił mnie o rękę.

— Tak po prostu?

Oboje skinęli głowami.

— Owszem, i tak po prostu się zgodziłam. Myślisz, że chciałam do końca życia rysować Sknerusa McKwacza? Odplynął i tym razem nie widziałam go dwa miesiące. Kiedy wrócił, wzięliśmy ślub.

— Ty i Sknerus McKwacz?

— Nie, ja i palant. — Znów wystawiła kciuk w stronę męża. — Zrobiliśmy to w Nowym Jorku.

— W Nowym Jorku?

— Tak. Na Manhattanie. Wzięliśmy ślub, zjedliśmy kolację w Four Seasons, a potem poszliśmy do kina.

— Na *Doktora No* — pisał Paul.

* * *

Zamówiliśmy następne kawy, chociaż kelner dawał nam do zrozumienia, że zamykają lokal i powinniśmy już iść.

— Nad czym teraz pracujesz, Joe?

— Och, przymierzam się do realizacji pewnego pomysłu, który od dawna chodzi mi po głowie. Byłoby to coś w rodzaju ustnej historii Wiednia podczas drugiej wojny. Tyle napisano już o bitwach i tak dalej, a mnie interesuje utrwalenie wspomnień ludności cywilnej — zwłaszcza kobiet i osób, które były wtedy dziećmi. Możecie sobie wyobrazić życie w tamtych czasach? Cywilom zdarzały się równie niesamowite rzeczy jak żołnierzom walczącym na froncie. Naprawdę, zatkałoby was, gdybyście usłyszeli, co niektórzy z nich przeszli.

Czułem podniecenie, bo na razie powiedziałem o tym projekcie zaledwie kilku osobom. Był dotąd jedną z tych rzeczy, które „musi się kiedyś zrobić” i nigdy nie robi.

— Podam wam przykład. Znam kobietę, która pracowała w zakładzie dla umysłowo chorych w dziewiętnastej dzielnicy. Faszyści kazali jej szefom usunąć stamtąd wszystkich czubków. Więc wywiozła ich z miasta do starego Schlossu pod czeską granicą i o dziwo przeżyli wojnę. Historia jak z filmu *Król kier*.

India poruszyła się na krześle i potarła szczupłe, nagie ramiona. Nagle się ochłodziło i robiło się późno.

— Joe, pozwolisz, że cię o coś spytam?

Spodziewałem się pytania o nową książkę, ale kompletnie mnie zaskoczyła.

— Co myślałeś o Głosie naszego cienia? Podobał ci się? Sztuka bardzo odbiega od twojego opowiadania, prawda?

— Tak, zgadza się. I jeśli mam być szczery, nigdy mi się nie podobała, nawet kiedy widziałem ją w oryginalnej obsadzie w Nowym Jorku. Wiem, że to gryzienie ręki, która mnie wykarmiła, ale tak bardzo wszystko zniekształcono. Sztuka jest dobra, ale nie jest moim opowiadaniem, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

— Dorastałeś w takim środowisku? Byłeś chuliganem?

— Nie. Byłem Charliem Cykorem. Nie wiedziałem nawet, co to jest gang, dopóki ktoś mi nie powiedział. Mój brat był chuliganem, a jego najlepszy przyjaciel prawdziwym młodocianym przestępcą, ale ja należałem do tych, którzy włożą pod łóżko, gdy robi się gorąco.

— Żartujesz.

— Wcale nie. Nie cierpiałem się bić, nie piłem, nie paliłem. . . mdliło mnie na widok krwi.

Uśmiechali się i ja też się uśmiechnąłem. India wyjęła papierosa — zauważyłem, że bez filtra — i Paul podał jej ogień.

— Jaki jest twój brat? Nadal tak rozrabia czy może został agentem ubezpieczeniowym?

— Mój brat nie żyje.

— O rany, przepraszam.

Zgarbiła się i odwróciła wzrok.

— Nie szkodzi. Umarł, gdy miałem trzynaście lat.

— Naprawdę? A ile on miał lat?

— Szesnaście. Poraził go prąd.

— Prąd? Jak to się stało?

— Upadł na trzeci tor.

— Boże!

— Tak. Byłem przy tym. Hmm, kelner, możemy prosić rachunek?

Rozdział 2

Paul okazał się człowiekiem miłym, dowcipnym i roztargnionym. Potrafił godzinami słuchać największego nudziarza i wyglądać na zafascynowanego. Kiedy ta osoba wyszła, rzucał zwykle jakiś zabawny albo nieprzyjemny tekst, ale jeśli wróciła, znów był chłonnym, uważnym słuchaczem i powiernikiem.

Pochodził ze Środkowego Zachodu, miał przyjacielską twarz o lekko zakłopotanym wyrazie i przedwcześnie obwisłej skórze, przez co wydawał się dużo starszy od żony. Tate'owie byli jednak w tym samym wieku.

Pracował w jednej z dużych międzynarodowych agencji, jakich jest w Wiedniu pełno. Nigdy nie mówił, czym się konkretnie zajmuje, ale miało to coś wspólnego z targami wyrobów przemysłowych w państwach komunistycznych. Często się zastanawiałem, czy nie jest szpiegiem, jak wielu „biznesmenów” w tym mieście. Raz, gdy go przycisnąłem, powiedział, że nawet Czesi, Polacy i Rumuni chcą sprzedawać różne rzeczy za granicę i że na tych targach mogą „zachwalać swój towar”.

India Tate przypominała bohaterki filmów z lat trzydziestych i czterdziestych grane przez Joan Blondell albo Idę Lupino: ładne, ale chłodnej, surowej urody, z pozoru twarde, trzeźwo myślące dziewczyny, w których przy bliższym poznaniu odkrywasz gołębie serce. Jak Paul była po czterdziestce, lecz nie poznałbyś tego po ich sylwetkach, bo oboje mieli bzika na punkcie gimnastyki i utrzymywania się w formie. Pokazali mi raz ćwiczenia jogi, które robili każdego ranka przez godzinę. Spróbowałem kilku z nich, ale bez powodzenia. Wiedziałem, że im się to nie spodobało, i parę dni później Paul spokojnie zasugerował, że powinienem nad sobą popracować. Gimnastykowałem się przez jakiś czas, ale przestałem, gdy zaczęło mnie to nudzić.

Dowiedziawszy się, że zostaną przeniesieni z Londynu do Wiednia, India postanowiła zrobić sobie roczny urlop i nauczyć się niemieckiego. Według Paula miała wrodzone zdolności językowe i, jak mi powiedział, po miesiącu czy dwóch kursu na Uniwersytecie Wiedeńskim była w stanie tłumaczyć mu radiowe wiadomości. Nie wiedziałem, ile z tego jest prawdą, bo kiedy wychodziliśmy gdzieś we trójkę, mówiła wyłącznie po angielsku. Raz, przyciśnięta koniecznością, wyjąkała przestraszone pytanie do konduktora w pociągu. Było gramatycznie poprawne, ale związane jak wstążką silnym oklahomskim akcentem.

— Indio, dlaczego nigdy nie mówisz po niemiecku?

— Nie chcę brzmieć jak Andy Devine³

Miała takie podejście do wielu spraw. Nietrudno było zauważyć, jaka jest utalentowana i inteligentna, i że mogłaby robić w życiu mnóstwo rzeczy. Była jednak perfekcjonistką i ukrywała lub umniejszała wszystko to, co — według niej samej — wychodziło jej za ledwie „znośnie”.

³Andy Devine (1905–1977) — aktor amerykański; mówił charakterystycznym ostrym, zgrzytliwym głosem, który był efektem wypadku, jakiemu uległ w dzieciństwie.

Na przykład jej rysunki. Postanowiła, że podczas tego rocznego urlopu zrobi jeszcze coś, co zamierzała zrobić od lat — mianowicie, zilustruje swoje dzieciństwo. Kiedy mieszkali w Londynie, uczyła wychowania plastycznego w jednej z tamtejszych międzynarodowych szkół i na przerwach sporządziła ponad sto wstępnych szkiców. Z początku za nic nie chciała mi ich pokazać. Gdy wreszcie ją namówiłem, tak mnie zachwyciły, że nie wiedziałem, co powiedzieć.

Cień przedstawiał jeden z tych garbatych odbiorników radiowych w stylu art déco z przyjemnymi czarnymi gałkami i nazwami miliona egzotycznych miejsc, które miałeś rzekomo na każde wezwanie. Radio stało na stole w głębi pokoju, u góry rysunku. Z dołu wystawały trzy pary sztywnych, jakby lalczynych nóg — mężczyzny, dziecka (czarne lakierki, krótkie białe skarpetki) i kobiety (szpilki z ostrymi noskami, nagie łydki). Najcudowniejsze, najbardziej niesamowite było to, że te nogi zdawały się patrzeć w radio jak w telewizor. Kiedy powiedziałem to Indii, wybuchnęła śmiechem i odparła, że nigdy nie myślała o tym w ten sposób, ale że ma to sens. Ten w ćwierci naiwny, w ćwierci magiczny charakter przebijał ze wszystkich jej prac.

Na innym rysunku był pusty szary pokój z lecącą przez środek poduszką. Dłoń, która ją rzuciła, widniała w rogu, ale w swej zastygłej otwartości zatraciła wszelkie ludzkie cechy, stając się nagle czymś innym i niepokojącym. India powiedziała, że zamierza nazwać ostateczną wersję *Bitwa na poduszki*.

Tylko jeden z jej obrazków wisiał w ich mieszkaniu. Nosił tytuł *Brzdąc* i był martwą naturą namalowaną delikatnymi, bladymi akwarelami. Na dębowym stole leżał czarny, błyszczący cylinder i para nieskazitelnie białych rękawiczek. To wszystko: brązowy stół, czarny cylinder, białe rękawiczki. *Brzdąc*.

Kiedy pierwszy raz ich odwiedziłem, przyjrzałem się obrazkowi, po czym grzecznie spytałem, co oznacza tytuł. Popatrzyli na siebie i, jakby na komendę, równocześnie wybuchnęli śmiechem.

— Ten nie jest z mojego dzieciństwa, Joe. Paul ma bzika na punkcie. . .

— Cii, Indio, nic nie mów! Może kiedyś ich sobie przedstawimy?

Jej twarz rozbliżyła się jak świeca. Była zachwycona tym pomysłem. Śmiała się i śmiała, ale żadne z nich niczego mi nie wyjaśniło. Później India powiedziała, że namalowała ten

obraz jako rocznicowy prezent dla Paula. Zauważyłem zresztą napis w lewym dolnym rogu: *Dla małżonka od małżonki — by „obietnic dotrzymać”*.

Udało im się wynająć wspaniałe, wielkie mieszkanie w IX dzielnicy, nieopodal Kanału Dunajskiego. Spędzali w nim jednak bardzo mało czasu. Mówili, że czują przymus, aby być jak najwięcej w ruchu. W rezultacie, gdy dzwoniłem, rzadko zastawałem ich w domu.

— Nie rozumiem, dlaczego ciągle wychodzicie. Wasze mieszkanie jest takie miłe i przytulne.

India posłała Paulowi sekretny, poufały uśmiech, który zniknął, gdy znów spojrzała na mnie.

— Chyba boimy się, że siedząc w domu, możemy coś przegapić.

Poznaliśmy się w pierwszym tygodniu lipca, kiedy Tate'owie byli w mieście od miesiąca. Widzieli już główne atrakcje turystyczne, ale teraz ochoczo wzięłem na siebie rolę przewodnika i ofiarowałem im wszystkie skarby Wiednia, które zgromadziłem przez lata pobytu.

Te senne, ciepłe dni mijały mi w rozkosznym oszołomieniu. Starąłem się kończyć pracę jak najwcześniej i dwa lub trzy razy w tygodniu szliśmy gdzieś razem na lunch. Paul miał urlop do końca lipca, więc delectowaliśmy się tym czasem jak wspaniałym posiłkiem, którego nie chce się skończyć. Przynajmniej tak ja to odbierałem, ale niezadko czułem, że oni też są szczęśliwi.

Miałem wrażenie, że napędza mnie jakieś bajeczne wysokooktanowe paliwo. Rano pisałem i zbierałem materiały jak nawiedzony, po południu bawiłem się z Tate'ami, a wieczorem szedłem spać z uczuciem, że moje życie nie mogłoby być pełniejsze. Znalazłem przyjaciół, jakich zawsze szukałem.

Ukoronowaniem wszystkiego było to, co zrobili 19 sierpnia, w moje dwudzieste piąte urodziny.

Siedziałem przy biurku, pracując nad wywiadem dla pewnego szwajcarskiego pisma. Ponieważ urodziny prawie zawsze cholernie mnie przygnębiały, postanowiłem się czymś zająć, żeby nie myśleć. Zjadłem wczesną kolację w pobliskim gasthausie i zamiast jak zwykle pójść poczytać sobie godzinkę w kawiarni, pomknąłem do do-

mu i nerwowo przekładałem kartki maszynopisu z kupki na kupkę, daremnie usiłując zapomnieć, że nikt na świecie nie złożył mi życzeń.

Kiedy zadzwonił dzwonek, patrzyłem spode łba na maleńki stosik poprawionych stron. Miałem na sobie jakąś starą bluzę i dżinsy.

W drzwiach, trzymając w dłoni czapkę, stał starszy mężczyzna w podniszczonej, ale wciąż eleganckiej liberii szofera i czarnych skórzanych rękawiczkach, które wyglądały na bardzo drogie. Otaksował mnie spojrzeniem jak nieświeżą sałatę i powiedział z miłym akcentem *hochdeutsch*, że „samochód” jest na dole i „państwo” czekają.

Uśmiechnąłem się i zapytałem, o co mu chodzi.

— Pan Lennox?

— Tak.

— A zatem polecono mi przyjść po pana.

— Kto panu polecił?

— Państwo, którzy wynajęli limuzynę.

— Limuzynę?

Zmarszczyłem brwi i odsunąłem go trochę w bok, aby wyrzeć za drzwi. Paul lubił różne kawały i podchodziłem nieufnie do wszystkiego, w czym maczał palce. Korytarz był pusty.

— Czekają w samochodzie?

— Tak, proszę pana.

Szofer westchnął i mocniej naciągnął jedną z rękawiczek. Spytałem go, jak wyglądają, i opisał Paula i Indię Tate'ów w wyjściowych strojach.

— To znaczy wieczorowych? Mam włożyć smoking?

— Tak, proszę pana.

— Boże! Niech, niech im pan powie, że zejść na dół za dziesięć minut. Za dziesięć minut, dobrze?

— Dobrze, proszę pana, za dziesięć minut.

Posłał mi ostatnie znużone spojrzenie i odmaszerował.

Nie ma czasu na prysznic. Wyciągnąć smoking z czeluści szafy. Nie nosiłem go od miesięcy i był strasznie pognieciony. No to co? Kłopoty z zapięciem jedwabnych guzi-

ków drżącymi, szczęśliwymi dłońmi. Co ci dwoje kombinują? Wspaniale! Bajecznie! Wiedzieli, że mam dziś urodziny.

Przed paroma dniami upewniali się co do daty. Dlaczego wynajęli limuzynę? Po-
ciągnąłem długi łyk płynu do płukania ust, wypłułem go głośno do umywalki, a potem
zgasilem światło i ruszyłem do drzwi. W ostatniej chwili przypomniałem sobie, żeby
wziąć klucze.

Przed moją kamienicą mrucał majestatycznie srebrny mercedes benz 450. We-
wnątrz dostrzegłem szofera (w czapce na głowie — pełna powaga) oświetlonego spo-
kojną żółcią lampek deski rozdzielczej. Podszedłem bliżej, aby zajrzeć na tylne siede-
nie, i wtedy ich zobaczyłem: kieliszki do szampana w dłoniach, butelka w srebrnym
kubelku na wyłożonej ciemnym dywanem podłodze.

Okno z mojej strony zjechało w dół i z mrocznego wnętrza wyjrzała cudowna twarz
Indii.

— No jak tam, jubilacie? Chcesz się przejechać?

— Cześć! Co tu robicie? Na co ten srebrny rydwan?

— Drogi Joe, choć raz w swoim nędznym małym życiu o nic nie pytaj i wskakuj do samochodu! — zagrział głos Paula.

India przesunęła się, abym mógł usiąść między nimi. Paul podał mi kieliszek schłodzonego szampana i po przyjacielsku ścisnął moje kolano.

— Wszystkiego najlepszego, Joey! Mamy na ten wieczór plany co do ciebie!

— I to jakie!

India stuknęła się ze mną kieliszkiem i pocałowała mnie w policzek.

— Jakie?

— Zaczekaj, to zobaczysz. Chcesz popsuć niespodziankę?

India poleciła kierowcy jechać w pierwsze miejsce na liście.

Szampana starczyło do celu podróży, którym okazał się Schloss Greifenstein, ogromny i cudownie ponury zamek położony jakieś pół godziny drogi od Wiednia, na wysokim wzgórzu z widokiem na zakręt Dunaju. W zamku jest wspaniała restauracja i właśnie tam zjedliśmy moją urodzinową kolację. Przy deserze ledwo mogłem powstrzymać łzy. Co za niezwykli ludzie. Nigdy w życiu nie miałem takiej niespodzianki.

— To... to dla mnie wyjątkowy wieczór.

— Joey, jesteś naszym chłopcem. Czy wiesz, jak bardzo nam pomogłeś po przyjeździe? Musieliśmy uczcić twoje urodziny!

India wzięła mnie za rękę.

— Nie rozczulaj się tak. Planowaliśmy to od wieków. Paul wpadł na pomysł, żeby przyjechać tu na kolację, ale to jeszcze nic. Zaczekaj, aż zobaczysz, co ja... .

— Cicho, Indio, nie mów mu! Po prostu jedźmy.

Wstali już z miejsc, a nawet nie zauważyłem, żeby ktoś płacił rachunek.

— Co się dzieje? Macie w planie coś więcej?

— Tak jest, bracie. To było dopiero pierwsze danie. Chodźmy, nasza srebrna strzała czeka.

„Czymś więcej” okazały się lody czekoladowe w McDonalddie przy Mariahilferstrasse. Mercedes czekał na nas na ulicy i India kupiła też porcję lodów dla kierowcy. Potem była kawa w Café Museum naprzeciwko Opery, a na koniec apartament w hotelu Imperial przy Ringstrasse. Jeśli nie znacie Wiednia: w Imperialu zatrzymują się tacy

ludzie, jak Henry Kissinger, gdy są w mieście na konferencji. Ceny pokoi zaczynają się tu od stu czterdziestu dolarów.

Kiedy już się zainstalowaliśmy (boy posłał nam gniewne, urażone spojrzenie, ponieważ nie mieliśmy bagaży) i poskakaliśmy na łózkach, Paul wparadował do mojego pokoju z grą „Monopol”, którą, jak powiedział, kupił specjalnie na tę okazję. Zakończyliśmy wieczór, grając w „Monopol” na podłodze i jedząc wyśmienity *Sacher Torte* zamówiony do apartamentu. O czwartej rano Paul stwierdził, że musi się trochę prześpać, bo idzie do pracy.

Byliśmy wszyscy wymięci, senni, zmęczeni błazeństwami i śmiechem. Przed pójściem do łóżka uściskałem Tate’ów z siłą, która, mam nadzieję, powiedziała im, ile znaczyły dla mnie ta noc i ich przyjaźń.

Rozdział 3

— Jaki był twój brat? Podobny do ciebie?

Siedzieliśmy z Indią na ławce w Stadtpark, czekając na Paula. Liście zaczynały już żółknąć i w powietrzu unosił się ostry, dymny zapach prawdziwej jesieni.

— Nie, byliśmy zupełnie inni.

— Pod jakim względem?

Trzymała na kolanach szarą papierową tutkę gorących kasztanów i niezwykle starannie obierała je z łupin. Z przyjemnością patrzyłem, jak to robi. Chirurg kasztanów.

— Ross był sprytny, podstępny i zamknięty w sobie. Gdyby nie wybuchowy charakter, mógłby zostać najlepszym dyplomatą na świecie.

Gołąb porwał niedopałek papierosa leżący u naszych stóp.

— Co czułeś, kiedy umarł?

Zastanowiłem się, czy kiedykolwiek będę z Indią na tyle blisko, aby jej wyznać, co się rzeczywiście zdarzyło. Zastanowiłem się, czy w ogóle chcę to komuś wyznać. Co by to dało? Czy coś by naprawiło? Czy czułbym się mniej winny, podzieliwszy się z kimś prawdą? Zmierzyłem Indię twardym spojrzeniem i postanowiłem wypróbować na niej część tej prawdy.

— Powiedzieć ci coś? Czułem się gorzej, kiedy zamknięto moją matkę w zakładzie psychiatrycznym. Mój brat był zły, Indio. Zanim umarł, wyrządził mi tyle krzywd, że czułem się jak worek treningowy. Czasem myślę, że w ogóle nie dbał o to, że jestem jego bratem. Był aż tak okrutny czy sadystyczny, czy jak to nazwiesz. Więc w głębi duszy cieszyłem się, że nie będzie mnie już więcej bił.

— I co w tym złego? Miałeś rację.

Podąła mi dużego kasztana.

— Co masz na myśli?

— To, co powiedziałam: że miałeś rację. Joe, dzieci to małe potwory, niech sobie ludzie mówią, że są milutkie i słodkie. Są chciwe, egoistyczne i nie obchodzi ich nic oprócz własnych potrzeb. Nie było ci przykro, kiedy umarł twój brat, bo to znaczyło, że nie będzie cię już więcej bił. Co w tym złego? Czy byłeś masochistą?

Lekko się oburzyłem.

— Nie, ale to robi ze mnie kogoś okropnego.

— Hej, nie zrozum mnie źle, b y ł e ś okropny. Wszyscy jesteśmy okropni, gdy jesteśmy mali. Widziałeś kiedyś, jak niegodziwe i wstrętne są wobec siebie dzieci? I nie mówię o waleniu się łopatkami po głowach w trakcie zabawy w piaskownicy! Nastolatki... Boże, poucz ich jakiś czas, a dowiesz się, co to podłość. Nie ma na świecie istoty bardziej małostkowej, złośliwej i samolubnej niż piętnastolatek. Nie zdręczaj się tym, Joey. Ludzie stają się ludzcy dopiero po dwudziestce, a i wtedy ledwo zaczynają. Nie śmiej się, mówię zupełnie poważnie.

— W porządku, ale ja mam tylko dwadzieścia pięć lat!

— Kto powiedział, że jesteś ludzki?

Zjadła ostatniego kasztana i rzuciła we mnie łupiną.

* * *

Wydawca, który był zainteresowany moim pomysłem na zbiór wspomnień wojennych, wybierał się na frankfurckie Targi Książki i zaproponował, abyśmy się tam spotkali. Zgodziłem się z ochotą, ponieważ dostarczało mi to okazji do przejechania się pociągiem (co uwielbiam) i poznania ludzi ze środowiska. Wspomniałem o tym wyjeździe Paulowi tylko dlatego, że temat podróży koleją wypłynął pewnego dnia w rozmowie, gdy jedliśmy razem lunch. Zaczęliśmy wspominać wspaniałe wyprawy pociągami: Super Chiefem, Transalpinem, Blue Trainem z Paryża na Riwierę. . .

Było to na początku października, kiedy Tate'owie chodzili na trwający miesiąc festiwal filmów kryminalnych w Galerii Albertina. Wiedziałem, że w wieczór mojego wyjazdu wybierają się na podwójny seans, o którym mówili od tygodni — *Północ, północny zachód i 39 kroków*. Późnym popołudniem wypiliśmy razem kawę u Landtmanna i ustaliliśmy, że spotkamy się, gdy tylko wrócę do Wiednia. W porządku, do zobaczenia. Zatrzymałem się i odwróciłem, by popatrzeć, jak odchodzą. India opowiadała coś żywo

Paulowi, jakby nie widziała go od dawna i miała dlań mnóstwo nowin. Uśmiechnąłem się, myśląc o tym, jak szybko rozkwitła nasza przyjaźń. Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej, gdy pomyślałem, jak cudownie będzie wrócić do Wiednia i do nich.

Nigdy nie czuję się samotny na lotniskach czy dworcach kolejowych. Głosy i zapachy podróżnych, kurz i wielkie maszyny; ludzie spieszący we wszystkie strony; przyjazdy, odjazdy i oczekiwanie tętniące w żyłach zamiast krwi. Kiedy dokąds jadę, staram się być na dworcu co najmniej godzinę wcześniej, aby gdzieś usiąść i rozkoszować się tym zamieszaniem. Możesz iść po to na dworzec kolejowy zawsze, ale jest lepiej, jeśli wyjeżdżasz albo na kogoś czekasz.

Stary wiedeński Westbahnhof uległ zniszczeniu w czasie wojny i budynek, którym go zastąpiono, jest jednym z tych nowoczesnych pudeł pozbawionych wszelkiego charakteru. Ratuje go jednak to, że jest w osiemdziesięciu procentach ze szkła i z każdego miejsca możesz podziwiać panoramę okolicy. Cudownie jest pójść tam po południu i patrzeć, jak słońce napędza blaskiem całe wnętrze. Natomiast wieczorem trzeba wejść po szerokich schodach na piętro i szybko się odwrócić: Café Westend po drugiej stronie ulicy jest pełna ludzi i jasno oświetlona, tramwaje przepływają obok we wszystkich kie-

runkach, neonowe reklamy na ścianach domów pstrzą mrok słowami i sloganami, które przypominają ci, że jesteś w obcym kraju. Ubezpieczenie nazywa się *Interunfall Versicherung*, samochody to puch, łada i mercedes. Coca-cola jest wprawdzie coca-colą, ale tutaj *Coke macht mehr Kraus!*

Wypiłem na stojąco kawę w jednym z bufetów i ruszyłem nie kończącym się peronem do wagonu z moją kuszetką. Gdy mijałem bramkę, światła w pociągu były zgaszone, lecz nagle zapaliły się wszystkie naraz niczym latarnie uliczne o zmierzchu. Jakiś robotnik i bagażowy, ubrani w różne odcienie błękitu, rozmawiali i palili papierosy, opierając się o metalowy słup. Jako że byłem na razie jedynym podróżnym, otaksowali mnie uważnymi spojrzeniami. Do czasu odjazdu pociągu był to ich teren — co tu robię tak wcześniej? Bagażowy popatrzył na zegarek, zmarszczył brwi i wyrzucił papierosa. Robotnik bez słowa przeciął peron i wszedł do ciemnego wagonu pierwszej klasy, który ogłaszał na biało-czarnej tablicy, że głęboką nocą pojedzie do Ostendy, a stamtąd do Londynu.

Jakaś czarna lokomotywa ruszyła po torach z przeraźliwym gwizdem i zniknęła mi z oczu. Szedłem dalej, sprawdzając numery na bokach wagonów. Chciałem już być

w moim przedziale. Chciałem już siedzieć na moim miejscu, jeść gigantyczną kanapkę, którą zabrałem z domu na kolację, i przyglądać się, jak nadchodzą inni pasażerowie.

W jednym z przedziałów mojego wagonu nie paliło się światło. Wchodząc na strome metalowe schodki, założyłem się sam ze sobą, że jest to mój przedział. Przepaliła się żarówka i jeśli zechcę poczytać przed snem, będę musiał przejść dziesięć wagonów, nim znajdę wolne miejsce. Korytarz był oświetlony, ale rzeczywiście, na drzwiach ciemnego przedziału widniał numer mojej kuszetki. Niebieskie zasłonki były dokładnie zaciągnięte. Sekretne Sanktuarium. Pociągnąłem za uchwyt, ale drzwi się nie otworzyły. Odstawiłem torbę i użyłem obu rąk. Znowu nic. Rozejrzałem się za kimś, kto mógłby mi pomóc, ale korytarz był pusty. Klnąc, jeszcze raz złapałem za uchwyt i pociągnąłem z całej siły. Cholerne drzwi ani drgnęły. Kopnąłem w nie.

Zasłonki raptownie się rozsunęły. Przestraszony, dałem krok do tyłu. Zabrzmiało cicho temat z *Szeherezady*. W mroku przedziału błysnęła zapalka. Płomień przesunął się powoli w lewo i w prawo, po czym znieruchomiał i zgasł; zastąpił go snop matowożółtego światła latarki.

Z zewnątrz dobiegło mnie *tup* szepianych wagonów. Żółtawe światło trwało przez chwilę nieruchomo, a potem padło na dłoń w białej rękawiczce trzymającą czarny cylinder. Druga biała dłoń chwyciła przeciwną stronę błyszczącego ronda i cylinder zaczął się poruszać w rytmie zmysłowej muzyki.

— Niespodzianka!

W przedziale rozbłysło światło i zobaczyłem Indię Tate z butelką szampana w ręku. Stojący za nią Paul miał na głowie zawadiacko przekrzywiony cylinder, a dłońmi w białych rękawiczkach klauna otwierał drugą butelkę. Przypomniał mi się obraz wiszący w ich mieszkaniu. Więc to był Brzdąc.

— Jezu Chryste, to wy!

Drzwi się rozsunęły i India wciągnęła mnie do małego, gorącego przedziału.

— Gdzie są kubki, Paul?

— Co tu robicie? Co z waszym kinem?

— Bądź cicho i pij. Nie chcesz pożegnalnego szampana? Chciałem, i chlapnęła mi go tyle, że piana poleciała na brudną podłogę.

— Mam nadzieję, że będzie ci smakował, Joey. Jest chyba albański.

Paul, wciąż w rękawiczkach, podstawił swój plastikowy kubek do napełnienia.

— Ale co się stało? Czy nie przepadnie wam *Północ, północny zachód*?

— Tak, ale stwierdziliśmy, że należy ci się godziwe pożegnanie. Więc pij i ani słowa więcej. Możesz nam wierzyć albo nie, Lennox, ale kochamy cię bardziej niż Cary’ego Granta.

— Bzdura.

— Masz pełną rację, p r a w i e tak jak Cary’ego Granta. Chciałabym wznieść toast za naszą trójkę. Za towarzyszy broni.

Jakiś mężczyzna przeszedł za mną wąskim korytarzem. India podniosła kubek i powiedziała do niego:

— *Prosit*, brachu!

Nie zatrzymał się.

— Wracając do tego, co mówiłam, proponuję, abyśmy wypili za naprawdę cudowne życie.

Paul powtórzył toast i skinął głową na znak całkowitej aprobaty. Odwrócili się i podnieśli kubki, aby się ze mną stuknąć. Myślałem, że ze wzruszenia pęknie mi serce.

* * *

Czasami poczta w Austrii działa bardzo wolno; list może iść trzy dni z jednego końca Wiednia na drugi. Nie byłem więc zaskoczony, gdy dostałem widokówkę od Tate'ów z miasteczka Drosendorf w prowincji Waldviertel tydzień po moim powrocie z Frankfurtu. Podczas naszego przyjęcia w pociągu powiedzieli, że jadą tam na kilka dni odpoczynku i relaksu.

Widokówka była napisana niezwykle starannym, niemal zbyt sztywnym charakterem Indii. Ilekroć go widziałem, przypominała mi się próbka pisma Fredericka Rolfe zamieszczona w fascynującej biografii pióra A.J.A. Symonsa *Poszukiwanie Corvo*. Rolfe, który tytułował się baronem Corvo i napisał Hadriana VII, był kompletnie zszikowany. Gdy tylko poznałem Indię na tyle dobrze, aby móc z niej żartować, wcisnąłem jej *Poszukiwanie*, otwarte na stronie z tym zdumiewająco podobnym charakterem pisma. Nie była zachwycona porównaniem, ale Paul stwierdził, że trafiłem w dziesiątkę.

Kochany Joey

W centrum miasta jest wielki kościół. Wielką atrakcją tego wielkiego kościoła jest szkielet kobiety wystrojonej — chyba — w suknię ślubną. Kobieta leży za szybą i trzyma bukiet zwiędłych kwiatów.

Uściski,
państwo Brzdącowie.

Widokówka była interesująca o tyle, że żadne z nich nie lubiło mówić o rzeczach mających związek ze śmiercią. Kilka tygodni wcześniej jakiś mężczyzna w firmie Paula dostał wylewu krwi do mózgu i runął martwy na biurko. Paul był tak wstrząśnięty, że nie mógł już tego dnia pracować. Powiedział, że poszedł na spacer do parku, ale tak bardzo drżały mu nogi, że po kilku minutach musiał usiąść.

Kiedy go raz spytałem, czy wyobraża sobie czasem swoją starość i śmierć, powiedział, że nie. Widzi za to, ciągnął, starego człowieka z siwymi włosami i zmarszczkami, który nazywa się Paul Tate, ale nie jest nim.

— Jak to? W twoim ciele będzie żył ktoś inny?

— Tak, i nie patrz na mnie jak na wariata. To coś jak praca na zmiany w fabryce, rozumiesz? Ja pracuję na jednej ze środkowych zmian: od trzydziestego piątego do czterdziestego piątego roku życia. Potem do mojego ciała wprowadzi się inny facet, który będzie się znał na starości, artretyzmie i tak dalej, więc da sobie z nimi radę.

— Przyjdzie na ostatnią zmianę, tak?

— Właśnie! Będzie pracował od północy do siódmej rano. To ma sens, Joey, więc się tak nie śmieję. Czy zdajesz sobie sprawę, iloma różnymi osobami jesteśmy za życia? Że wszystkie nasze nadzieje, poglądy i tak dalej zmieniają się co sześć, siedem lat? Czy według nauki komórki ludzkiego organizmu nie ulegają regularnej odnowie? Z tym jest dokładnie tak samo. Posłuchaj, był czas, kiedy India i ja marzyliśmy o domu na wybrzeżu Maine, no wiesz, w stylu kolonialnym i z dużym terenem dokoła. Chcieliśmy hodować psy. Możesz w to uwierzyć? Teraz mdli mnie na samą myśl o stabilizacji. Kto mi udowodni, że naszych wewnętrznych ludzików, które chciały mieć dom w Maine, nie zastąpiła nowa ekipa lubiąca podróżować i oglądać nowe rzeczy? Przyłóż to do różnych etapów życia. Pierwsza załoga opuszcza cię jako siedmiolatka. Zastępuje ją grupa, która

przeprowadza cię przez okres dojrzewania i cały ten bałagan. Joe, chyba mi nie powiesz, że jesteś tym samym Joem Lennoxem, którym byłeś, kiedy umarł twój brat?

Energicznie potrząsałem głową. Gdyby tylko wiedział. . .

— Nie, nigdy w życiu. Mam nadzieję, że zostawiłem tamto „ja” daleko za sobą.

— Sam widzisz. To tylko dowodzi, że mam rację. Zmiana małego Joe odbiła kartę jakiś czas temu i teraz kieruje tobą nowa ekipa.

Spojrzałem na niego, aby się zorientować, czy mówi poważnie. Nie uśmiechał się i wyjątkowo nie poruszał rękami.

Jego pomysł mnie zaintrygował. Gdyby tak załoga „Joe Lennox, który zabił swojego brata” n a p r a w d ę odeszła. Byłbym czysty. Byłbym zupełnie inną osobą, która nie miała nic wspólnego z tamtym dniem. . .

— Coś ci powiem. Jeśli chcesz mieć dowód prawdziwości mojej teorii, wystarczy, że spojrzysz na Indię. Nienawidzi myśli o śmierci. Chryste, nie lubi się nawet przyznawać do chorób. Ale wiesz co? Uwielbia o nich czytać, zwłaszcza o naprawdę rzadkich i śmiertelnych, jak toczeń czy progeria. A jej ulubione filmy to horrory. Im krwawsze,

tym lepsze. Daj jej książkę Petera Strauba, a będzie w siódmym niebie. Nie powiesz mi, że pracuje w niej jedna załoga. Chyba że to sami schizofrenicy.

Zachichotałem.

— Chcesz powiedzieć, że na dodatek różne ludziki robią różne rzeczy? Jak w drużynie futbolowej? Jeden podaje, drugi blokuje. . .

— Nie mam co do tego wątpliwości, Joe. Najmniejszych.

Na chwilę zapadła cisza. Powoli skinąłem głową.

— Może i masz rację. Myślę, że moja matka była taka.

— To znaczy jaka?

— Ciągłe się zmieniała. Była tęczą uczuć.

— A ty taki nie jesteś?

— Nie, w najmniejszym stopniu. Nigdy nie byłem zbyt uczuciowy i nie lubiłem zwracać na siebie uwagi. Mój ojciec też nie.

Paul puścił do mnie oko i uśmiechnął się diabolicznie.

— Nigdy nie zrobiłeś nic niezwykłego? Nie wstrząsnąłeś wszechświatem?

Czas stanął jak film w zepsutym projektorze. Niemal zaczął się palić od środka. Paul Tate nie miał pojęcia, jak naprawdę zginął Ross, lecz nagle doznałem wrażenia, że to wie, i przestraszyłem się.

— Tak, jasne, jasne, zrobiłem w życiu parę dziwnych rzeczy, ale. . .

— Miotasz się jak przyparty do muru, Joey. Coś mi się zdaje, że masz w piwnicy jakieś kufry z mroczną zawartością.

Uśmiechnął się chytrze, zachwycony tym odkryciem.

— Uch, Paul, nie obiecuj sobie zbyt wiele. Nie jestem żadnym Attylą!

— Szkoda. Nie czytałeś *Portretu Doriany Graya*? Posłuchaj tego: „Jedynym sposobem pozbycia się pokusy jest ulec jej”. Amen, bracie. Założę się, że Attyla umarł szczęśliwy.

— Daj spokój, Paul. . .

— Nie migaj się, Joe. Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Nie ma na ziemi człowieka, który by nie tkwił po łokcie w złu. Dlaczego nie zrzucisz tej cholernej maski i nie przyznasz mi racji?

— Bo uważam, że lepiej zostawić to za sobą! Zająć się czymś innym! I mieć nadzieję, że następnym razem nie popełnimy błędu, jeśli b ę d z i e następny raz.

Ogarniało mnie podniecenie i musiałem zniżyć głos.

— Joe, jesteś tym, co zrobiłeś. Jesteś tym, co robisz. Wszyscy staramy się nie popełniać błędów, ale to nie jest takie łatwe. Może byłoby lepiej, gdybyśmy spojrzeli temu, co zrobiliśmy, prosto w oczy i spróbowali się z tym uporać. Może zamiast wiecznie wyglądać jutra, usiłując zapomnieć o tym, co się stało wczoraj czy dzisiaj, powinniśmy się rozliczyć z naszych przeszłych uczynków i. . .

Urwał w połowie zdania i popatrzył na mnie jakoś dziwnie. Był blady jak kreda, ale jeszcze bardziej uderzyła mnie straszliwa martwota jego oczu i ust. I choć po chwili się ożywił, twarz miał nadal ściągniętą i zamgloną, jakby uszło zeń coś ważnego.

Jak na ironię, ledwo położyłem się tej nocy spać, przyśnił mi się Ross. O ile pamiętam, niewiele się w tym śnie działo, ale coś mnie przestraszyło. Obudziłem się i potem długo nie mogłem zasnąć. Leżąc w ciemności, przypomniałem sobie, jak oblał mnie syropem. Jak można się rozliczyć z przeszłych uczynków, jeśli się nie wie, czy były dobre, czy złe?

— Kto to?

— M y, durniu! Nie poznajesz?

Pochyliłem się do przodu i popatrzyłem uważniej na ekran. Jacyś ludzie trzymali się krawędzi basenu. Mieli przylizane, mokre włosy, byli młodzi i wyraźnie zmęczeni. Naprawdę nie przypominali Tate'ów. India postawiła mi na kolanach miskę z popcornem. Była prawie pusta. Prażyliśmy i jedliśmy popcorn cały wieczór.

— Nudzisz się, Joey? Ja nie cierpię oglądać cudzych slajdów. To mniej więcej tak ciekawe, jak zagłądanie komuś w usta.

— Nie! Uwielbiam zdjęcia i domowe filmy. Pozwalają zobaczyć przyjaciół w tych okresach ich życia, w których nie brało się udziału.

— Joe Lennox, zawodowy dyplomata.

Paul przycisnął guzik i na ekranie pojawił się slajd Indii. Musiał zostać zrobiony tuż po poprzednim, ponieważ miała ten sam kostium kąpielowy i przylepione do głowy włosy. Uśmiechała się promiennie i teraz jej wdzięk nie ulegał kwestii. Musiała mieć jakieś pięć lat mniej, ale była tą samą zachwycającą kobietą, którą znałem.

— Na następnym jest mój ojciec. Oprócz mojej matki lubił tylko Paula.

— Pleciesz, Indio.

— Zamknij się. To żaden komplement. Nie lubił m n i e, swojej jedynej córki. Uważał, że jestem zarozumiała, i miał rację, ale co z tego? Następny slajd, profesorze.

— Kiedy to było, Indio? Jak jechałem do Maroka?

— Nie pamiętam. Ale to świetna fotka. Zupełnie o niej zapomniałam. Wyglądasz wspaniale. Jak z filmu *Korespondent zagraniczny*.

Pogłaskała jego kolano. On wziął ją za rękę. Jakże im zazdrościłem ich miłości.

Pokazał się następny slajd i ze zdumienia aż zamrugałem oczami. Staliśmy z Indią bardzo blisko siebie, pod rękę, wpatrując się w diabelski młyn na Praterze.

— Ukryta kamera! — Paul wziął garść popcornu. — Założę się, że żadne z was nie wiedziało, że zrobiłem to zdjęcie!

— Nie, skąd, pokazałeś mi je tylko dwanaście razy! Następny slajd.

— Mógłbym dostać odbitkę, Paul?

— Jasne, Joey, nie ma sprawy.

Przemknęła mi przez głowę bolesna myśl, że kiedyś, gdzieś daleko, Tate'owie będą pokazywać te slajdy komuś innemu i ten ktoś spyta obojętnym tonem, kim jest facet sto-

jący obok Indii. Znałem buddyjskie powiedzenie, że przemijalność rzeczy rani, i rzadko spędzało mi to sen z powiek. Niemniej, gdy szło o Paula i Indię, naprawdę się zastanawiałem, co bym bez nich zrobił. Wiedziałem, że życie biegłoby dalej, ale byłoby to tak, jak z chorymi na serce, którym lekarz zabrania używać soli. Po jakimś czasie zaczynają się chwalić, że ją odstawili i zupełnie im jej nie brakuje. Wielkie rzeczy. Każdy może p r z e t r w a ć; jednakże celem życia jest nie tylko przetrwanie, lecz także znalezienie w nim odrobiny przyjemności. Ja też mógłbym żyć bez soli, ale nie byłbym szczęśliwy. Plekroć spojrzalbym na stek, myślałbym sobie, o ile lepiej by smakował, gdybym tylko mógł go trochę posolić. To samo odnosiło się do Tate'ów: podróżowali przez życie tak swobodnie i radośnie, że chciałeś im w tej podróży towarzyszyć. Dzięki nim wszystko stawało się dużo bogatsze i pełniejsze.

Po tym, co się wydarzyło w moim życiu, byłem rozdarty między strachem przed miłością a tęsknotą za nią. W krótkim czasie naszej znajomości Tate'owie nieświadomie sforsowali mury mojego serca i sprawili, że zacząłem wymachiwać czerwoną flagą miłości tak wysoko, jak tylko się dało. Nie wiedziałem, czy kocham ich pojedynczo, czy też razem, jako Paula i Indię / Indię i Paula. Nie dbałem jednak o to, bo nie miało to znaczenia. Kochałem ich i to mi wystarczało.

Rozdział 4

Pewnego dnia Paul ni stąd, ni zowąd zadzwonił i oświadczył, że jedzie w dwutygodniową podróż służbową na Węgry i do Polski. Nie chciał jechać, ale musiał, i tyle.

— Joey, chodzi o to, że unikam tych cholernych wyjazdów, jak mogę, bo czasami India staje się nerwowa i przygnębiona, jeśli nie ma mnie dłużej niż kilka dni. Rozumiesz? Nie zdarza jej się to za każdym razem, ale czasem wpada w lekką histerię. . .

Dokończył to zdanie niemal szeptem i przez kilkanaście sekund na linii panowała cisza.

— Nie ma sprawy, Paul. Będziemy spędzać razem mnóstwo czasu. O nic się nie martw. Myślałeś, że ją opuszczę, czy co?

Westchnął i odezwał się już swoim normalnym głosem — twardym i stanowczym.

— To świetnie, Joey. Prawdziwy z ciebie przyjaciel. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Przecież to jasne, że się nią zaopiekujesz.

— Hej, *vuoi un puno?*

— Co?

— To po włosku „chcesz w dziób?” Za kogo ty mnie uważasz?

— Wiem, wiem, kretyn ze mnie. Ale opiekuj się nią n a p r a w d ę dobrze, Joey. Jest moim skarbem.

Skończywszy rozmowę, długo trzymałem słuchawkę w dłoni. Paul wyjeżdżał tego popołudnia i miałem zjeść z Indią kolację. Zastanawiałem się, co powinienem włożyć. Moje nowiusienkie, nieprzyzwoicie drogie spodnie od Gianniego Versace? Dla Indii Tate tylko to, co najlepsze.

Kiedy się ubierałem, przemknęła mi przez głowę myśl, że dokądkolwiek pójdziemy w ciągu najbliższych dwóch tygodni, ludzie będą nas brać za małżeństwo. India i Joe.

Nosiła ślubną obrączkę i jeśli ktoś ją zauważy, pomyśli, że dostała ją ode mnie. India i Joseph Lennoxowie. Uśmiechnąłem się do siebie w lustrze i zacząłem nucić starą piosenkę Jamesa Taylora.

India włożyła tweedowe bryczesy koloru złotych jesiennych liści i rdzawy golf. Bez przerwy trzymała mnie pod rękę, była zabawna, elegancka i jeszcze bardziej urocza niż zwykle. Od początku prawie nie wspominała o Paulu i po jakimś czasie ja też przestałem.

Zakończyliśmy ten pierwszy wieczór w snack-barze nieopodal Grinzingu. Gang punkowatych motocyklistów posyłał nam mordercze spojrzenia, ponieważ się śmiaaliśmy i znakomicie bawiliśmy. Nie próbowaliśmy ukryć naszego zadowolenia. Jakiś chłopak z ogoloną głową i agrafką w uchu zmierzył mnie wzrokiem pełnym — nie wiedziałem — odrazy czy zazdrości. Jakim prawem taki sztywniak jak ja tak dobrze się bawi? To niewłaściwe, niesprawiedliwe. Po jakimś czasie motocykliści wyszli. Po drodze wszystkie dziewczyny przyczesaly sobie włosy, a chłopcy ostrożnie, powoli, niemal z czułością włożyli na głowy wielkie, okrągłe kaski.

Staliśmy później na rogu ulicy *vis-a-vis* snack-baru, czekając w jesiennym chłodzie na tramwaj do śródmieścia. Zmarłem momentalnie. Złe krążenie. Widząc, że cały się trzęsę, India roztarła mi ramiona. Był to poufały, intymny gest i zacząłem się zastanawiać, czy zrobiłaby to w obecności Paula. Cóż za absurdalna, niska myśl, uwłaczająca zarówno Indii, jak i Paulowi. Zrobiło mi się wstyd.

Na szczęście India zaczęła śpiewać i przełamawszy moje poczucie winy, ostrożnie do niej dołączyłem. Odśpiewaliśmy *Love Is a Simple Thing*, *Summertime* i *Penny Candy*. Ośmielony, zaintonowałem *Under the Boardwalk*, ale powiedziała, że nie zna tej piosenki. Nie zna *Under the Boardwalk*?

Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. Dodałem, że to przebój wszech czasów, ale tylko ponownie wzruszyła ramionami i spróbowała puścić kółko z pary ciepłego oddechu. Powiedziałem, że musi się go nauczyć, i że nazajutrz ugotuję dla nas kolację i puszcze jej wszystkie moje stare płyty *Driftersów*. Odparła, że dobrze. W porywie entuzjazmu nie zdawałem sobie sprawy, co robię. Zaprosiłem ją do siebie samą. S a m ą. Kiedy to do mnie dotarło, wydało mi się, że jest dziesięć stopni mniej.

Gdy India wyjrzała na tramwaj, pozwoliłem sobie zadzwonić zębami i wbiłem rękę głęboko w kieszenie. Byłem napięty jak gumka opasująca tysiąc grubych kart do gry.

Dlaczego tak się bałem tej wizyty? Nic się w jej trakcie nie wydarzyło. Zjedliśmy spaghetti carbonara, wypiliśmy chianti i posłuchaliśmy Złotych Przebojów dla Oldboyów z Kolekcji Josepha Lennox. Wszystko było bardzo oficjalne i przyzwoite i na koniec zrobiło mi się trochę smutno. Odkąd zaprzyjaźniłem się z obojgiem Tate'ów, nie pragnąłem już Indii tak mocno jak na początku, ale po jej wyjściu spojrzałem na swoje dłonie i pomyślałem, że gdyby nadarzyła się okazja, zaciągnąłbym ją do łóżka w jednej sekundzie. Czułem się z tym podle, jak najgorszy zdrajca, ale, na litość boską, kto mógłby się oprzeć Indii Tate? Eunuch, wariat albo święty. Nie byłem żadnym z nich.

Nazajutrz jej nie widziałem, ale długo rozmawialiśmy przez telefon. Szła z jakimś znajomym do opery i rozwodziła się nad tym, że uwielbia *Die drei Pintos* Webera w Mahlerowskim opracowaniu. Chciałem jej powiedzieć, jak bardzo jestem rozczarowany, że się nie spotkamy, ale ugryzłem się w język.

Następnego dnia zdarzyło się coś bardzo dziwnego i może nawet bardziej intymnego niż seks, ale okoliczności tego zdarzenia były tak absurdalne, że wstyd mi o nim pisać.

India powiedziała później, że była to wspaniała scena z kiepskiego filmu, ja jednak nadal uważałem ją za szmirę w najgorszym wydaniu.

Był sobotni wieczór; szykowała dla nas kolację w ich mieszkaniu. Kiedy kręciła się po kuchni, krojąc, siekając i mieszając, zacząłem śpiewać. Dołączyła do mnie i wykonaliśmy *Camelot*, *Yesterday* oraz *Guess Who I Saw Today, My Dear*. Jak dotąd wszystko w porządku. India nadal kroїła i siekała; ja siedziałem z rękami za głową i wzrokiem wbitym w sufit, czułem się dobrze i bezpiecznie. Gdy skończyliśmy *He Loves and She Loves*, odczekałem kilka sekund, aby mogła coś zaintonować. Ponieważ milczała, zanuciłem pierwsze taktę *Once Upon a Time*. Do dziś nie wiem, dlaczego wybrałem tę piosenkę. Normalnie śpiewam ją tylko wtedy, gdy jestem przygnębiony albo smutny. India miała ładny, wysoki głos, który kojarzył mi się z jasnym błękitem. Potrafiła owijać go wokół mojego, tak że nasz śpiew brzmiał harmonijnie. Czułem się dzięki temu sto razy bardziej muzykalny niż byłem w rzeczywistości.

Jeśli nie znacie *Once Upon a Time*, powinienem wyjaśnić, że ma bardzo smutne zakończenie; zawsze przestaje śpiewać, zanim do niego dojdę. Tym razem, ponieważ śpiewałem z Indią, postanowiłem jakoś dobrać do końca, ale nic z tego nie wyszło,

bo nieoczekiwanie zamilkła ona i utknęliśmy w próżni, nie wiedząc, co robić. Nagle poczułem się znużony, pełen smutnych ech i łzy napłynęły mi do oczu. Wiedziałem, że jeśli szybko czegoś nie wymyślę, zacznę płakać. Siedziałem oto w ciepłej kuchni mojej przyjaciółki, przez tych kilka godzin byłem panem jej domu. Coś, o czym marzyłem od lat i czego nigdy nie zaznałem. Były wcześniej kobiety — łanie, myszki i lwice. Były chwile, gdy miałem pewność — ale one nie. Albo one się zdecydowały, lecz ja wciąż wahałem. . . Nigdy nie było prosto ani dobrze i skończyło się na samotności — szczególnej samotności, w Wiedniu, w wieku dwudziestu paru lat — do której, co gorsza, zaczynałem się przyzwyczajać.

Czarna cisza dzwoniła swoim dzwonkiem. Nadal miałem oczy wbite w sufit, lecz wiedziałem, że w końcu będę musiał spojrzeć na Indię. Zebrawszy się w sobie, zamrugałem parę razy, aby powstrzymać łzy, i powoli opuściłem załęczniony wzrok. Opierała się o kuchenny blat, trzymając obie ręce w kieszeniach spodni. Ona nie próbowała zapanować nad swymi emocjami i choć płakała, patrzyła na mnie poważnie i czule.

Podeszła, usiadła mi na kolanie i oplótszy długimi ramionami moją szyję, mocno mnie przytuliła. Kiedy odwzajemniłem uścisk — niezobowiązująco i ostrożnie — wyszeptała mi w kark:

— Czasami ni stąd, ni zowąd robię się taka smutna.

Skinałem głową i zacząłem kołysać nas na krześle. Ojciec i jego przestraszone dziecko.

— Och, Joe, czasami tak bardzo się boję.

— Czego? Chcesz o tym porozmawiać?

— Niczego. Wszystkiego. Że się zestarzeję, że nic nie wiem. Że nigdy nie będę na okładce „Time’u”.

Roześmiałem się i uścisnąłem ją mocniej. Świetnie wiedziałem, co ma na myśli.

— Fasola się przypała.

— Wiem. Niech się przypała. Tul mnie. To lepsze od fasoli.

— Chcesz pójść na hamburgera?

Odsunęła się ode mnie i uśmiechnęła. Miała całą twarz we łzach. Chlipnęła i potarła ręką nos.

— Możemy?

— Tak, kochanie, i jeśli zechcesz, kupię ci jeszcze koktajl.

— Joe, chwytasz mnie za serce. Jesteś cudowny.

— Kiedyś ty to zrobiłaś, więc teraz jesteście kwita.

— Co zrobiłam?

— Chwyciłaś mnie za serce. I już nie puściłaś. Pocałowałem ją w czubek głowy i znów poczułem ten jej delikatny czysty zapach.

* * *

Nazajutrz zjedliśmy śniadanie w pełnej mosiądzów i marmurów *Konditorei* na Pözellangasse, niedaleko ich mieszkania. Potem, jako że dzień był pogodny i ciepły, postanowiliśmy przejechać się samochodem wzdłuż Dunaju i stanąć w jakimś ładnym miejscu. Oboje tryskaliśmy energią i zdecydowanie mieliśmy ochotę na długi spacer. W pobliżu Tulln znaleźliśmy ścieżkę biegnącą równoległe do rzeki i częściowo przez las. India cały czas trzymała mnie za rękę. Pospacerowaliśmy i pobiegaliśmy, i pomachaliśmy do załogi rumuńskiej barki, która sunęła powoli w górę rzeki. Kiedy ktoś na

pokładzie nas zobaczył i zabuczał syreną, popatrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem, jakby udała nam się magiczna sztuka. Był to dzień z gatunku tych, które przez swą banalność wydają się potem niewiele warte, ale kiedy je przeżywasz, promieniają niewinnością i prostotą, jakich nigdy nie znajdziesz w chwilach racjonalizmu.

Wróciliśmy do miasta o śliwkowo-pomarańczowym zachodzie słońca i zjedliśmy wczesną kolację w greckiej tawernie koło uniwersytetu. Jedzenie było okropne, ale towarzystwo wyjątkowe.

I tak minęły dwa tygodnie nieobecności Paula. Nie napisałem ani jednej linijki, bo stale byliśmy razem. Gotowaliśmy, spacerowaliśmy po dalekich dzielnicach miasta, gdzie nikt nigdy nie zagląda, a już na pewno nie turyści. To, że jesteśmy prawdopodobnie jedynymi osobami, które je z w i e d z a j ą, cieszyło nas bezgranicznie. Poszliśmy też na parę filmów w niemieckiej wersji językowej i, pod wpływem nastroju chwili, posłuchać, jak Alfred Brendel gra Brahmsa w Konzerthaus.

Pewnego wieczoru postanowiliśmy sprawdzić, co Wiedeń ma do zaoferowania z nocnego życia. Odwiedziliśmy chyba ze dwadzieścia lokali, w których wypiliśmy trzydzieści filiżanek kawy, dziesięć lampek wina i parę coca-coli na dodatek. O drugiej

nad ranem siedzieliśmy w Café Hawelka, przyglądając się tamtejszym dziwnym typom, gdy nagle India odwróciła się do mnie i powiedziała:

— Joey, jesteś najzabawniejszym mężczyzną, jakiego spotkałam od czasu Paula. Dlaczego nie mogę być żoną was obu?

Paul wracał w sobotę wieczorem; mieliśmy wyjść po niego na dworzec. Nie powiedziałem tego Indii, lecz po raz pierwszy, odkąd poznałem Paula, wcale aż tak się nie cieszyłem, że go zobaczę. Nazwijcie to zazdrością, zaborczością, czy jak tam chcecie, ale przyzwyczailem się do prowadzenia Indii pod rękę po całym mieście i wiedziałem, że będzie mi piekielnie trudno i smutno z tego zrezygnować.

* * *

— Cześć, dzieciaki!

Patrzyliśmy, jak idzie ku nam peronem z rękami pełnymi toreb i paczek i wielkim, promiennym uśmiechem na twarzy. Uściskał Indię, a potem mnie. Miał nam do opowiedzenia tysiąc historii o „komuchach” i koniecznie chciał iść do kawiarni, by po raz pierwszy od dwóch tygodni napić się prawdziwej kawy. Wziąłem jedną z jego walizek

i wydała mi się lekka jak puch. Nie wiedziałem, czy jest pusta, czy to kwestia adrenaliny pompowanej przez moje ciało z prędkością mili na minutę. Nie wiedziałem już, co czuję. India szła między Paulem i mną, trzymając nas pod rękę. Wyglądała na zupełnie szczęśliwą.

* * *

— Co za gnida.

— Indio, uspokój się.

— Nie! Co za podła gnida. Jak ci się to podoba? Miał czelność o to spytać.

— Co dokładnie powiedział?

— S p y t a ł mnie, czy ze sobą spaliśmy.

W moim żołądku dzwonił Big Ben — po części z oburzenia, po części dlatego, że tym jednym pytaniem Paul trafił w sedno. Czy przez te dwa tygodnie chciałem się przespać z Indią? Tak. Czy nadal chciałem się przespać z Indią, moją najlepszą przyjaciółką i żoną mojego najlepszego przyjaciela? Tak.

— Co mu odpowiedziałeś?

— A co mi a ła m odpowiedzieć? Nie! Nigdy czegoś takiego nie zrobił.

Gotowało się w niej. Kilka stopni więcej i para poszłaby jej uszami.

— Indio?

— Co?

— Nieważne.

— C o? Powiedz. Nie znoszę tego. Powiedz mi w tej chwili.

— To nic takiego.

— Joe, jeśli mi nie powiesz, zabiję cię!

— Chciałem.

— Co chciałeś?

— Iść z tobą do łóżka.

— O kurczę.

— Mówiłem, zapomnijmy o tym.

— Nie dlatego to „kurczę”. — Splotła dłonie i przycisnęła je do brzucha. — Tej nocy, kiedy chodziliśmy po kawiarniach, pragnęłam cię tak bardzo, że myślałam, że umrę.

— O kurczę.

— No to już wszystko wiemy. I co dalej?

* * *

Gadaliśmy, gadaliśmy i gadaliśmy, do kompletnego wyczerpania. Zaproponowała, żebyśmy poszli na zakupy. Chodziłem za nią po targu na trzęsących się nogach. Od czasu do czasu, ważąc grejpfruta czy wybierając jajka, rzucała mi spojrzenie, od którego kręciło mi się w głowie. Było niedobrze. Cała ta sprawa była niedobra. Paskudna. Wredna. Co mogliśmy zrobić?

Wzięła do ręki trójkącik sera brie.

— Myślisz?

— Za dużo. Przepali mi się bezpiecznik w mózgu.

— Mnie też. Lubisz brie?

— Co?

* * *

Paul zadzwonił tego wieczoru koło siódmej i spytał, czy chcę pójść z nimi do kina na jakiś horror. Była to ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę, więc podziękowałem. Odłożywszy słuchawkę, zacząłem się zastanawiać, czy moja odmowa nie wzbudziła jego podejrzeń. Wiedział, że czasem spotykamy się z Indią w ciągu dnia, kiedy skończy malować albo po jej lekcji niemieckiego na uniwersytecie. Co się teraz stanie? Był taki miły i wielkoduszny; nigdy nie sądziłem, że Paul jest człowiekiem zazdrosnym lub podejrzliwym. Czy właśnie pokazał mi się od tej strony?

— Joe?

— India? Na litość boską, która godzina?

Spojrzałem na stojący przy łóżku budzik, ale miałem w oczach senną mgłę.

— Po trzeciej. Spałeś?

— Tak. Gdzie jesteś?

— Spaceruję. Pokłóciłam się z Paulem.

— O kurczę. Dlaczego spacerujesz?

Usiadłem na łóżku. Koc zsunął mi się z piersi i poczułem, że w pokoju jest zimno.

— Bo nie chcę być w domu. Miałbyś ochotę na kawę czy coś?

— No wiesz. . . hmm. . . dobrze. Albo. . . albo może wpadniesz do mnie? Pasuje ci?

— Jasne. Jestem na rogu twojej ulicy. Znasz tę budkę telefoniczną?

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową.

— Mam trzy razy zapalić i zgasić światło na znak, że droga wolna?

Zanim się rozłączyła, usłyszałem soczyste brooklyńskie prychnięcie.

* * *

— Skąd masz ten szlafrok? Wyglądasz jak Margaret Rutherford w roli panny Marple.

— Indio, jest trzecia w nocy. Czy nie powinnaś zadzwonić do Paula?

— Po co? Nie ma go w domu. Wybył.

Szedłem do kuchni, ale po tym stanąłem jak wryty.

— Gdzie wybył?

— Skąd mam wiedzieć? On poszedł w jedną stronę, ja w drugą.

— Więc wcale nigdzie nie...

— Zamknij się, Joe. Co robimy?

— Z tym? Z nami? Nie wiem.

— Naprawdę chcesz iść ze mną do łóżka?

— Tak.

Westchnęła głośno i dramatycznie. Chciałem na nią spojrzeć, ale nie mogłem. Z jej pytaniem opuściła mnie cała odwaga.

— A ja, Joey, chcę iść do łóżka z tobą, więc chyba mamy spory problem, co?

— Chyba tak.

Zadzwoił telefon. Spojrzałem na Indię i wskazałem go palcem. Potrząsnęła głową.

— Nie odbiorę, to na pewno ten kretyn. Powiedz, że mnie nie ma. Albo nie! Powiedz, że jestem z tobą w łóżku i nie wolno mi przeszkadzać. Ha! Tak jest! Powiedz mu to!

— Słucham?

— Joe? Jest tam India?

Sądząc z tonu, wiedział, że jest, i pytał tylko przez grzeczność. Nie zamierzałem ryzykować.

— Tak, Paul. W ł a ś n i e przyszła. Chwileczkę. Wyciągnąłem do niej słuchawkę. Popatrzyła na mnie wilkiem i wyrwała mi ją z ręki.

— C z e g o, śmierdzieli? Co? Tak, żebyś, kurwa, wiedział! Co? Tak. Dobrze. . . Co?. . . Powiedziałam „dobrze”, Paul. W porządku. — Odłożyła słuchawkę. — Zdrajca.

— I co?

— Powiedział, że jest mu przykro i że chce mnie przeprosić. Nie wiem, czy powinnam mu pozwolić. — Zapinała już płaszcz, ale zatrzymała się przy ostatnim guziku i posłała mi długie, twarde spojrzenie. — Joe, idę do domu, żeby wysłuchać przeprosin mojego męża. Powiedział nawet, że chce przeprosić ciebie. Chryste! To się stanie i oboje o tym wiemy, a ja idę do domu, żeby wysłuchać j e g o przeprosin za to, że był podejrzliwy. Czy to jest złe, Joe? Czy naprawdę jesteśmy tacy źli?

Popatrzyliśmy na siebie i minęła długa chwila, zanim zdałem sobie sprawę, że szczękam zębami.

— Boisz się, prawda, Joe?

— Tak.

— Ja też. Ja też. Dobranoc.

* * *

Dwa tygodnie później odwróciłem jej zapłakaną twarz ku swojej i pocałowałem ją. Było dokładnie, d o k ł a d n i e tak, jak wyobrażałem sobie całowanie Indii Tate: delikatnie, prosto, ale zachwycająco namiętnie.

Wzięła mnie za rękę i powiodła do sypialni. W nogach mojego podwójnego łóżka leżała, starannie złożona, wielka puchowa kołdra koloru koralowego. Prześcieradło było białe i gładkie. Nocne lampki ze szklanymi kloszami dawały przyćmione, nastrojowe światło. India obeszła łóżko i zaczęła rozpinać bluzkę. Po chwili zobaczyłem, że nie ma stanika, co musiało ją zawstydzić, bo odwróciła się do mnie plecami.

— Joe, mogę zgasić światło?

W łóżku odkryłem, że jej piersi są większe niż myślałem; skórę miała sprężystą i jędrną. W ciemności było to ciało tancerki, grzejące w świeżej, lodowatej pościeli.

Nie wiem, czy seks jest odbiciem prawdziwego charakteru i osobowości człowieka, choć często słyszałem takie opinie. India była bardzo dobra — bardzo gibka i aktywna. Umiała przedłużać nasze orgazmy, nie stwarzając wrażenia, że jest to manipulacja czy wykonywanie instrukcji z *Radości seksu*. Powiedziała, że chce mnie poczuć tak głęboko, jak to tylko możliwe, i kiedy się tam znalazłem, nagrodziła mnie takimi słowami i drżeniem, że zapragnąłem wniknąć jeszcze głębiej i wstrząsnąć każdą cząstką jej ciała.

Pierwszy raz był szybki, drugi już spokojniejszy, mniej desperacki. To mnie nie zaskoczyło: w moim przypadku pierwszy raz z każdą kobietą służy raczej udowodnieniu, że naprawdę to robię, niż przyjemności. Dopiero pokonawszy tę barierę, znów stajesz się ludzki, omylny i wrażliwy. Latarnia uliczna rzucała na łóżko ostre, wulgarne światło. India wróciła do sypialni, niosąc dwie szklaneczki z winem, które kupiłem po południu. Była wciąż naga i gdy usiadła obok mnie na brzegu łóżka, światło przesunęło się w górę po jej boku i zatrzymało pod piersiami.

— Jest bardzo zimne. Pociągnęłam spory łyk w kuchni i zaraz rozbolała mnie głowa, jak czasem po lodach.

Podawała mi wino i kiedy usiadłem, stuknęliśmy się szklaneczkami w niemym toaście.

— Nie jest ci zimno?

— Nie, wcale.

— Zgadza się, żaden z was. . . tfu.

Z zażenowania aż zamknąłem oczy. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem, było ściągnięcie tu Paula.

— Joey, wszystko w porządku. Nie ma go tutaj. — Wypiła wino i spojrzała za okno. — Nadal się cieszę, że to zrobiliśmy, a jest to przecież wielki sprawdzian, no nie? Co czujesz, gdy już zaspokoisz pożądanie i wrócisz do punktu wyjścia. Pragnęłam cię, zrobiliśmy to i nadal jesteśmy szczęśliwi, prawda? Nie chcę myśleć o niczym innym. Muszę ci coś powiedzieć, nawet jeśli to nic nie znaczy. Odkąd jestem z Paulem, nie robiłam tego z nikim innym. Nie ma to znaczenia, ale chciałam, żebyś wiedział.

Przesunęła ciepłą jeszcze dłonią po mojej piersi, złapała koniec kołdry i ściągnęła ją w dół: z mojego brzucha, z mojego penisa, który znów rozkwitł jak afrykański fiołek. Usiadła na mnie okrakiem, zwilżyła śliną palce, po czym chwyciła mnie, mocno jak rewolwer, i wsunęła w siebie. W połowie zrobiła przerwę i zląkłem się, że ją uraziłem, ale ona tylko czekała, aż znów stanie się panią swojej przyjemności.

* * *

Pewnego dnia odbyliśmy w łóżku rozmowę o moim „typie” kobiety.

— Zażożę się, że nie jestem w twoim typie.

— Co ty mówisz?

Wsunąłem sobie poduszkę pod głowę.

— Że nie jestem dziewczyną, kobietą, w twoim typie.

— Indio, musisz być, inaczej nie leżelibyśmy tutaj.

Poklepałem koldrę między nami.

— Tak, wiem, jestem atrakcyjna i w ogóle, ale nie w twoim typie. Nie, nic nie mów.

Cii, poczekaj, daj mi zgadnąć.

— Indio. . .

— Cicho. Chcę spróbować. Znając cię. . . na pewno lubisz duże blondyny albo rude z małymi pupami i wielkimi cyckami.

— Pudło! Nie rób takiej cwanej miny. Rzeczywiście lubię blondynki, ale nigdy nie przepadałem za dużymi piersiami. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, lubię piękne nogi. Ty masz piękne nogi.

— Mogą być. Nie oszukujesz z tymi piersiami? Mogłabym przysiąc, że uwielbiasz obcisłe sweterki.

— Nie. Lubię długie, smukłe nogi. A przede wszystkim, lubię, jak kobieta nie przejmuje się swoim wyglądem, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Nie maluje się zbyt mocno, bo nie ma to dla niej znaczenia. Jeśli jest atrakcyjna, wie o tym, i to jej wystarcza. Nie odczuwa potrzeby chwaleń się tym, co ma.

— A do tego sama piecze chleb, jest zwolenniczką naturalnych porodów i zjada trzy miski płatków owsianych dziennie.

— Indio, sama spytałaś, a teraz się nabijasz.

— Przepraszam. — Przynęła się bliżej i przełożyła przeze mnie jedną z tych swoich długich nóg. — Oprócz wyglądu, co jeszcze ci się we mnie podoba?

Była poważna, więc odpowiedziałem poważnie.

— Jesteś nieprzewidywalna. W tym twoim atrakcyjnym ciele mieszka dużo różnych kobiet, i bardzo mi się to podoba. Każda interesująca osoba ma zróżnicowane cechy, ale w twoim przypadku jest tak, jakby nie istniała jedna India Tate. To naprawdę niezwykle. Kiedy jestem z tobą, czuję się, jakbym był z dziesięcioma kobietami.

Połąskotała mnie.

— Czasami robisz się strasznie poważny, Joey. Masz taką minę, jakbyś odpowiadał z biochemii. Chodź tu i daj mi wielkiego całusa.

Zrobiłem to i przez jakiś czas leżeliśmy w milczeniu, przytuleni do siebie.

— Powiedzieć ci coś zwariowanego, Indio? Jakaś częśćka mnie nadal cieszy się na spotkania z Paulem. Czy to nie dziwne?

Pocałowała mnie w czoło.

— Ani trochę. Paul jest twoim przyjacielem. Dlaczego miałbyś nie chcieć go widywać? Uważam, że to miłe.

— Tak, ale. . . Wiesz, dlaczego mordercy wyłupiają swoim ofiarom oczy?

Odepchnęła mnie, a w jej głosie zadźwięczała irytacja.

— O czym ty mówisz?

— Jest taki stary przesąd. Ostatnią rzeczą, którą widzi ofiara, jeśli została zabita od przodu, jest twarz mordercy, prawda? Niektórzy ludzie wierzyli, że ten obraz utrwała się na gałkach ocznych zmarłego jak na kliszy, i jeśli spojrzysz mu w oczy, zobaczysz, kto go zabił. — Umilkłem i spróbowałem się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego beznadziejny, żalospny grymas. — Wciąż mi się wydaje, że pewnego dnia Paul spojrzy mi w oczy i zobaczy ciebie.

— Chcesz powiedzieć, że cię zamordowałam?

Jej twarz nic nie wyrażała: była po prostu blada i delikatna. Jej głos brzmiał tak, jakby dochodził z księżyca. Pragnąłem jej dotknąć, ale nie zrobiłem tego.

— Nie, Indio, nie to chciałem powiedzieć.

* * *

W pierwszych dniach naszego romansu obserwowałem ją, gdy się kochaliśmy, tak uważnie jak fizyk obserwuje wskazania licznika Geigera, ale w wyrazie jej twarzy nie było niczego, czego nie widziałbym wcześniej. Miałem chyba nadzieję, że podczas tych porywów gorącej, lecz nieskomplikowanej namiętności odkryję, jak się układa między

nią a Paulem. I nawet nie wiedziałem, czego oczekuję. Czy chciałem, żeby wszystko zostało po staremu? Czy też potajemnie, samolubnie pragnąłem, aby znudziła się mężem i ostatecznie wybrała mnie?

Ile czasu mogło minąć, zanim Paul o wszystkim się dowie? Jeśli szło o schadzki i miłosne liściki pisane atramentem sympatycznym, nie byłem zbyt pomysłowy ani sprytny. Miałem już parę romansów z mężatkami i mój sposób postępowania polegał wówczas na tym, że decyzje gdzie i kiedy pozostawiałem kobiecie i dostosowywałem się do nich bez względu na to, jak bardzo pragnąłem z nią być. Znałem swoje ograniczenia i wiedziałem, że gdybym wziął stronę organizacyjną na siebie, schrzaniłbym wszystko w dwie sekundy.

Paul był dobrym, starym Paulem i traktował mnie jak dawniej. India również była taka sama; najwyżej puszczała do mnie czasem oko lub delikatnie trącała mnie nogą pod stołem. Tylko ja się zmieniłem; w ich towarzystwie stale byłem kłębkim nerwów. Ale oboje udawali, że tego nie widzą.

India nadal mnie odwiedzała i mieliśmy nasze okruchy czasu, gdy moje łóżko było całym światem. Będąc z nią, starałem się nie myśleć o niczym innym i chwycić tę część

dnia, którą mogła mi ofiarować. Nie były to spotkania wyczerpujące, toteż wieczorem dziwiłem się swojemu zmęczeniu. Często padałem na łóżko spragniony snu jak nigdy w życiu. Kiedy pewnego dnia spytałem Indię, czy jej też się to zdarza, spała już na moim ramieniu, a była dopiero dziesiąta rano.

Gdzieś na początku listopada poczucie winy zaczęło gwizdać znajomą melodię i chociaż bardzo się starałem, nie mogłem go zagłuszyć. Zdawałem sobie sprawę, że jego głównym źródłem jest mój ambiwalentny stosunek do Indii. Czy ją kochałem? Nie. Kiedy byliśmy w łóżku, często wydawała okrzyki typu „Tak, kochanie! Och, kochanie!” i czułem się wtedy niezręcznie, ponieważ wiedziałem, że jej nie kocham. Jeśli chodziło o mnie, nie było w tym nic złego — zależało mi na niej, pragnąłem jej i potrzebowałem, coraz bardziej, na wiele różnych sposobów. Już dawno przestałem wierzyć, że spotkam kobietę, którą mógłbym pokochać całkowicie i bezgranicznie. Czasami próbowałem sobie wmówić, że to, co czuję do Indii, jest jedynym rodzajem miłości, do jakiego Joseph Lennox jest zdolny, lecz wiedziałem, że to nieprawda. Czego więc jeszcze chciałem? Jakiego składnika brakowało? Nie miałem pojęcia. Wiedziałem tyle, że tam, gdzie powinna być magia i błękitne iskry, jest „tylko” zręczna kuglarska sztuczka, która bardzo mi się podoba, ale kiedyś podejrziałem ukryte lusterka.

Rozdział 5

Trzymając przed sobą bukiet niczym delikatną tarczę, czekałem, żeby któreś mi otworzyło.

W drzwiach stanęła India. Na widok pęku czerwonych i różowych róż obdarzyła mnie uśmiechem.

— Joey, to strasznie miło z twojej strony.

Wzięła kwiaty i cmoknęła mnie w policzek. Ruszyłem korytarzem i nagle poczułem krótkie, bolesne uszczypnięcie w plecy. India uwielbiała szczypać.

— Świetnie dziś wyglądasz, przystojniaku. Gdyby nie było Paula, przewróciłabym cię na podłogę i zgwałciła.

Szurnałem do salonu jak dźgnięty ostrogą. Nie miałem nastroju na niebezpieczne życie. Paula nie było widać, pewnie szykował w kuchni swoją część kolacji. Lubili tak się dzielić — Paul przyrządzał zupę i sałatkę, India danie główne i deser. Pokój był ciepły i jaśniał morelowym światłem. Usiadłem na kanapie i położyłem trzęsące się dłonie na trzęsących się kolanach.

— Czego się napijesz, Joey?

Paul wyszedł z kuchni z butelką octu w jednej ręce i piwem w drugiej.

— To piwo wygląda całkiem nieźle.

— Piwo? Przecież nie pijasz piwa.

— Raz na jakiś czas mogę.

Roześmiałem się, naśladując eleganckich bohaterów filmowych z lat trzydziestych.
Herbert Marshall. Cha, cha — lew salonowy.

— Proszę bardzo, oto piwo. Chcę ci powiedzieć, bracie, że dzisiejsza kolacja przebiję Paula Bocuse’a⁴. Zaczniemy ni mniej, ni więcej tylko od sałatki nicejskiej. I to ze świeżymi sardelami; nie dla nas jakieś tam maleństwa z puszki!

Wrócił do kuchni, zostawiając mnie z obrazem chudych, szarych rybek. Ross kazał mi kiedyś zjeść dwie wielkie puszki sardeli, co bynajmniej mnie do nich nie przekonało. Zagroził, że jeśli ich nie zjem, powie Bobby’emu Hanleyowi, jak „wykorzystuję” jego siostrę. Kiedy teraz kombinowałem, jak utrzymać te cholerstwa w żołądku, gdy już się tam znajdują, ręce mdlały mi na kolanach.

— Będę jadł dużo chleba.

— Co?

India weszła do pokoju, niosąc żółty wazon z kwiatami. Postawiła go na środku stołu i cofnęła się, by ocenić efekt.

— Gdzie o tej porze roku dostałeś róże? Musiały kosztować fortunę.

Nadal rozpracowywałem problem trawienia sardeli i nie odpowiedziałem.

⁴Paul Bocuse — francuski kucharz i restaurator, prekursor *nouvelle cuisine*.

— Paul szykuje dla ciebie prawdziwą ucztę, Joe.

Paul wystawił głowę z kuchni.

— Żebyś wiedziała. Jesteśmy mu winni chyba z dziesięć zaproszeń. Chryste, musiał się tobą zajmować przez dwa tygodnie. Nawet Matka Teresa by oszalała. India chciała podać piezzonego kurczaka i puree z ziemniaków.

— Zamknij się, Paul. Joe lubi piezzonego kurczaka.

— Prostackie, Indio, bardzo prostackie. Zaczekaj, aż się dowie, co dla niego mam. — Zaczął wyliczać na palcach: — Sałatka nicejska. *Coq au vin*. Ciasto ananasowe.

Dosłownie wbiło mnie w kanapę. Nienawidziłem każdej z tych rzeczy. Nie jadłem ich, dzięki Bogu, od lat, odkąd moja matka trafiła do zakładu. Sporządziliśmy kiedyś z Rossem listy jej dań, których najbardziej nie znosimy, i jadłospis Paula na ten wieczór obejmował przynajmniej połowę mojej. Zdobyłem się — ledwo, ledwo — na kretyńskie mlaśnięcie, które wyraźnie go ucieszyło.

Kiedy Paul tłukł się po kuchni, India bawiła mnie rozmową. Wyglądała inaczej. Upięła włosy do góry, co podkreślało jej patrycjuszowskie rysy. Poruszała się po poko-

ju z wdziękiem i swobodą, pewna siebie jako gospodyni. Ja czułem się tutaj jak Jekyll i Hyde. Na tej kanapie prowadziłem długie dyskusje z Paulem. Pod tym oknem wsu-
nałem kiedyś dłonie w tylne kieszenie dżinsów Indii i przyciągnąłem ją do siebie. Przy
tym stole, tonącym teraz w różowościach i tropikalnej zieleni, gawędziliśmy, popija-
jąc popołudniową kawę. Kanapa, okno, stół — pokój był pełen duchów tak niedawnej
przeszłości, że niemal mogłem ich dotknąć. Mimo to w głębi serca czułem dumę i za-
dowolenie, bo w połowie należały do mnie.

— Podano do stołu!

Paul wyszedł z kuchni zabawnym, chwiejnym krokiem, niosąc wielką drewnianą
miskę z sałatką. Dwa drewniane widelce sterczały z niej po bokach jak brązowe królicze
uszy.

Przy każdym daniu starałem się jak najwięcej mówić i jak najmniej patrzeć na talerz.
Przypomniałem sobie, jak wspinałem się kiedyś na niewielką górę i w połowie drogi
odkryłem, że cierpię na lęk wysokości. Kolega, z którym byłem, uspokoił mnie, że
wszystko będzie dobrze, jeśli tylko nie będę patrzył w dół. Dzięki tej radzie wybrnąłem
potem z wielu życiowych opresji, niekoniecznie związanych z górami.

Jakimś cudem, kiedy w końcu spuściłem wzrok, na moim talerzu leżało już tylko kilka podejrzanych włókien ananasa. Najgorsze miałem za sobą i mogłem z czystym sumieniem odłożyć zmęczony widelec.

Paul zapytał, kto chce kawy, i znów zniknął w kuchni. Siedząca z mojej prawej strony India lekko dźgnęła mnie widelczykiem w rękę.

— Wyglądasz, jakbyś zjadł dętkę rowerową.

— Cii! Nie znoszę sardeli.

— Dlaczego nic nie mówiłeś?

— Cii, Indio!

Potrząsnęła głową.

— Jesteś straszną fujarą.

— Indio, przestań! Nie jestem fujarą. Jeśli zadał sobie tyle trudu, żeby...

Zgasły lampy i do pokoju wjechał stolik ze świecami na wszystkich czterech rogach. Ich płomyki oświetlały Paula; miał na głowie cylinder Brzdąca. Rozległy się fanfary na trąbce i grzmiące werble.

— Proszę państwa, gwoli waszej pokolacyjnej rozrywki, Salon Habsburski przedstawia Bezkonkurencyjnego Brzdąca i jego worek, a raczej kapelusz, pełen czarów!

Paul zachował kamienną twarz przez cały ten wstęp. Kiedy głos umilkł (sądziłem, że dochodził z magnetofonu umieszczonego w drugim pokoju), uklonił się nisko i sięgnął za siebie. Lampy znów się zapaliły i w tej samej chwili zgasły świece. Puff! Tak po prostu.

— Hej, Paul, świetna sztuczka!

Skinął głową, lecz położył palec na ustach, by mnie uciszyć. Miał znajome białe rękawiczki z obrazka Indii, biały podkoszulek i frak. Zdjął cylinder i położył go przed sobą na stoliku otworem do góry. Zerknąłem na Indię, ale przyglądała się występowi.

Paul wyjął zza pazuchy duży srebrny klucz, pokazał go nam i wrzucił do cylindra. W górę strzelił taki płomień, że aż podskoczyłem na krześle. Paul uśmiechnął się, podniósł cylinder i odwrócił go, abyśmy mogli zajrzeć do środka. Z otworu wyleciał mały czarny ptaszek. Przyfrunął nad nasz stół, usiadł na talerzyku Indii i zaczął dziobać ciasto. Paul dwa razy stuknął w stolik; ptaszek posłusznie wrócił do niego. Paul nakrył go

cylindrem, głośno cmoknął i uniósł kapelusz. Wypadło z niego z metalicznym szczękiem dwadzieścia czy trzydzieści srebrnych kluczyków.

India zaczęła klaskać jak szalona. Natychmiast do niej dołączyłem.

— Brawo, Brzdaću!

— Paul, mój Boże, to było fantastyczne! — Nie miałem pojęcia, że jest taki zdolny. — Ale gdzie się podział ptaszek?

Powoli potrząsnął głową i znów położył palec na ustach.

Poczułem się jak niegrzeczny siedmiolatek na szkolnym przedstawieniu kukielkowym.

— Poczytaj nam w myślach, Brzdaću!

Choć nie wierzyłem w takie rzeczy, poczułem się nieswojo. Miałem ochotę przyłożyć Indii, żeby się zamknęła.

— Brzdać nie będzie dziś czytał w myślach. Przyjdźcie kiedy indziej, a powie wam wszystko, także to, że Joseph Lennox był bardzo niezadowolony z dzisiejszej kolacji!

— Proszę, Paul...

— Kiedy indziej!

Zrobił ręką taki gest, jakby zaciągał firankę w niewidocznym oknie.

Biała dłoń znieruchomiła nad brzegiem cylindra. Paul znowu cmoknął i po raz drugi strzelił w górę pomarańczowy język ognia. Natychmiast zresztą zniknął i cylinder przewrócił się na bok. Usłyszałem metaliczny brzęk i ze środka wyskoczył wielki blaszany ptak-zabawka. Miał żółty dziób i czarne skrzydła, a z grzbietu sterczał mu duży czerwony klucz. Powoli przedefilował do krawędzi stolika i zatrzymał się. Paul pstryknął palcami, ale nic się nie stało. Pstryknął jeszcze raz. Ptak wzbił się w powietrze i zaczął latać. Poruszał się za wolno i za ostrożnie: jak staruszek wchodzący do basenu z zimną wodą. Nie miało to jednak znaczenia, bo wolno czy nie, poszybował do góry i z głośnym klekotem fruwał po pokoju.

— Jezu Chryste! Niesamowite!

— Brawo, Brzdącu!

Ptak był przy oknie. Zawisł przy żaluzjach w taki sposób, jakby wyglądał na zewnątrz. Paul zastukał w stolik. Ptak odwrócił się niechętnie i pofrunął do niego. Gdy wylądował na stoliku, Paul nakrył go cylindrem. Zacząłem klaskać, ale India dotknęła mojej ręki i potrząsnęła głową — za wcześniej, to jeszcze nie był koniec sztuczki.

Paul uśmiechnął się, odwrócił cylinder otworem do góry i dwukrotnie w niego stuknął. Znów strzelił płomień, ale tym razem nie zgasł. Paul odwrócił cylinder otworem w dół i na stolik wypadł skrzeczący, płonący, żywy ptak — mała kulka ognia próbująca wstać i wzbić się w powietrze... Byłem tak przerażony, że nie wiedziałem, co robić.

— Paul, przestań!

— Nazywam się Brzdąc.

— Paul, na litość boską!

India chwyciła mnie za rękę tak mocno, że aż zabolęło.

— Nazwij go Brzdącem, bo nigdy nie przestanie!

— Brzdącu! Brzdącu, przestań! Co ty, do diabła, wyprawiasz?

Ptak nadal skrzeczał. Wytrzeszczyłem oczy na Paula, a on uśmiechnął się do mnie. Niedbale wziął cylinder i nakrył nim rozchwiany płomień, po czym stuknął w denko i podniósł cylinder. Nic. Żadnego ptaka, dymu, swądu, popiołu... Nic.

Po kilku sekundach uświadomiłem sobie, że India klaszcze.

— Brawo, Brzdącu! Cu-dow-nie! Spojrzałem na nią. Bawiła się wyśmienicie.

* * *

Brzdąc pojawił się ponownie w Święto Dziękczynienia. Od lat nie jadłem indyka z sosem żurawinowym, kiedy więc India odkryła, że jedna z niezliczonych sal restauracyjnych wiedeńskiego Hiltona serwuje specjalną świąteczną kolację, zgodziłem się z nimi pójść.

Paul miał wolny dzień i chciał go w pełni wykorzystać. Zamierzałem pisać do południa, a potem mieliśmy się spotkać pod hotelem Europa i pójść gdzieś na kawę. Później chcieliśmy pospacerować po I dzielnicy, oglądając wystawy eleganckich sklepów, powoli dotrzeć do Hiltona, wypić drinka w barze Klimt i podążyć na naszą ucztę.

Trochę się spóźniłem; stali już przed hotelem. Oboje mieli na sobie lekkie wiosenne kurtki, które wyglądały śmiesznie przy futrach i rękawiczkach innych przechodniów, nie mówiąc o napastliwym, zimowym wietrze. Byli ubrani niezobowiązująco, ale Paul trzymał w ręku dużą skórzaną aktówkę, z którą chodził do pracy. Pomyślałem, że widocznie z jakiegoś powodu wpadł rano do biura.

Na ulicach Graben i Karntner rojło się od dobrze ubranych, zamożnych ludzi spacerujących od sklepu do sklepu. W tej części miasta wszystko kosztuje więcej niż powinno, ale wiedeńczycy kochają prestiż i często widzi się najbardziej zaskakujące osoby w ubraniach od Missoniego albo z torbami Louisa Vuittona.

— Oto i on, Bosonogi Joe z Hannibal w Missouri.

— Cześć! Długo czekacie?

Paul pokręcił głową, że nie, India skinęła, że tak. Popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się.

— Przepraszam, zasiedziałem się przy robocie.

— Tak? To zasiądźmy teraz przy jakiejś kawie. Zaczyna mi syczeć w brzuchu.

I odmaszerowała, zostawiając nas w tyle. Czasem tak właśnie robiła. Widziałem kiedyś z daleka, jak Tate'owie idą „razem”. Wyglądało to absurdalnie. India sunęła dobry metr przed Paulem, stawiając wielkie kroki i patrząc prosto przed siebie niczym przejęty kadet. Paul posłusznie dreptał za nią, ale kręcił głową na boki, przyglądając się wszystkiemu i w ogóle się nie spiesząc. Szedłem za nimi dłuższą chwilę, zachwycony

tym przedstawieniem, ciekaw, kiedy India się odwróci i przynagli Paula. Nie zrobiła tego. Ona maszerowała, on się włókł.

Na kawie było miło. Paul odwiedził poprzedniego dnia lotnisko i opisał nam pasażerów wysiadających z czarterowego samolotu z Nowego Jorku. Powiedział, że po ubiorze i zachowaniu mógł natychmiast poznać, kto jest kim. Austriaczki były wystrojone w kreacje znanych projektantów, Austriacy w obcisłe dzinsy i kowbojskie buty w kolorach od piaskowego do śliwkowego z czarnymi burbońskimi liliami, i wszyscy schodzili po schodkach szybko, pewnie i z uśmiechem, ponieważ byli już na własnym terenie.

Natomiast Amerykanie włożyli na podróż obrzydliwie praktyczne buty na grubych gumowych podszewkach i niemnące ubrania, tak sztywne, że wyglądali w nich jak w planszach reklamowych. Schodzili na płytę lotniska powoli, rzucając przerażone lub gniewne spojrzenia: podejrzliwi osiemdziesięciolatkowie, którzy właśnie wylądowali na księżycu.

Niektóre sklepy na Graben zaczęły już świąteczny handel. Byłem ciekaw, kiedy do miasta zjadą farmerzy z choinkami na sprzedaż. Austriacy ubierają choinki dopiero w Wigilię, ale można je kupić wiele tygodni naprzód.

— Jak spędzasz święta, Joey?

— Jeszcze nie wiem. Na ogół zostawałem w Wiedniu. Raz pojechałem do Salzburga, żeby zobaczyć, jak jest udekorowany. Powinniście się tam wybrać: Salzburg w Boże Narodzenie to jest coś.

Popatrzyli na siebie i India wzruszyła ramionami. Zastanawiałem się, czy nie jest o coś na mnie zła. Po kawie poszliśmy w stronę katedry św. Stefana; włożyłem rękawiczki. Byłem pewien, że się ochłodziło, lecz Tate'owie najwyraźniej tego nie czuli, mimo strojów dobrych na późno-wiosenny dzień.

Restauracja była zdumiewająco zatłoczona. Gdy szliśmy za kelnerką, Paul uklonił się kilku osobom. Dostaliśmy stół pod wielkim oknem z widokiem na Stadtpark i wiszące nad nim nieruchomo pierzaste fioletowe chmury.

— Spytałem cię o świąteczne plany, Joey, bo jedziemy na pięć dni do Włoch. Może wybrałbyś się z nami?

Zerknąłem na Indię, ale jej twarz nic nie wyrażała. Skąd ten pomysł? Które z nich na to wpadło? Nie miałem pojęcia, co, do diabła, powinienem odpowiedzieć. Dwa razy otworzyłem usta jak głodna ryba, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

— Czy to oznacza zgodę?

— Chyba tak. . . Jasne, że tak!

Serwetka, którą bawiłem się nerwowo, spadła na podłogę. Schylając się po nią, naciągnąłem sobie mięsień w plecach. Zabolało. Próbowałem zmusić mózg, by ogarnął wszystkie aspekty propozycji i rozszyfrował, co się za nią kryje. India nie była mi w tym szczególnie pomocna.

— Świetnie. Skoro więc już to ustaliliśmy, przepraszam was na chwilę.

Paul wstał, wziął aktówkę i ruszył do wyjścia z jadalni. Patrzyłem za nim, póki nie usłyszałem jakiegoś chrupnięcia. India gryzła długą zieloną łądygę selera naciowego.

— Nie waż się mnie pytać, co jest grane, Joe. To wyłącznie jego pomysł. Obudził się dziś rano cały podniecony i chciał wiedzieć, co ja na to. Co miałam zrobić? Nie zgodzić się? Może chce ci w ten sposób wynagrodzić wcześniejszą podejrzliwość.

— Nie wiem. Ciarki mi chodzą po krzyżu.

— Mnie też, Joe. Ale nie chcę o tym dzisiaj rozmawiać. Do świąt jeszcze daleko i wiele może się zdarzyć. Jedźmy indyka i cieszymy się życiem.

— To może być trudne.

Nerwowo wytarłem usta serwetką.

— Cicho! Opowiedz mi, co rodzina Lennoxów robiła w Święto Dziękczynienia. Jedliście indyka?

— A wiesz, że nie? Mój brat, Ross, go nie lubił, więc zawsze zamiast indyka mieliśmy gęś.

— Gęś? Kto to słyszał, żeby na Dziękczynienie jeść gęś? Ten twój Ross musiał być prawdziwym dziwolągiem, Joe.

— Dziwolągiem? To nie jest odpowiednie słowo. Ross... Czy wiesz, że często o niego pytasz, Indio?

— Tak. To ci przeszkadza? Chcesz wiedzieć, dlaczego? Bo robi wrażenie ciekawego demona.

Uśmiechnęła się i porwała oliwkę z mojego talerza.

— Lubisz demony?

— Tylko jeśli są ciekawe. — Wzięła następną oliwkę. — Wiesz, co napisała Karen Blixen? „Współpraca z demonem działa inspirująco”.

Kelner przyniósł sałatkę, co przerwało jej wywód. Przez chwilę jedliśmy w milczeniu, a potem India odłożyła widelec i podjęła:

— Paul był małym demonem, kiedy go poznałam. Niesamowite, co? Ale prawdziwe. Miał setki nie zapłaconych mandatów i kradł w sklepach z najbardziej niewzruszoną miną, jaką można sobie wyobrazić.

— Paul kradł?

— Tak jest.

— Nie do wiary. Mój brat też kradł w sklepach. Raz zwędził wszystkie prezenty, które dał nam na Gwiazdkę.

— Naprawdę? To cudowne! Widzisz? Był ciekawy! I powiem ci coś jeszcze: nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówił o kimś z tak mieszanymi uczuciami. Jednego dnia przedstawiasz go jak swego idola, następnego jak Kubę Rozpruwacza.

Zaczęliśmy o tym rozmawiać. Kelner przyniósł indyka i spytał, czy ma nałożyć Paulowi, czy też poczekać, aż wróci. Spojrzałem na zegarek i aż podskoczyłem, gdy

dotarło do mnie, jak długo go nie ma. Przeniosłem wzrok na Indię, chcąc sprawdzić, czy się denerwuje. Kilka sekund grzebała widelcem w talerzu, a potem popatrzyła na mnie.

— Joe, wiem, że to głupie, ale czy mógłbyś zajrzeć do toalety? Na pewno wszystko jest w porządku, ale zrób to dla mnie, dobrze?

Odłożyłem serwetkę i pospiesznie strzepnąłem okruchy ze spodni.

— Jasne! Pilnuj, żeby kelner nie zjadł mi indyka.

Powiedziałem to lekkim tonem, w nadziei, że się uśmiechnie. Ale na jej twarzy malowało się coś pomiędzy lękiem i udawanym spokojem.

Wstałem, ale nie chciałem nigdzie iść. Nie chciałem się ruszyć z miejsca. Chętnie przestałbym na środku restauracji, na oczach tych wszystkich ludzi, do końca dnia. Strach nie ma godności.

Trzeba wam wiedzieć, że odkąd zginął mój brat, przerażenie towarzyszyło mi stale. Z każdej sytuacji wyciągałem pochopne wnioski i wyobrażałem sobie najgorszy możliwy rozwój wypadków. Robiłem tak, ponieważ wiedziałem, że jeśli się mylę i wszystko

skończy się dobrze, będę zachwycony, jeśli zaś mam rację (co zdarzało się rzadko), ta nowa okropność nie uderzy już we mnie z taką siłą jak śmierć Rossa.

Starałem się iść powoli, żeby nie zdenerwować Indii (gdyby przypadkiem mnie obserwowała) i nie przykuć uwagi innych gości. Patrzyłem prosto przed siebie, ale nic nie widziałem. Brzęk setek sztucców rozbrzmiewał donośniej i bardziej alarmująco, niż mogłem przypuszczać. Zagłuszał odgłos moich kroków i wszystkie te dźwięki, które wydają i które tak wyraźnie słyszę, gdy jestem przerażony i zbliżam się do tego, co mnie przeraża.

Przy wyjściu z sali potknąłem się o wybrzuszenie dywanu i ledwo utrzymałem równowagę. Męska toaleta znajdowała się dokładnie na wprost jadalni, we wnęce oświetlonej jedynie zielonym napisem HERREN nad drzwiami. Ująłem zimną metalową klamkę, zamknąłem oczy, nabrałem powietrza w płuca i pchnąłem drzwi. Zobaczyłem rząd lśniących białych pisuarów. Ani śladu Paula. Odetchnąłem z ulgą. Pomieszczenie było nienaturalnie jasne i ostro pachniało sosnowym środkiem dezynfekcyjnym. Za pisuarami, naprzeciwko rzędu białych umywalek, znajdowały się trzy szare kabiny.

Idąc ku nim, zawołałem go po imieniu. Żadnej odpowiedzi. Znow ogarnął mnie ponury strach, choć rozsądek podpowiadał mi, że Paul może być w tysiącu różnych miejsc: rozmawiać długo przez telefon, przeglądać pisma w kiosku. . .

— Paul?

Spostrzegłem, że coś się rusza pod drzwiami środkowej kabiny i niewiele myśląc, uklęknąłem, by zobaczyć, co to takiego.

Przez chwilę byłem pewien, że poznaję jego czarne, znoszone mokasyny, ale wtedy nogi podniosły się powoli do góry i zniknęły z pola widzenia — jakby mężczyzna, który był w środku, z jakiegoś dziwnego powodu przyciągnął je do piersi. Przemknęła mi przez głowę myśl, że powinienem przysunąć się bliżej kabiny, ale resztki zdrowego rozsądku krzyczały, żebym przestał zaglądać pod drzwi kibla i natychmiast stamtąd zjeżdżał.

— Wszyscy na zewnątrz muszą usiąść!

— Paul?

— Żaden Paul! Tutaj jest Brzdąc! Jeśli chcecie zostać na przedstawieniu, musicie się pobawić z Brzdącem!

Nie wiedziałem, co robić. Klęczałem na podłodze z zadartą głową, patrząc na drzwi ubikacji. Ponad nimi ukazał się czarny cylinder, a potem twarz Paula, obramowana otwartymi dłońmi (ich wnętrza zwrócone ku mnie, kciuki pod brodą). Włożył białe rękawiczki Brzdąca.

— Wezwaliśmy was tu dzisiaj, aby znaleźć odpowiedź na Wielkie Pytanie: dlaczego Joseph Lennox rżnie Indię Tate?

Popatrzył na mnie słodko. Zamknąłem oczy i zobaczyłem krew pulsującą pod moimi powiekami.

— Nikt się nie zgłasza? Jak wam nie wstyd? Brzdąc urzęduje dla was cały pokaz czarów, a wy nie chcecie odpowiedzieć na jedno maleńkie pytanko?

Zebrałem odwagę, by znów nań spojrzeć. Oczy miał zamknięte, lecz jego usta nadal się poruszały, mówiąc coś bezgłośnie. I nagle:

— Ha! Skoro nie ma ochotników, będę was wywoływał. Joseph Lennox w trzecim rzędzie! Powiesz nam, dlaczego Joseph Lennox rżnie żonę Paula Tate'a?

— Paul. . .

— Nie Paul! Brzdąc! Paula nie ma dziś z nami. Woli wariować w samotności.

Otworzyły się zewnętrzne drzwi i do toalety wszedł jakiś mężczyzna w szarym garniturze. Paul zanurkował do kabiny, a ja głupio udałem, że zawiązuję sznurowadło. Mężczyzna omiótł mnie spojrzeniem, po czym upchnął koszulę w spodniach, poprawił krawat i wyszedł. Odprowadziłem go wzrokiem. Gdy się odwróciłem, Paul był znów widoczny i uśmiechał się do mnie. Opierał łokcie na górnej krawędzi drzwi, a jego podbródek spoczywał na splecionych białych dłoniach. W innych okolicznościach wyglądałby zabawnie. Jego głowa zaczęła się kiwać z boku na bok, powoli i rytmicznie jak wahadło metronomu.

— India i Joe C-A-Ł-U-J-A S-I-E na drzewie! Powtórzył to dwa czy trzy razy. Nie wiedziałem, co robić, dokąd pójść. Jak powinienem postąpić? Uśmiech pierzchnął i Paul zacisnął wargi.

— Joey, ja nigdy bym ci tego nie zrobił. — Jego głos był cichy jak modlitwa w kościele. — N i g d y! Niech cię diabli! Wynos się! Wynos się z mojego życia! Drań. Pojechałbyś z nami do Włoch?! Tam też byś ją rznął?! Wynos się!

Wydało mi się, że płacze. Nie mogłem na to patrzeć. Uciekłem.

Rozdział 6

Dwa nieszczęśliwe dni później, gdy nadal rozważałem, co robić, zadzwonił telefon. Spojrzałem na aparat i podniosłem słuchawkę dopiero po trzecim sygnale.

— Joe?

To była India. Głos miała przerażony, znekany.

— India? Cześć.

— Joe, Paul nie żyje.

— N i e ż y j e? Jak to? Co ty mówisz?

— Mówię, że n i e ż y j e, do diabła! Przed chwilą zabrała go karetka. Umarł. Nie żyje!

Zaczęła płakać. Był to głośny, spazmatyczny szloch z przerwami na złapanie tchu.

— O Boże! J a k? Co się stało?

— Serce. Atak serca. Ćwiczył jak co dzień i po prostu upadł na podłogę. Myślałam, że się wygłupia. Ale on nie żyje, Joe. Boże, co mam robić? Joe, jesteś jedyną osobą, do której mogłam zadzwonić. Co mam robić?

— Będę u ciebie za pół godziny. Nie, szybciej. Indio, nic nie rób, dopóki nie przyjadę.

Nie sposób oswoić się ze śmiercią. Żołnierze, lekarze i przedsiębiorcy pogrzebowi widzą ją bez przerwy i przyzwyczajają się do pewnych jej aspektów, lecz nie do jej istoty. Nie sądzę, aby ktokolwiek to potrafił. Dla mnie otrzymanie wiadomości o śmierci bliskiej osoby jest jak droga w dół po znanych, lecz pogrążonych w mroku schodach. Chodziłeś nimi milion razy i wiesz, ile stopni jeszcze przed tobą, ale gdy chcesz stanąć na następnym, okazuje się, że go nie ma. Potykasz się i nie możesz w to uwierzyć. I od

tej pory będziesz się tam potykał często, ponieważ, jak wszystkie rzeczy, do których przywykłeś, ten brakujący stopień stał się częścią ciebie.

Zbiegając po schodach, powtarzałem jak aktor, który uczy się nowej roli: „P a u l n i e ż y j e?” „Paul Tate nie żyje”. „Paul n i e ż y j e”. Te słowa nie pasowały do siebie, brzmiały jak obcy, pozaziemski język. Nie sądziłem dotąd, że mogą wystąpić w jednym zdaniu.

Pod moją kamienicą stał stragan z kwiatami i przemknęła mi przez głowę myśl, żeby kupić coś dla Indii. Sprzedawca dostrzegł moje spojrzenie i z entuzjazmem powiedział, że ma wyjątkowo piękne róże. Obraz czerwonego bukietu sprawił, że oprzytomniałem i popędziłem ulicą w poszukiwaniu taksówki.

Kierowca miał monstrualną, czarno-żółtą, kraciastą czapkę do gry w golfa, wykończoną strzępiastym, czarnym pomponem. Była tak ohydna, że chciałem stracić mu ją z głowy i krzyknąć: „Jak możesz nosić coś takiego, kiedy przed chwilą umarł mój przyjaciel?” Z lusterka wstecznego zwisała na sznurku miniaturka piłki nożnej. Przejechałem całą drogę z zamkniętymi oczami, żeby nie musieć patrzeć na te paskudztwa.

— *Wiedersehen!* — ćwierknął do mnie przez ramię i taksówka odjechała.

Odwrociłem się przodem do ich domu. Na murze wisiała znajoma tabliczka z informacją, że budynek, który stał tu wcześniej, uległ zniszczeniu w czasie wojny. Ten wybudowano w latach pięćdziesiątych.

Nacisnąłem guzik domofonu i zdumiało mnie, jak szybko India się odezwała. Czyżby stała pod drzwiami od naszej rozmowy telefonicznej?

— To ty, Joe?

— Tak, Indio. Zanim wejdziesz, może przynieść ci coś ze sklepu? Nie napiłabyś się wina?

— Nie, chodź na górę.

W mieszkaniu panowało lodowate zimno, ale India miała na sobie mój ulubiony żółty T-shirt i białą płócienną spódnicę, nadającą się raczej na sierpniowe upały. Była też na bosaka. Tate'owie robili wrażenie całkowicie odpornych na chłód. Przestałem się temu dziwić, gdy uświadomiłem sobie, że właściwie jest to logiczne: oboje mieli w sobie tyle kipiącej życiowej energii, że mogli przetwarzać jakąś jej część w jednostki grzewcze. Myśl ta wydała mi się tak sensowna, że postanowiłem to sprawdzić. Gdy czekaliśmy

na tramwaj w jakiś paskudny, zimny, mglisty październikowy wieczór, „przypadkiem” dotknąłem dłoni Paula. Była gorąca jak dzbanek z kawą. Ale to się już skończyło.

Mieszkanie było złowieszczo schludne. Nie wiedzieć czemu, myślałem, że będzie przewrócone do góry nogami, ale nie było. Na bambusowym stoliku do kawy leżał równy wachlarzyk czasopism, na kanapie przeżyły się jedwabne poduszki. . . Najbardziej wstrząsnął mną widok stołu, wciąż nakrytego dla dwóch osób. Podkładki pod talerze, kieliszki do wina, sztucce. Stwarzało to wrażenie, że lada chwila podadzą kolację.

— Napijesz się kawy, Joe? Właśnie zaparzyłam.

Nie miałem ochoty na kawę, ale było oczywiste, że India chce się czymś zająć, móc zrobić coś z rękami i całym ciałem.

— Tak, z przyjemnością.

Przyniosła tacę z kubkami, talerzem pokrojonego ciasta, ciężką porcelanową cukiernicą i dzbanuszkami śmietanki oraz dwie płócienne serwetki. Krzątała się przy kawie i cieście tak długo, jak się dało, ale w końcu wyczerpała jej się bateria i musiała usiąść.

Zaczęła splatać i rozplatać dłonie, próbując mi posłać normalny, uspokajający uśmiech. Odstawiłem ciepły kubek i potarłem palcami wargi.

— Jestem wdową, Joe. W d o w a. Co za pieprzone, dziwaczne słowo.

— Powiesz mi, jak to było? Jesteś w stanie?

— Tak. — Zaczerpnęła oddechu i zamknęła oczy. — Zawsze gimnastykuje... gimnastykował się przed kolacją. Mówił, że go to odpręża i zaostrza mu apetyt. Byłam w kuchni i szykowałam...

Z jękiem odrzuciła głowę do tyłu i chowając twarz w dłoniach, zsunęła się z kanapy na podłogę. Skulona jak embrion płakała i płakała, aż zabrakło jej łez. Myśląc, że się uspokoiła, usiadłem obok i dotknąłem jej pleców. Wtedy znów wybuchnęła płaczem i wczołgała mi się na kolana. Minęło dużo czasu, nim powróciła cisza.

Paul robił przysiady. Zawsze bawili się w ten sposób, że liczył je głośno, aby słyszała, jaki jest w tym dobry. Nie przejęła się, kiedy zamilkł. Pomyślała, że się zmęczył albo zabrakło mu tchu. Gdy weszła do pokoju, leżał na plecach z rękoma zaciśniętymi na klatce piersiowej. Uznała, że się wygłupia i zaczęła nakrywać do stołu. Od czasu do czasu spoglądała na niego, a ponieważ nadal się nie ruszał, wpadła w złość. Kazała mu przestać błaznować. Nie zareagował, więc obiegała stół, żeby go polaskotać. Pochyliła

się nad nim z palcami gotowymi do ataku i dopiero wtedy zobaczyła, że z ust wystaje mu zakrwawiony koniuszek języka.

Kawa, którą piłem, nabrała smaku octu. India dokończyła opowieść, siedząc na drugim końcu kanapy i wpatrując się w ścianę naprzeciwko.

— Miał wysokie ciśnienie. Parę lat temu jakiś lekarz powiedział mi, że dla własnego dobra powinien się gimnastykować. — Odwróciła się do mnie, zaciskając usta w twardą kreskę uśmiechu. — Wiesz co? Kiedy ostatni raz był u lekarza, okazało się, że ciśnienie bardzo mu spadło.

— Indio, czy powiedział ci, co się wydarzyło w Hiltonie?

Skinęła głową.

— O Brzdaću?

— Tak.

— Myślisz, że to się stało, bo dowiedział się o nas?

— Nie wiem, Indio.

— Ja też nie wiem, Joe.

* * *

Pogrzeb odbył się trzy dni później, na małym cmentarzu obok jednej z winnic w Heiligenstadt. Paul odkrył to miejsce podczas któregoś z niedzielnych spacerów i wymógł na Indii obietnicę, że gdyby umarł w Wiedniu, spróbuje go tam pochować. Powiedział, że podoba mu się widok — ozdobne kamienne nagrobki z żeliwnymi krzyżami, w tle wzgórze i winnice, a na horyzoncie Schloss Leopoldsdorf i zielony skraj Wienerwaldu.

Znałem niektórych żałobników: niedźwiedziowatego Jugosłowianina imieniem Amir, który uwielbiał gotować i co najmniej raz w miesiącu zapraszał Tate'ów na kolację; przystojnego Murzyna, nauczyciela z jednej z wiedeńskich międzynarodowych szkół, który przyjechał jaskrawopomarańczowym kabrioletem porsche. Zjawilo się też parę osób z biura Paula, ale to już byli wszyscy. Zaskoczony, wciąż zerkałem na Indię, chcąc sprawdzić, czy jest świadoma tej mizernej frekwencji. Nie miała kapelusza i jej włosy powiewały lekko i swobodnie na wietrze. Na jej twarzy malowała się jakaś niedostępna harmonia. Powiedziała mi później, że myślała wyłącznie o swoim bólu i ostatnich chwilach spędzonych z mężem.

Dzień był ciepły i pogodny; słońce odbijało się wesoło od wypolerowanej płyty pobliskiego nagrobka. Nie licząc warkotu przejeżdżających drogą samochodów i chrzęstu żwiru pod naszymi stopami, na cmentarzu panowała cisza. Cisza, której nie chciałeś zakłócić, ponieważ pękłby szklany klosz okrywający tę chwilę, Paul Tate umarłby naprawdę, a my wkrótce byśmy odeszli.

Tak właśnie myślałem podczas dwóch poprzednich pogrzebów, w których brałem udział — że to my odchodzimy, a „oni” zostają. Jak wtedy, gdy ktoś odprowadza cię na pociąg. Gdy wagony ruszają ze stacji i machasz mu z okna na pożegnanie, nieuchronnie wydaje ci się coraz mniejszy i to nie tylko dlatego, że zwiększa się odległość między wami. Ty rośniesz, bo odjeżdżasz ku czemuś nowemu, a on się kurczy, bo zaraz wróci do domu, do tych samych posiłków i programów telewizyjnych, do tego samego psa, atramentu i widoku z okna salonu.

Przerwałem rozmyślenia o Paulu, by sprawdzić, jak znosi to India. Przyciskała torebkę do piersi i patrzyła w niebo. Co tam widziała? Byłem ciekaw, czy szuka wzrokiem raj. Nagle zamknęła oczy i powoli opuściła głowę. Tego dnia nie płakała, ale jak długo mogła wytrzymać? Postąpiłem krok w jej stronę; musiała usłyszeć chrzęst żwiru,

bo odwróciła się i spojrzała na mnie. I wtedy zdarzyły się dwie bardzo dziwne rzeczy. Po pierwsze, zamiast wyglądać na bliską łez czy jakiegoś gwałtownego wybuchu, robiła wrażenie, no cóż, znudzonej. Już to było deprymujące, a chwilę później jej twarz rozświetlił promienny uśmiech, jaki pojawia się tylko wtedy, gdy bez żadnego powodu spotyka nas coś cudownego. Dobrze, że nie musiałem nic powiedzieć, bo nie mógłbym wydobyć głosu.

Pastor Kościoła anglikańskiego skończył swoje „popiół do popiołu, proch do prochu”. Nie miałem pojęcia, co łączyło go z Tate’ami. Na pewno nie znał Paula osobiście, bo przemawiał urzędowo współczującym tonem, w którym nie było ani serdeczności, ani smutku. Co ciekawe, nazywał się tak samo jak pastor w moim rodzinnym mieście — ten, który odprawił ceremonie pogrzebowe Rossa i mojej matki.

Kiedy było po wszystkim, czekałem, aż ludzie złożą Indii kondolencje. Trzymała się świetnie; znów, mimo tego uśmiechu sprzed kilku minut, podziwiałem jej siłę i opanowanie. Nie należała do kobiet, które pobleżając sobie, na zawsze pogrążają się w rozpacz. Śmierć była nieodwołalna i straszna, lecz nie zawładnęła Indią jak wieloma innymi osobami w takiej sytuacji. Potrafiłem dostrzec tę różnicę, ponieważ widziałem,

jak otchłań śmierci Rossa pochłoneła moją matkę. Teraz, patrząc na idącą ku mnie Indię, byłem pewien, że jej się to nie przytrafi.

— Odwieszisz mnie do domu, Joe?

Powiew wiatru zarzucił jej na twarz pasemko włosów. Chociaż spodziewałem się tej prośby, poczułem się wzruszony i zaszczycony, że chce mieć mnie teraz przy sobie. Kiedy podałem jej ramię, przycisnęła je do boku. Przez chwilę czułem na wierzchu dłoni twardy łuk jednego z jej żeber.

— Pogrzeb był chyba w porządku, prawda? W każdym razie, przeszedł bezboleśnie.

— Masz rację. Bardzo mi się podobały te wiersze Dianę Wakoski.

— Tak, była ulubioną poetką Paula. Jugosłowianin podszedł i spytał, czy podwieźć nas do miasta. India podziękowała, mówiąc, że chce się trochę przejść — parę ulic dalej złapiemy tramwaj. Sądziłem, że będzie chciała wracać taksówką, ale nic nie powiedziałem. Po odejściu Jugosłowianina zostaliśmy na cmentarzu sami.

— Wiesz, jak chowa się ludzi w Wiedniu, Joe?

Przystanęła na zwirowej ścieżce i odwróciła się w stronę krótkiego, równego rzędu krzyży.

— Co masz na myśli?

— Widzisz, tu nie jest tak jak w Ameryce. Jestem teraz ekspertką w tej dziedzinie. Możesz mnie spytać, o co chcesz. W Stanach kupujesz sobie działkę: kawałek ziemi, który będzie twój po wieki wieków. A wiesz, jak to wygląda w wesołym starym Wiedniu? *W y d z i e r ż a w i a s z* grób na dziesięć lat. Tak jest, wcale nie żartuję! Wydzierżawiasz kwaterę na cmentarzu, a po dziesięciu latach musisz znów zapłacić, bo inaczej cię ekshumują. Wykopią cię z powrotem. Jeden z tych facetów powiedział, że niektóre cmentarze są tak popularne, że nawet jeśli będziesz regularnie płacił, i tak wykopią cię po czterdziestu latach, żeby ktoś inny mógł spocząć w pokoju na jakiś czas. Niech to diabli!

Spojrzałem na nią; wyglądała tak, jakby miała dość całego świata. Ścisnąłem jej rękę i przypadkiem trąciłem miękką pierś. Nie zwróciła na to uwagi.

— Wiem, co zrobimy, Joe. — Zaczęła płakać, ale szła dalej, patrząc prosto przed siebie. — Po tych dziesięciu latach przeniesiemy Paula na nowiusieńki cmentarz! Na nowe, słoneczne miejsce. Albo kupimy przyczepę kempingową z odpowiednim wypo-

sażeniem i będziemy go wozić z miejsca na miejsce. Będzie największym podróżnikiem-nieboszczykiem na świecie.

Pokręciła głową, strząsając łzy z twarzy. Jedynymi dźwiękami na świecie były jej urywany oddech i stuk wysokich obcasów o chodnik.

W tramwaju cały czas ścisnęła moją dłoń i patrzyła w podłogę. Jej zaczerwieniona od płaczu twarz zaczynała powoli blednieć. Przed naszym przystankiem pociągnąłem ją delikatnie za rękę. Oderwała wzrok od podłogi i spojrzała na mnie.

— Już jesteśmy? Zostaniesz ze mną trochę, Joe? Wejdiesz na chwilę do mieszkania?

— *Selbstverständlich*⁵.

— Joey, nie chcę ci sprawić przykrości, ale masz akcent jak pułkownik Klink z *Bohaterów Hogana*.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Chodź, wysiadamy.

⁵Selbstverständlich (niem.) — ma się rozumieć.

Tramwaj zatrzymał się na przystanku i zeszliliśmy po stromych metalowych stopniach na ulicę. Znów podałem Indii ramię, a ona znów przycisnęła je do boku. Przypomniało mi się, jak siedząc w Café Landtmann, patrzyłem na odchodzących Tate'ów. Trzymała Paula pod rękę w ten sam sposób.

— Jak się czułeś, kiedy umarł twój brat? Przełknąłem ślinę i przygryzłem usta.

— Chcesz znać prawdę?

Zatrzymała się i przewierciła mnie jednym z tych swoich spojrzeń.

— A powiesz mi prawdę?

— Oczywiście, Indio. Jak się czułem? I dobrze, i źle. Źle, bo umarł, a był istotną częścią mojego życia. W dzieciństwie starsi bracia są naprawdę ważni.

— Wierzę ci. Więc dlaczego czułeś się dobrze? Skąd to się wzięło?

— Dzieci są nienasycone w swej chciwości. Sama to powiedziałaś, pamiętasz? Owszem, było mi przykro, że umarł, ale teraz mogłem zająć jego pokój i biurko, wziąć sobie jego piłkę futbolową i albańską flagę, której zawsze mu zazdrościłem.

— Naprawdę taki byłeś? Nie wierzę. Wydawało mi się, że mówiłeś o sobie jako o bardzo dobrym chłopcu.

— Indio, nie sędę, abym się różnił od większości dzieci w tym wieku. Ross był zły od tak dawna, że absorbował niemal całą uwagę rodziców. Po jego śmierci wreszcie mogli poświęcić ją mnie. Brzmi to okropnie, ale powiedziałaś, że chcesz usłyszeć prawdę.

— Czy to, że tak się czułeś, było złe?

Doszliśmy do drzwi jej kamienicy i zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu kluczy. Przesunąłem dłonią po rzędzie plastikowych guzików domofonu.

— Czy byłem zły? Jasne, byłem wstrętnym małym gnojkiem. Myślę jednak, że taka jest większość dzieci. Dorośli na ogół traktują je obojętnie — ponieważ są t y l k o dziećmi — więc zgarniają do siebie tyle, ile mogą. Ludzie odnoszą się do dzieci jak do psów: od czasu do czasu całują je, ściskają i obsypują prezentami, ale zaraz potem wyrzucają z pokoju.

— Nie wierzysz, że rodzice kochają swoje dzieci?

Przekręciła klucz w zamku i pchnęła ciężkie, przeszklone drzwi.

— Gdybym miał generalizować, powiedziałbym, że kochają, ale chcą, żeby trzymały się od nich z daleka. Raz na jakiś czas mają ochotę się z nimi pośmiać i pobawić, ale nigdy zbyt długo.

— Z tego, co mówisz, wynika, że dzieci są nudne.

— Tak, Indio, zgadza się.

— Czy ty byłeś nudnym dzieckiem?

Odwróciła się do mnie, wrzucając jednocześnie klucze do torebki.

— W porównaniu z moim bratem tak. Ja byłem nudny i dobry, a Ross interesujący i zły. Naprawdę zły. Jak wcielenie szatana.

Zdjęła mi z płaszcza jakąś nitkę.

— Może to dlatego rodzice poświęcali mu więcej uwagi niż tobie.

— Bo był zły?

— Nie. Bo ty byłeś nudny.

Po tak długim pobycie na słońcu klatka schodowa wydała mi się bardzo ciemna i wilgotna. Postanowiłem nie odpowiadać na złośliwą uwagę Indii. Szła po schodach przede mną i patrzyłem na jej nogi. Były takie ładne.

W mieszkaniu panował bałagan. Byłem tu pierwszy raz od śmierci Paula. Kartonowe pudła na podłodze, na kanapie, nawet na parapecie, a w nich, upchnięte byle jak, męskie ubrania i buty. Niektóre pudła były już wypełnione po brzegi skarpetkami, krawatami i bielizną. W kącie stały trzy kartony zalepione lśniąca brązową taśmą. Żaden nie był podpisany.

— To rzeczy Paula?

— Tak. Czy nie wygląda to jak wyprzedaż po pożarze sklepu? Czułam się strasznie nieswojo, widząc jego rzeczy, ilekroć otworzyłam szafę czy jakąś szufladę, więc postanowiłam wszystko spakować i oddać.

Weszła do sypialni i zamknęła drzwi. Usiadłem na brzegu kanapy i nieśmiało zajrzałem do otwartego pudła stojącego obok mojej nogi. Rozpoznałem zieloną sportową koszulę, którą Paul często nosił. Była wyprasowana i, w przeciwieństwie do pozostałych ubrań, starannie złożona. Leżała na jakichś brązowych tweedowych spodniach, których nigdy przedtem nie widziałem. Rzuciwszy okiem na drzwi sypialni, wyjąłem koszulę i przesunąłem po niej dłońmi. Ponownie spojrzałem na drzwi i podniosłem ją do nosa.

Nic nie poczułem — pranie zabiło zapach Paula Tate'a. Odłożyłem koszulę do pudła i bezmyślnie wytarłem ręce o spodnie.

— Już wychodzę, Joe!

— Nie spiesz się. Dobrze mi tutaj.

Miałem właśnie wstać, aby zajrzeć do innych pudeł, gdy usłyszałem, że drzwi się otwierają. India wystawiła głowę z sypialni. Zanim nasze oczy się spotkały, mignęła mi jej czarna bielizna.

— Joe, pozwolisz, że zostawię cię na dłużej? Czuję się brudna i lepka po tym ranku i chciałabym wziąć prysznic, dobrze?

Wizja Indii stojącej nago pod prysznicem, ze skórą lśniącą od wody, sprawiła, że zawahałem się, nim odrzekłem:

— Tak, jasne. Nie krępuj się.

Przypomniał mi się film *Lato '42*, w którym piękna młoda kobieta uwodzi nastoletniego chłopca, dowiedziawszy się, że jej mąż zginął na wojnie. Gdy usłyszałem szum prysznica, poczułem, że mój członek rośnie i pożądliwie podnosi głowę w nogawce spodni. Uznałem, że to perwersja, i zrobiło mi się wstyd.

Podszedłem do małego pudełka, w którym były rozmaite listy i rachunki, zużyta książeczka czekowa i garść wiecznych piór. Wziąłem kilka do ręki. Paul używał wyłącznie wiecznych piór i trzymając je, uświadomiłem sobie, że chcę zachować jedno na pamiątkę — nie pytajcie mnie dlaczego. I wtedy stała się dziwna rzecz: bojąc się, że India odmówi, jeśli ją poproszę, postanowiłem wziąć pióro bez pytania. Naprawdę nie mam złodziejskiej natury, lecz tym razem nawet się nie zawahałem. Wpadło mi w oko grube, czarno-złote pióro, które wyglądało staro i szacownie i miało na skuwce napis Montblanc Meisterstück No. 149. W pudełku były dwa podobne, więc pomyślałem, że nawet jeśli India zamierza zatrzymać pióra, nie zauważy, że jednego brakuje. Wsunąłem je do kieszeni i podszedłem do okna.

Prysznic umilkł i zacząłem nadśłuchiwać cichych, dalekich dźwięków dobiegających z łazienki. Próbowałem sobie wyobrazić, co India robi: wyciera włosy ręcznikiem, pudruje ramiona, dekolt, piersi.

Jakaś kobieta w oknie po przeciwnej stronie podwórza zobaczyła mnie i zamachała ręką. Odmachnąłem jej; zamachała jeszcze raz. Pomyślałem, że bierze mnie za Paula,

i poczułem się nieswojo. Kobieta dalej machała, powolnym ruchem, jakim falują pod wodą ukwiały. Odszedłem od okna i z powrotem usiadłem na kanapie.

— Joe, już wiem, co chcę zrobić.

— W porządku.

— To ci się nie spodoba.

Spojrzałem na zamknięte drzwi, zastanawiając się, czy jest w stanie zrobić coś, co nie będzie mi się podobało.

Parę minut później wyszła z sypialni w szarej bluzie z kapturem, starych lewisach i tenisówkach. Chciała pobiegać nad rzeką. Powiedziała, że nie muszę z nią iść, jeśli nie mam ochoty — czuje się już lepiej. Chciała „wypocić parę mil” z organizmu. Brzmiało to bardzo sensownie i odparłem, że dotrzymam jej towarzystwa. Poszliśmy na ścieżkę nad Kanałem Dunajskim, długą, prostą i idealną do biegania. Miałem ze sobą książkę, więc usiadłem na drewnianej ławce, a India oddaliła się truchcikiem. Na powierzchni szybko płynącej wody unosiło się rozproszone stadko mew. Kilku starszych mężczyzn łowiło z brzegu ryby. Od czasu do czasu mijala mnie para pchająca wózek z dzieckiem. Wszyscy zrobiliśmy sobie wagary od życia.

Wiedziałem, że India wróci najwcześniej za pół godziny, więc utkwilem wzrok w wodzie i zacząłem się zastanawiać, co będzie dalej. Czy India zostanie w Wiedniu? A jeśli zdecyduje się na wyjazd, czy będzie chciała, żebym wyjechał z nią? Czy ja będę chciał z nią wyjechać?

Dopóki nie poznałem Tate'ów, było mi tu bardzo dobrze. Nie do końca zdawałem sobie sprawę, jaki jestem szczęśliwy, ale odkąd przystosowałem się do rytmu i tempa życia tego miasta, wiedziałem, że los się do mnie uśmiechnął.

Co India zechce robić za kilka miesięcy? Dokąd zechce pojechać? Przy całym swym uroku, była niespokojnym duchem i jej ciekawość wciąż potrzebowała nowych bodźców — inaczej nie umiała być szczęśliwa. A jeśli będzie chciała mieć mnie przy sobie, ale w Maroku lub w Mediolanie? Czy pojedzie? Czy dla jej kaprysu spakuję i przeprowadzę moje życie gdzie indziej?

Zganiłem się za to zarozumiałstwo. I za nieprzyzwoitość, jaką było tak szybkie wykreślenie Paula z naszego życia.

Wyjąłem z kieszeni jego wieczne pióro. Na pewno były na nim odciski palców. Może cały kciuk lewej ręki albo mały palec prawej. Przytrzymałem pióro pod słońce

i zobaczyłem w środku atrament. Atrament, którym o n je napełnił. „Kochany Paulu, parę dni po napełnieniu tego pióra będziesz martwy”. Zdjąłem skuwkę i zmarszczyłem brwi na widok ozdobnie grawerowanej, połączanej stalówki. Ile lat miało to cacko? Czy bezmyślnie zabrałem antyk, który był wart fortunę? Zupełnie nie znałem się na piórach. Zawstydzony, nałożyłem skuwkę z powrotem i zacisnąłem dłoń na piórze, by ukryć je przed światem.

Usłyszałem kłapanie tenisówek Indii i ledwo zdążyłem schować pióro do kieszeni, zanim przy mnie stanęła. Miała zaczerwienioną twarz i łapała powietrze ustami. Kiedy się do niej odwróciłem, ku memu zaskoczeniu położyła mi ręce na ramionach.

— Jak długo to trwało?

Spojrzałem na zegarek i powiedziałem jej, że dwadzieścia trzy minuty.

— Świetnie. Nie czuję się ani trochę lepiej, ale przynajmniej jestem zmęczona, a to pomaga.

Patrząc w niebo, położyła ręce na biodrach. Odeszła kawałek i stanęła, ciężko dysząc.

— Joe? Pewnie myślimy teraz o tym samym. Ale czy moglibyśmy odłożyć tę rozmowę, przynajmniej na jakiś czas?

— Indio, nie ma pośpiechu.

— Ja to wiem i ty to wiesz, ale powiedz to temu chochlikowi, który siedzi we mnie i powtarza, że muszę wziąć się w garść i uporządkować wszystko t e r a z, żebyśmy mogła od razu zacząć nowe życie. Powiedz to jemu. To absurdalne, prawda?

— Tak.

— Wiem. Będę go ignorować najlepiej jak potrafię. Hej, co mnie obchodzi jakiś tam porządek? Czy ja oszalałam? Umarł mój mąż! A ja próbuję ułożyć sobie życie w dniu jego pogrzebu!

Odwróciła się do mnie bokiem i przeczesła dłonią włosy. Czułem się zupełnie bezradny.

Rozdział 7

Gdy w górach spadnie śnieg, wszystko zależy od drogi. Nie pozostaje ci nic innego, jak poddać się jej kaprysom. Jedziesz powoli, z nadzieją, że najbliższy zakręt okaże się przyjazny, że ciężarówki już go minęły, a nawierzchnię posypano żwirem jak lody deser czekoladą. Ale to tylko pobożne życzenie; aż nazbyt często śnieg jest czysty i ubity — czeka na ciebie w swym najbardziej podłym humorze. Samochód zaczyna się ślizgać i dryfować w objęcia katastrofy.

Chociaż starałem się prowadzić ostrożnie, strach niemal mnie paraliżował. Natomiast India chichotała.

— Z czego się śmiejesz?

— To mi się podoba, Joey, ta jazda z tobą po tych drogach.

— To cholernie niebezpieczne!

— Wiem, ale to też mi się podoba. Tak fajnie nas zarzuca.

— Fajnie?

Spojrzałem na nią jak na wariatkę. Wybuchnęła śmiechem.

Byliśmy dwadzieścia kilometrów od naszego gasthausu. Słońce, takie jasne i przyjazne rano, gdy wyruszaliśmy z Wiednia, schowało się już za górami. Zabrało ze sobą wesołą złocistość i w jednej chwili świat zrobił się melancholijnie niebieski.

A jeśli coś nam nawali? Ostatnią osobą, jaką spotkaliśmy, był mały chłopiec z saniami, stojący przy drodze. Gapił się na nas bezmyślnie, jakby nigdy nie widział samochodu. Może i nie widział. Może na tym zadupiu ludzie nie mają samochodów.

India ścisnęła moje kolano.

— Naprawdę tak się denerwujesz?

— Skądże. Nie wiem tylko, gdzie jesteśmy, chce mi się jeść, a ta jazda przyprawia mnie o ciarki.

Wciąż uśmiechnięta, rozparła się w fotelu i ziewnęła.

Minęliśmy tablicę z napisem BIMPLITZ — 4 km. Na tle gór wydawała się maleńka. Pożałowałem, że nie nocujemy w Bimplitz, choćby było nie wiem jak paskudne.

— Mówiłam ci, jak widzieliśmy w Jugosławii niedźwiedzia?

Po raz pierwszy od wielu minut mój niepokój trochę przycichł. Uwielbiałem opowieści Indii.

— Jechaliśmy z Paulem jakąś wiejską drogą. Ot tak, bez celu. Wdrapaliśmy się pod górkę i nagle, nie wiadomo skąd, na środek jezdni wylazł cholerny n i e d ź w i e d ź. W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakiś czubek przebrany za goryla czy coś w tym rodzaju, ale to naprawdę był niedźwiedź.

— Co zrobił Paul?

Przejechaliśmy przez Bimplitz — rzeczywiście było paskudne.

— Och, był zachwycony. Dał po hamulcach i zatrzymał się przy nim, jakby chciał go spytać o drogę.

— Myślał, że jest w parku safari?

— Nie mam pojęcia. Wiesz, jaki był Paul. Stanley i Livingstone w jednej osobie.

— Co było dalej?

— Jak mówiłam, Paul zatrzymał się przy nim, a wtedy nie wiadomo skąd wyskoczyli dwaj faceci. Jeden trzymał długi, gruby łańcuch przyczepiony do mosiężnego kółka, które tkwiło w nosie niedźwiedzia. Zaczęli wrzeszczeć: „Fo-to! Fo-to!” i niedźwiedź odstawił krótki taniec.

— Więc o to chodziło? Zatrzymywali samochody, żeby turyści mogli sobie zrobić zdjęcie z niedźwiedziem?

— Tak, w ten sposób zarabiali na życie. Tylko że byliśmy w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc, i nie wiem, ile osób w ogóle tamtędy przejeżdżało, nie mówiąc już o turystach.

Znałem odpowiedź na to pytanie, ale i tak je zadałem:

— Czy Paul sfotografował się z niedźwiedziem?

— No jasne! Nie widziałeś tego zdjęcia na ścianie w pokoju? Pokazywał je wszystkim po piętnaście razy. Polowanie na Grubego Zwierza.

Dlaczego India mnie lubiła? Historie, które opowiadała, przedstawiały jej zmarłego męża jako idealnego towarzysza życia — dowcipnego, odważnego, troskliwego, czule-

go. Gdybym ja zobaczył niedźwiedzia na drodze, wiałbym, aż by się kurzyło. Ogarniała mnie coraz większa melancholia; nie pomagała nawet obecność Indii.

— Spójrz, Joey, to nazwa naszego miasta, prawda? Już tylko dziesięć kilometrów.

Samochód zrobił kolejny zygzak na lodzie, ale zobaczywszy drogowskaz, poczułem się trochę lepiej. Może właściciele gasthausu pożyczą mi jakąś flintę i będę mógł się zastrzelić jeszcze przed kolacją. Włączyłem radio. Z deski rozdzielczej gruchnęło jakieś disco, brzmiące w tym otoczeniu dziwnie i niestosownie. India podkreśliła głos i zaczęła śpiewać. Znała każde słowo.

Zacznijmy od nowa,
niech runie kłamstw mur.
Popatrz, oto słońce
wychodzi z za chmur.

Była to niezła piosenka, przy której nogi same rwały się do tańca, ale zdziwiłem się, że India zna cały tekst. Wciąż jeszcze nuciła tę melodię, gdy dotarliśmy na miejsce.

Nasz gasthaus stał z dala od głównej drogi, na niewielkim wzgórzu, które samochód pokonał bez protestów, jakby wiedział, że to już fajrant. Wysiadłem i rozmasowałem kark, zdrętwiały po tej pełnej napięcia jeździe. Powietrze było ciche, przesycone zapachem drzewnego dymu i sosen. Czekaając, aż India pozbiera rzeczy z tylnego siedzenia, spojrzałem na góry zamykające cały horyzont i przepeliła mnie taka błogość, że łzy napłynęły mi do oczu. Od dawna tak się nie czułem. Noc, którą mieliśmy spędzić razem, uśmiechnęła się do mnie białymi zębami, pokazując brylanty w dłoniach. Pójdziemy na górę, do pokoju z zasłonami w białe i czerwone kwiaty, drewnianą podłogą, która podnosi się i opada pod twymi bosymi stopami, gdy podchodzisz do łóżka, i małym zielonym balkonem, na którym dwie osoby muszą stać blisko siebie, bo inaczej się nie zmieszczą. Byłem w tym gasthausie już kilka razy, zawsze sam, i obiecałem sobie, że jak tylko spadnie śnieg i okolica zabłyśnie pełnią urody, przywiozę tu Indię.

— Joey, nie zapomnij radia.

Niosła naręczę płaszczy i swoje traperki. Uśmiechnęła się tak przebiegle, jakby czytała w moich myślach. Poszliśmy do gasthausu; ciszę mącił tylko stukot jej drewnianych chodaków.

Recepcjonistka, atrakcyjna kobieta w garsonce z aksamitu, robiła wrażenie autentycznie uradowanej naszym przyjazdem. Niewiele myśląc, zameldowałem nas jako Indię i Josepha Lennoxów. W formularzu była też rubryka „wiek”, ale zostawiłem ją pustą. Gdy odkładałem długopis, India zajrzała mi przez ramię i trąciła mnie łokciem, żebym ją wypełnił.

— Po prostu dopisz na dole, że lubisz starsze kobiety.

Ruszyła po szerokich, drewnianych schodach. Szedłem za nią, patrząc, jak jej cudowne ciało kołysze się z boku na bok w swobodnym, powolnym rytmie. Recepcjonistka wpuściła nas do pokoju i powiedziała, że kolacja będzie za godzinę.

— Miałeś dobry pomysł, Joe. Bardzo mi się tu podoba. — India dotknęła zasłon i otworzyła połówkę balkonowych drzwi. — Pojechaliśmy kiedyś z Paulem do Zermatt, ale było tam za dużo ludzi. Nie mogłam dojrzeć Matterhornu, bo ciągle zasłaniał mi go jakiś kretyn. Mówiłeś, że jak się nazywa to miasteczko?

— Edlach.

Stanąłem za nią. Ręce trzymałem w kieszeniach, nie wiedząc, czy chce, bym jej dotknął.

Paul nie żył od miesiąca. W tym okresie bólu i przymusowej adaptacji, ostrożnie krążyłem wokół Indii, starając się być blisko, gdy mnie potrzebowała, i zniknąć, gdy dawała mi do zrozumienia, że chce zostać sama. Trudno było powiedzieć, jak to wszystko znosi. Funkcjonowała na zwolnionych obrotach, bardzo wyciszona, a jej twarz zastygła w maskę obojętności. Nie kochaliśmy się od śmierci Paula.

Skrzyżowała ręce na piersiach i oparła się o barierkę balkonu.

— Wiesz, jaki dziś dzień, Joe?

— Nie. A powinienem?

— Miesiąc temu pochowaliśmy Paula.

Trzymałem w dłoni jakąś monetę i nagle uświadomiłem sobie, że ściskam ją z całej siły.

— Jak się czujesz?

Odwróciła się do mnie; miała zaczerwienione policzki. Z zimna? Z bólu?

— Jak się czuję? Tak, jakbym bardzo cieszyła się z tego, że tu jesteśmy. Cieszę się, że Joey przywiózł mnie w góry.

— Naprawdę?

— Naprawdę, bracie. Wiedeń zaczynał mnie przygnębiać.

— Przygnębiać? W jaki sposób?

— Och, no wiesz. Naprawdę muszę ci tłumaczyć? — Położyła dłonie na balustradzie i spojrzała na zaśniewany krajobraz. — Wciąż próbuję na nowo poukładać moje klocki. Czasem biorę któryś do ręki i mam wrażenie, że widzę go pierwszy raz w życiu. To mnie drażni. Wiedeń ciągle mi o czymś przypomina, o następnym klocku, który nigdzie nie pasuje.

Jadalnia miała wystrój góralskiej chaty. Potężne, nie osłonięte belki stropowe, w kącie kafłowy piec sięgający do sufitu, toporne wiejskie meble pochodzące chyba z początku osiemnastego wieku. Potrawy były ciężkostrawne, gorące i dobre. Za każdym razem, gdy jadłem z Indią kolację, zdumiewałem się, ile potrafi w siebie wepchać. Miała apetyt drwala. Ten posiłek nie był wyjątkiem. Przygnębiona czy nie, wcinała aż miło.

Po lodach i kawie siedzieliśmy naprzeciw siebie, przyglądając się z zakłopotaniem pobojuwisku na stole. Gdy cisza zaczęła się zbyt długo przedłużać, poczułem, że po mojej nodze wędruje bosa stopa.

India spojrzała na mnie z miną niewiniątka.

— Co jest, stary? Denerwujesz się czymś?

— Nie jestem przyzwyczajony do pieaszczot pod stołem.

— A kto cię pieeści? Robię ci przedłużony masaż kolana. To bardzo odpręża.

Mówiąc, przesunęła stopę w górę i rozejrzała się szybko dookoła. Byliśmy w jadalni sami. Ześliznęła się na krzesło, jej stopa powędrowała wyżej. Cały czas patrzyła mi prosto w oczy.

— Chcesz mnie torturować?

— To jest tortura, Joey?

— Nieludzka.

— Więc chodźmy na górę.

Spojrzałem na nią uważnie, szukając prawdy pod lubieżnym uśmiechem.

— Indio, jesteś pewna?

— Tak.

Poruszyła palcami u nogi.

— Tej nocy?

— Joe, będziesz grał ze mną w „dwadzieścia pytań” czy skorzystasz z propozycji?

Wzruszyłem ramionami. India wstała i podeszła do drzwi.

— Przyjdź, jak będziesz gotów.

Wyszła. Słuchałem stanowczego stukotu jej chodaków w korytarzu i na schodach. Gdy umilkł, zrobiło się nienaturalnie cicho. Spojrzałem na butelkę po winie, nie wiedząc, czy mam się zerwać na równe nogi, czy też wstać powoli i potem pobiec do pokoju.

Słyszałem dźwięki dochodzące z kuchni: brzęk talerzy i sztućców, radio, które grało, odkąd usiedliśmy przy stole. Gdy podniosłem się do wyjścia, popłynęła z niego piosenka o słońcu, której India wtórowała wcześniej w samochodzie, i przystanąłem w drzwiach, by jej posłuchać. To, że nadano ją akurat w tej chwili, wydało mi się dobrym znakiem. Kiedy dobiegła końca, coś we mnie zaskoczyło: wiedziałem, że zajęła trwałe miejsce w mojej pamięci. Ilekroć znów ją usłyszę, będę myślał o Indii i o tej wycieczce w góry.

Gdy wszedłem do pokoju z mrocznego korytarza, oślepiło mnie ostre, jasne światło. India leżała w łóżku, przykryta kołdrą pod brodę. Otworzyła drzwi balkonowe na oścież i pokój zamienił się w lodowy pałac.

— Co jest grane? Bawimy się w Eskimosów?

— Tak jest dobrze, *pulcino*. Powąchaj to powietrze.

— „Kurczaczku?” Nie wiedziałem, że znasz włoski, Indio.

— Dziesięć i pół słowa.

— *Pulcino*. To ładne przezwisko.

Podszedłem do balkonu i zrobiłem kilka głębokich wdechów. Miała rację. Powietrze pachniało tak jak powinno. Kiedy się odwróciłem, by na nią spojrzeć, leżała z rękami pod głową i uśmiechała się do mnie. W tym morzu bieli jej nagie ramiona były niemal brzoskwińowe. Stanowiły ramę dla brązowych włosów, które rozsypały się po poduszce.

— Indio, wyglądasz przepięknie.

— Dzięki, stary. Czuję się jak mała królowa.

Wykazując więcej odwagi niż zwykle, odchyliłem kołdrę, żeby zobaczyć, w co jest ubrana. Włożyła moją starą szarą bluzę i podwinęła rękawy. Poczułem się jeszcze lepiej: wyjęła ją z mojej walizki i ten drobny, ale jakże intymny gest upewnił mnie, że naprawdę jest gotowa przywrócić naszemu związkowi wymiar fizyczny.

— Czuję się jak nie obrany banan.

— Czy to bardzo złe?

Rozwiązałem sznurowadło.

— Nie, bardzo tropikalne.

Choć oboje tego pragnęliśmy, byłem zdenerwowany; kiedy się rozbierałem, drżały mi ręce. Na domiar złego, India z uśmiechem śledziła każdy mój ruch półprzymkniętymi oczami Jeanne Moreau. Spróbuj zachować spokój, gdy występujesz przed taką publicznością.

Przed położeniem się do łóżka chciałem zamknąć okno, żeby odciąć dopływ arktycznego powietrza, ale poprosiła, bym zostawił je otwarte. Nie zamierzałem się z nią spierać. Zgasiła nocną lampkę. Wśliznąłem się pod kołdrę i wziąłem ją w ramiona. Pachniała czystym ubraniem i kawą z kolacji.

Leżeliśmy bez ruchu, prąd powietrza wędrował po pokoju jak lodowata ręka szukająca czegoś w ciemności, niekoniecznie nas.

India położyła mi na brzuchu ciepłą dłoń i zaczęła powoli przesuwać ją w dół.

— Minęło dużo czasu, bracie.

— Zaczynałem już zapominać, jak to jest. Przesunęła dłoń niżej, ale kiedy spróbowałem odwrócić się do niej przodem, delikatnie mnie odepchnęła.

— Zaczekaj, Joey. Chcę, żeby to się działo powoli.

Gdzieś w oddali pełznął przez noc pociąg; oczyma wyobraźni zobaczyłem przesuwające się kwadraciki oświetlonych okien i zapalczane główki pasażerów.

Już miałem chwycić Indię w ramiona, gdy jej palce zacisnęły się na moim brzuchu jak obcęgi. Aż podskoczyłem z bólu.

— Hej!

— Joey! Mój Boże, okno!

Odwracając się, usłyszałem ten dźwięk. *Kli - klak . Klik - klak .* Blaszone skrzydła. Blaszone skrzydła trzepoczące powoli, ale dostatecznie głośno, aby napełnić pokój złowieszczym brzękiem.

— Joe, to ptaki P a u l a! Jego sztuczka! Brzdąc!

Kos-zabawka, którego Paul wyczarował podczas tamtego wieczornego pokazu w ich mieszkaniu. Trzy takie kosy przycupnęły teraz na balustradzie balkonu. Kiedy pierwszy szok minął, uświadomiłem sobie, że siedzą przodem do nas, w idealnie równym

szeregu, a uderzenia ich skrzydeł są rytmiczne i ostre jak marszowy krok ołowianych żołnierzyków.

W pokoju panował gęsty mrok, ale ptaki świeciły się od środka; wszystkie szczegóły ich budowy były doskonale widoczne. Nie ulegało wątpliwości, czym są i do kogo należą.

— Och, Paul, Paul, Paul. . .

Jęk Indii był powolny i zmysłowy, jakby zbliżała się do jakiegoś straszliwego orgazmu.

Ptaki zerwały się z balustrady i wleciały do pokoju, gdzie nagle zaczęły się poruszać dziesięć razy szybciej: jak olbrzymie końskie muchy, które wpadają latem przez kuchenne okno. Wznosiły się i opadały zygzakiem, trzepotały skrzydłami jak oszalałe. *Bach, trzask, prask* — brzmiało to tak, jakby jakiś maniak rzucał blaszanymi popielniczkami do niewidocznych celów.

— Powstrzymaj je, Joe! Powstrzymaj je!

Głos miała cichy i ochrypły, zdławiony strachem.

Co mogłem zrobić? Jaką moc mi przypisywała? Zacząłem wstawać z łóżka, a wtedy wszystkie trzy spadły na mnie z niemożliwą prędkością. Skuliłem się i zasłoniłem twarz dłońmi. Dziobały mnie po ramionach, po plecach, po głowie. Machnąłem ręką i trafiłem któregoś, ale nic to nie dało — przybyła mi tylko jeszcze jedna głęboka rana na przedramieniu.

Nagle wszystko ustało. Podniósłszy głowę, zobaczyłem, że znów siedzą równiutko na balustradzie, przodem do nas. Trzymałem ręce przy twarzy, jak przegrany bokser czekający na kolejny cios.

Jeden po drugim odwróciły się i pofrunęły w noc. Po chwili lotu zmieniły się w płomyki: niebieski, pomarańczowy i zielony jak trawa. Znajome kolory, które widziałem w pokoju Paula Tate'a w wieczór, gdy mały żywy ptaszek tańczył i skrzeczał, konając w ogniu.

* * *

Ross wierzył w duchy, ale ja nie. Raz nawet mnie zbił, bo po obejrzeniu jakiegoś horroru oświadczyłem, że nie rozumiem, jak można się bać czegoś tak głupiego.

Kiedy napisałem artykuł dla pisma geograficznego ze Stanów o nawiedzonym zamku w Górnej Austrii, odrzucono go, bo mogłem powiedzieć jedynie to, że przesiedziałem z książką całą noc w najbardziej nawiedzonym pokoju i żaden z poprzednich lokatorów nawet nie pisał.

Ojciec powiedział mi kiedyś, że posiadanie dzieci przypomina odkrywanie nowych, niezwykłych pokoi w domu, w którym mieszkało się całe życie. Nie znaczy to, że gdy nie masz dzieci, brakuje ci tych pokoi, ale z nimi twój dom (i świat) zupełnie się zmieniają. Myślę, że gdyby noc ptaków była jedynym incydentem tego rodzaju, jakoś bym ją sobie racjonalnie wytłumaczył, ale po tym, co wydarzyło się następnego dnia, zrozumiałem, że mój „dom” również urósł, tyle że w przerażający, niewiarygodny sposób.

Nazajutrz w drodze powrotnej India spała z głową opartą o szybę. Rozmawialiśmy do świtu, po czym spróbowaliśmy zasnąć, ale było to niemożliwe. Gdy zaproponowałem powrót do Wiednia, skwapliwie się zgodziła.

Parę kilometrów przed wjazdem na Südautobahn zatrzymałem się na światłach pośrodku jakiegoś pustkowia. Pobocza pokrywał marmurek śniegu i czarnej ziemi, ale sama jezdnia była sucha i gładka. Ze zmęczenia nie zauważyłem, że mam już zielone, póki

kierowca za mną nie zatrąbił. Ruszyłem, ale widocznie nie dość szybko jak dla niego, ponieważ mignął światłami, żeby mnie ponaglić. Nie przejąłem się tym, bo austriaccy kierowcy są niemądry i dziecinni. Jeśli facet się spieszył, mógł mnie wyprzedzić; z przeciwnika nic nie jechało i miał tyle miejsca, ile dusza zapagnie. Ale on nadal migał światłami, co w połączeniu z moim zdenerwowaniem i zmęczeniem wzbudziło we mnie chęć, żeby wysiąść i przyłożyć durniowi w szczękę.

Po raz pierwszy spojrzałem w lusterko wsteczne, żeby zobaczyć, kto to, do diabła, jest i jaki ma samochód. Za kierownicą białego BMW Paul uchylił czarnego cylindra. Obok niego i z tyłu siedziało jeszcze czterech Paulów i oni również uchylili cylindrów, patrząc prosto na mnie. Gwałtownie wcisnąłem sprzęgło i hamulec. Samochód dwukrotnie szarpnął i stanął. India zamruczała przez sen, ale się nie obudziła. Obserwowałem w lusterku, jak BMW nas omija. Kiedy znalazło się obok, cała piątka Paulów Tate'ów, cała piątka Brzdąców w śnieżnobiałych rękawiczkach, pomachała mi z uśmiechem. Rodzinka na niedzielnej przejażdżce. BMW przyspieszyło i zniknęło.

Rozdział 8

Piekło okaże się zapewne ogromną poczekalnią pełną starych czasopism i niewygodnych, pomarańczowych krzeseł z plastyku, takich jak na lotniskach. Będziemy tam siedzieć, czekając, aż otworzą się drzwi na drugim końcu sali i jakiś znudzony głos wyczyta nasze nazwiska. Będziemy wiedzieli, że za tymi drzwiami zostaniemy poddani jakimś przerażającym torturom. Ostateczny gabinet dentystyczny.

Czekaliśmy, żeby Paul zrobił coś jeszcze, ale zostawił nas w spokoju. Nie widywaliśmy się przez tydzień i dzwonił do siebie tylko raz dziennie. Nic się nie działo,

więc ostrożnie zaproponowałem, abyśmy spróbowali spotkać się na kawie w jakimś bardzo publicznym i bardzo nieprzytulnym miejscu.

Po wejściu do restauracji India pomaszerowała prosto do mojego stolika i pocałowała mnie w czoło. Omal się nie wzdrygnąłem.

— Joey, już wszystko wiem.

— Co wiesz?

— Dlaczego Paul tu jest, dlaczego wrócił. — Przeczesła dłońią włosy i uśmiechnęła się, jakby świat należał do niej. — Kochasz mnie, Joey?

— Co?

— Odpowiedz. Kochasz mnie?

— Hmm, no wiesz, tak. Tak. Bo co?

— Nie bądź taki namiętny, bo zemdleję. Hmm. Pan Czarus. Tak czy owak, Paul uważa, że go zdradziłeś. Byliśmy trójką wspaniałych przyjaciół, prawda? Zawsze razem, jeden za wszystkich i tak dalej. Nie było w tym nic złego, bo Paul ci ufał. Poprosił cię nawet, żebyś się mną opiekował pod jego nieobecność. On nam ufał, Joe. I kiedy odkrył, jak zdeptaliśmy to zaufanie, pękło mu serce. Trach! — Spojrzała na mnie uważnie,

po czym odwróciła wzrok. Czułem, że chce mi powiedzieć coś bolesnego albo nieprzyjemnego. — Myślę, że rzeczywiście to go zabiło. Nie ma się co oszukiwać.

— Indio!

Udałem oburzenie, choć myślałem o tym samym sto razy.

— Nie zaczynajmy ze sobą pogrywać, dobrze? Paul umarł dwa dni po tym przedstawieniu w męskiej toalecie. Szkoda, Joe, że nie widziałeś, co się z nim działo przez te czterdzieści osiem godzin.

— Było aż tak źle?

Teraz ja odwróciłem wzrok.

— Owszem, było źle. W nocy zaczął płakać. Spytałam, o co chodzi, jakoś mnie zbył, ale, Boże, to było zupełnie oczywiste.

— Indio, j a k Paul się o nas dowiedział?

— Zabawne, że dopiero teraz o to pytasz.

W jej głosie dźwięczał oskarżycielski ton.

— Wcześniej byłem zbyt zakłopotany. Bałem się, że...

— Mniejsza o to. Prawda jest taka, że dowiedział się ode mnie. Nie, zaczekaj, wysłuchaj mnie, zanim coś powiesz! Nie umiem kłamać, Joe. Nie mogę nikogo oszukać, bo moja twarz zaraz mnie zdradza. A Paul znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Wiesz o tym. Wyczuł, że coś się święci, jak tylko wrócił z podróży, mimo że wtedy jeszcze ze sobą nie spaliśmy. Przystaniesz tak na mnie patrzeć, Joe? Mówię prawdę. Pewnego razu spytał, czy chcę się kochać. Powiedziałam, że tak, ale gdy poszliśmy do łóżka, nie chciał mu stać. Zdarza się, nie ma sprawy. Ale kiedy Paul się zorientował, że nic z tego nie będzie, wybuchnął. Ni stąd, ni zowąd zaczął mnie wypytywać, czy robiłam to z tobą, czy byłeś dobry i tak dalej.

— Zapytał cię, czy byłem d o b r y?

— Nie znalazł go od tej strony, Joe. Potrafił być wrednym sukinsynem. Kiedy mu tak odbiło, wygadywał okropne rzeczy. Brzdąc był naprawdę brzdącem w porównaniu z Paulem w takich chwilach. — Potrząsnęła głową. — To już nie ma znaczenia. Ważny jest wieczór, o którym ci mówię. Męczył mnie i męczył tymi pytaniami, aż w końcu nie wytrzymałam i wypaliłam: „Tak, żebyś wiedział, zrobiliśmy to”. — Umilkła, zamknęła

oczy i wzięła głęboki wdech. — A ponieważ jestem taką przyjemniczką, dodałam, że byłeś naprawdę dobry. Miłe, co? Miła kobietka.

Wziąłem jakieś pismo i otworzyłem je na rozkładówce ze zdjęciami austriackiej aktorki Senty Berger. Senta w telewizji, Senta ze swoimi dziećmi, Senta w kuchni.

— Senta jest w kuchni z Dinah, Senta jest w kuchni, Senta jest w kuch. . .

— Zamknij się, Joe.

Odłożyłem pismo.

— Mam wrażenie, że zaraz pęknie mi głowa. W porządku, Indio, powiedziałaś mi o nas. Ale co się dzieje w tej chwili? Dlaczego wrócił?

— Jesteś na mnie zły, co? Joe, prędzej czy później i tak by się dowiedział.

— Nie jestem zły. Jestem zmęczony, przerażony i . . . przerażony. Rozumiem, że musiałaś mi powiedzieć. Nie o to chodzi. Od początku zdawałem sobie sprawę, że jestem winien jego śmierci. Częściowo? Całkowicie? W siedmiu ósmym? Skąd mam, do diabła, wiedzieć? Ale to, że z tobą sypiam, nie miało nic wspólnego z Paulem. Indio, ja go k o c h a ł e m! Nigdy w życiu nie miałem lepszego przyjaciela. Ja. . .

Nie potrafiłem tego wyrazić. Musiałem zamilknąć, bo z frustracji zacząłbym walić głową w stół. India odczekała chwilę i pogładziła mnie po policzku.

— Chcesz powiedzieć, że kochałeś nas oboje, ale mnie trochę inaczej, bo jestem kobietą, tak?

— Zgadza się.

Zabrzmiało to zimno i ponuro.

— W porządku, ale to, co mówisz, tylko potwierdza moje wnioski. Posłuchaj mnie uważnie. Paul też cię kochał. Mówił to milion razy i wiem, że nie rzucał słów na wiatr. Tym bardziej więc go to zraniło. Myślał, że się zesłiśmy, bo ty chciałeś mnie przelecieć, a ja nie byłam zadowolona z niego. Koniec, kropka.

— To po części prawda, Indio.

— Nie przerywaj mi. Poukładałam sobie wszystko w głowie i nie chcę, żeby mi się znowu pomieszało. Tak, to po części prawda, Joe, ale tylko po części. Poszliśmy do łóżka, bo pragnęliśmy siebie, jasne, ale również dlatego, że się zwyczajnie lubimy; czujemy do siebie pociąg, ale jednocześnie jesteśmy przyjaciółmi... Rozumiesz, o co mi chodzi? Paul myśli, że skorzystaliśmy z pierwszej okazji, żeby sobie trochę popie-

przyć. W jego oczach wygląda to tak, że nam zaufał, a my wbiliśmy mu nóż w plecy. Wyrzuciliśmy wielką miłość i przyjaźń za okno, żeby parę razy zrobić sobie dobrze. Rozumiesz?

— Tak, ale do czego zmierzasz?

— Joe, zmierzam do tego, że gdyby udało nam się jakoś do niego dotrzeć i powiedzieć mu, p o k a z a ć mu, że powodem tego wszystkiego było to, że się kochamy, może by nas zrozumiał i przestał się mścić. Postaw się na jego miejscu. Dowiadujesz się, że twoja żona romansuje z twoim najlepszym przyjacielem. Bach, wpadasz w szal, bo myślisz, że niszczą wszystko, co dobre, dla taniej przyjemności. Ale potem odkrywasz, że to wcale nie jest tak, Boże uchronij. Tych dwoje się kocha. To wszystko zmienia, rozumiesz? Nadal czujesz się zdradzony i zraniony, ale ta rana już się tak nie jątrzy, bo to coś więcej niż seks, to miłość!

— Indio, to by było sto razy gorsze! Seks jest wspaniały i przyjemny, ale nic nie znaczy. Wolałbym usłyszeć, że moja żona ma romans, niż że w grę wchodzi miłość. Romanse są szalone, ale powierzchowne i krótkotrwałe. Romansująca żona może nadal

mnie kochać i są szansę, że kiedy oprzytomnieje, wszystko znów będzie dobrze. Jeśli jednak zakochała się w kimś innym, mogę się pożegnać z nadzieją.

— Tak jest z większością ludzi, Joe, ale w przypadku Paula to nieprawda.

— Co nie jest prawdą?

— Joe, byłam jego żoną przez ponad dziesięć lat. Wiem, że właśnie tak się teraz czuje. Musisz mi zaufać. Ja go znam, wierz mi. Znam go.

— Z n a ł a ś go, Indio, ale on umarł. To zupełnie inna bajka.

— Umarł? Nie zauważyłam. Dziękuję, że mi powiedziałeś.

Gdy ja kipiałem oburzeniem, India zamówiła u mijającego nas kelnera porcję zupy.

— Indio, nie chcę się z tobą kłócić. Zwłaszcza teraz. Ale proszę, powiedz mi, jak możesz być czegokolwiek pewna, kiedy wszystko jest takie dziwaczne.

— Dziwaczne dla ciebie, ale nie dla mnie, Joe. To mój mąż. Wyczułabym go na dziesięć mil.

Chciałem uwierzyć w jej ocenę sytuacji, ale nie mogłem, choćbym nie wiem jak się starał. Koniec końców okazało się, że to ja miałem rację.

* * *

Ilekoć Ross i Bobby się nudzili, rozpoczynali zabawę, która nieodmiennie doprowadzała mnie do szału.

— Hej, Ross?

— Czego?

— Chyba powinniśmy zdradzić Joemu tajemniiiiicę!

— Naszą t a j e m n i c ę? Zwariowałeś, stary? Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Tajemnica to tajemniiiiica!

— Nie macie żadnej cholelnej tajemnicy — sepleniałem, z rozpaczliwą nadzieją, że tym razem mi powiedzą. Byłem w trzech czwartych przekonany, że tajemnica nie istnieje, ale nigdy nie dali mi się upewnić.

— Tajemniiiiica!

— Nasza tajemniiiiica!

— Mamy tajemnicę, a mały Joe nie. Chciałbyś ją poznać, Joe?

— Nie! Jesteście głupi.

— Ale mamy niegłupią tajemnicę!

Drażnili się tak ze mną, póki nie zacząłem krzyżeć albo płakać. Ewentualnie, jeśli danego dnia w pełni nad sobą panowałem, wychodziłem dumnym krokiem z pokoju, odprowadzany chóralnym „tajemniiiiica!”.

Do dzisiaj uwielbiam poznawać i zgłębiać wszelkie tajemnice. Nietrudno było zauważyć, że India ma ich pełne kufry i że te najbardziej fascynujące są związane z Pauliem, ale nie chciała mi powiedzieć, dlaczego jest taka pewna, że rozumie jego zachowanie. Choć wypytywałem ją bez ustanku, milczała jak zaklęta. Po prostu rozumiała i tyle.

Nie chciała też, abyśmy się widywali, póki nie wymyśli najlepszego sposobu na dotarcie do Paula. Obszedłem więc wszystkie angielskie księgarnie w mieście i ogłosiłem je z pozycji na temat okultyzmu. Robiłem całe strony notatek, czując się jak student zbierający materiały do magisterki. Spędzałem te dni z Aleisterem Crowleyem⁶ i madame Bławatską⁷, czytałem *Spotkania z niezwykłymi ludźmi* i *Tybetańską Księgę*

⁶Aleister Crowley (1875-1947) — angielski okultysta.

⁷Helena Bławatska (1831-1891) — rosyjska spirytystka i teozofka.

Umarłych. Chwilami miałem uczucie, że wszedłem do pokoju pełnego dziwnych i groźnych istot, dla których muszę być miły, aby uzyskać potrzebne mi informacje.

Była to kraina krakania i wycia, latających przedmiotów i wielkiego okrucieństwa. Wiedziałem, że wokół tych spraw kręci się życie tysięcy ludzi, i sam ten fakt przyprawiał mnie o dreszcze.

Ilekróć mi się wydawało, że znalazłem coś interesującego, dzwoniłem do Indii. Podczas jednej z takich rozmów wybuchnąłem śmiechem, bo nagle pomyślałem o tym, jak zaszokowany byłby każdy rozsądny człowiek, który by nas przypadkiem podsłuchał.

Mniej więcej w tym czasie dostałem list od ojca, pierwszy od wielu miesięcy. Był długi, gawędziarski i opowiadał poufałym tonem o jego świecie. Ojciec nadal mieszka w naszym mieście, ale sprzedał nasz stary dom i przeprowadził się ze swą nową rodziną na nowoczesne osiedle w snobistycznej dzielnicy.

Ojciec jest spokojnym i miłym człowiekiem, ale ze wszystkich jego listów przeziiera dziennikarski as goniący za sensacją. Z jakiegoś powodu zawsze pisze mi, kto umarł, kogo aresztowano i tym podobne rzeczy. Te krwiste kąski nieodmiennie poprzedza zdanie w rodzaju: „Nie wiem, czy sobie przypominasz...” albo „Pamiętasz Judy Shea, tę

dziewczynę, której narzeczony wybił wszystkie zęby? No więc...”, a puenta brzmi: uciekła z więźniem albo włożyła swoje dziecko do skrzynki pocztowej.

Ten list nie różnił się od innych.

Joe, już dawno chciałem ci o tym napisać, ale wiesz, jaki jestem zapominalski. W każdym razie, nasz stary znajomy, Bobby Hanley, nie żyje.

Co ciekawe, usłyszałem o całej sprawie w radiu. Nie miałem o Bobbym żadnych wiadomości od paru lat, kiedy to przyłapano go na włamaniu do sklepu i wylądował w więzieniu. Pewnie go wypuścili, bo tym razem dureń usiłował porwać jakąś miejscową dziewczynę. Ktoś wezwał policję i doszło do okropnej strzelaniny, na Ashford Avenue koło szpitala, wyobraź sobie.

Stało się to w czerwcu i przepraszam, że nie zawiadomiłem cię od razu. Nie, żeby była to wiadomość, jaką ktokolwiek chce usłyszeć, ale śmierć Bobby’ego niewątpliwie wyznacza koniec jakiejś epoki, prawda?

Odłożyłem list, nie mając ochoty czytać go dalej. Bobby Hanley nie żył. Nie żył od pół roku. Zginął w strzelaninie, kiedy ja... ja byłem tysiące mil stamtąd i wkrótce

miałem poznać Tate'ów. Ross i moja matka, Bobby Hanley, a teraz Paul. Wszyscy nie żyli.

— Gdzie chcesz zjeść kolację?

— Wszystko mi jedno. Może w Brioni?

— Dobrze.

Wiedeńska zima obwieściła swoje przybycie trzydziestoma godzinami marznącego deszczu i mgłą, która pokryła wszystko zimną, gładką czernią.

Przełączyłem wycieraczki na pracę ciągłą i powoli jechałem śliskimi ulicami. Nie odzywaliśmy się do siebie. Chciałem już być w jasnym, ciepłym lokalu, jeść smaczne potrawy, przez jakiś czas nie bać się tego, co czyha na zewnątrz.

Trzy czy cztery ulice przed restauracją skręciłem w wąski zaułek. Budynki po obu stronach były tak wysokie, że uwięziły ogromny kłęb mgły: wisiał między nimi jak zmęczona, zagubiona chmura.

Byliśmy w połowie zaułka, gdy potrąciłem dziecko. Żadnego ostrzeżenia. Miękkie, rozdzierające serce pacnięcie i cienki pisk, jaki mógł się wydobyć tylko z dziecięcego gardła. Drobny, nieregularny kształt w lśnącym, żółtym płaszczu przeciwdeszczowym

przetoczył się w zwolnionym tempie po masce samochodu i zniknął. India krzyknęła i ukryła twarz w dłoniach, a ja oparłem głowę na kierownicy, bezskutecznie usiłując napęłnić płuca powietrzem.

— Wsiądź, Joe! Na litość boską, wsiądź i zobacz, czy nic mu się nie stało!

Spełniłem polecenie, ale co to miało wspólnego ze mną? Joseph Lennox przejechał dziecko? Żółty płaszcz przeciwdeszczowy, mała dłoń zaciśnięta w bólu, kolejna śmierć?

Leżało twarzą do czarnej jezdni, z rozpostartym kapturem i rozłożonymi rękoma i nogami, wyglądało jak olbrzymia rozgwiżdza. Było cicho i, niewiele myśląc, ostrożnie je odwróciłem. Wtedy odpadła mu dłoń, lecz nie przejąłem się tym, bo zobaczyłem już twarz. Drewno pękło wzdłuż jednego oka, ale głowa była cała. Ktokolwiek ją wyrzeźbił, zrobił to szybko, byle jak. Często widzi się takie lalki w sklepach-galeriach, reklamowane bałamutnie jako „sztuka prymitywna”. Do płaszcza przypięta była karteczka, na której napisano czarną świecową kredką: *Pobaw się z Brzdącem, Joey*.

Kelner podchodził do nas trzy razy, bo nie byliśmy w stanie niczego zamówić, a potem prawie nie tknęliśmy jedzenia. Wyglądało wspaniale — *vanillen Rostbraten mit*

Bratkartoffeln. Zjadłem chyba plasterek pomidora z sałatki i wypilem trzy Viertels czerwonego wina.

— Joe, jeszcze przed tym dzisiejszym „wypadkiem” doszłam do pewnych wniosków i chcę, żebyś mnie wysłuchał, zanim cokolwiek powiesz. Oboje rozumiemy, że Paul nie zamierza zostawić nas w spokoju. Nie wiem, czy to coś pomoże, ale moim zdaniem najlepiej będzie, jeśli na jakiś czas wyjedziesz. Już ci mówię dlaczego. To wszystko dzieje się tak szybko, że w ogóle nie mogę zebrać myśli. Jestem albo przerażona, albo podniecona, albo tęsknię za jednym z was i nawet nie wiem, za którym. Może jeśli wyjedziesz na miesiąc czy dwa, Paul przyjdzie ze mną porozmawiać. Wiem, że to niebezpieczne i boję się jak diabli, ale muszę zaryzykować, bo inaczej oszalejemy. Nie połąpimy się, co właściwie nas łączy, póki nie zaprzestanie tych swoich makabrycznych sztuczek. Nie mówiłam ci, ale wyciął też parę numerów mnie samej; były jeszcze gorsze. Tak czy inaczej, jeśli wyjedziesz, będziemy się mogli spokojnie zastanowić, co naprawdę do siebie czujemy, i czy chcemy spróbować utrzymać nasz związek. Wydaje mi się, że tego chcę, i ty mówiłeś to samo, ale czy możemy być pewni? Wszystko tak się pogmatwało. Każdy dzień jest pełen huraganów. Nie wiem jak ty, ale ja nie mogę już

jasno myśleć. Jeśli wyjedziesz na parę miesięcy, może Paul odejdzie, zanim wrócisz. Albo może nie będziemy już chcieli być razem... Sama nie wiem.

Oparłem dłonie na kolanach i spojrzałem w dół. Dlaczego włożyłem takie odświętne buty? Jeden rzut oka i cały świat wiedział, że wciąż chodzę do szkoły niedzielnej. Kto nosi na co dzień czarne pantofle? Nawet w szafie nie miałem żadnych zdartych adidasów; tylko drugą, identyczną parę czarnych oxfordów.

— Dobrze, Indio.

— Co dobrze?

Spojrzałem na nią i spróbowałem powstrzymać drżenie głosu.

— Dobrze, wyjadę. Ja też wiedziałem, że to jedyne rozwiązanie, ale bałem się je zaproponować. Bałem się, że uznasz mnie za tchórza. Masz absolutną rację, nic tu po mnie. Paul mną gardzi i nie mogę ci w niczym pomóc. — Splotłem dłonie tak mocno, że aż mnie zabolalo. — Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Indio. Gdybym sądził, że to coś da, zostałbym i walczył razem z tobą, chociaż jestem śmiertelnie przerażony.

Skinęła głową i zauważyłem, że płacze. Wyszedłem parę minut później, nawet jej nie dotknąwszy na pożegnanie.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział 1

Z Wiednia do Nowego Jorku leci się dziewięć godzin. Kiedy samolot wystartował, doznałem niewysłowionej ulgi. Byłem wolny! Paul i India, śmierć i strach — zostawiałem to wszystko za sobą.

Ulga trwała jakieś pięć minut. Potem ogarnęło mnie poczucie winy i paraliżujące rozczarowanie samym sobą. Jak, do diabła, mogłem w ten sposób zwiać? Jak mogłem zostawić Indię samą? Teraz zrozumiałem, jakim naprawdę jestem tchórzem, bo nie chciałem wrócić. Przeciwnie, chciałem się jak najszybciej znaleźć w Nowym Jorku, sto tysięcy mil od Wiednia i Tate'ów. Wiedziałem o tym i nienawidziłem siebie za tę ra-

dość, która chyłkiem rozkwitła w moim sercu, gdy byłem już pewien, że mi się udało — uciekłem.

Obejrzałem film, zjadłem wszystkie posiłki i przekąski; na dwadzieścia minut przed lądowaniem poszedłem do toalety i zwymiotowałem.

Zadzwoiłem do Indii z lotniska, ale nie zastałem jej w domu. Zadzwoniłem ponownie z pętli autobusowej; słyszałem ją tak wyraźnie, jakby była w sąsiednim pokoju.

— India? Tu Joe. Wracam pierwszym samolotem.

— Joe? Gdzie jesteś?

— W Nowym Jorku.

— Bardzo śmieszne. Nic mi nie jest, więc przestań się martwić. Mam twój numer telefonu i w razie czego mogę zadzwonić.

— Możesz zadzwonić, ale czy to zrobisz?

— Tak, zrobię to, spokojnie się aklimatyzuj.

— Nie zadzwonisz, Indio, znam cię.

— Joe, proszę, nie marudź. Ta rozmowa kosztuje cię majątek, a nie jest konieczna. To cudownie, że dzwonisz i niepokoisz się o mnie, ale nic mi nie jest. Jasne? Napiszę do

ciebie i naprawdę zadzwonię, gdybyś był mi potrzebny. Bądź grzeczny i zjedz za mnie kawałek amerykańskiego sernika. *Ciao, pulcino.*

Odłożyła słuchawkę. Uśmiechnąłem się, myśląc o jej uporze i odwadze i o mojej wolności. Byłem rozgrzeszony. Kazała mi zostać.

Miałem się zatrzymać w jednopokojowym mieszkaniu przy Siedemdziesiątej Druhej Ulicy, odziedziczonym przez Indię po matce. Było brudne i pachniało stęchlizną, więc mimo zmęczenia zabrałem się do porządków. Skończyłem późnym wieczorem i ledwo starczyło mi sił, żeby dowlec się do narożnej knajpki na kawę i kanapkę.

Usiadłem przy barze i przysłuchiwałem się ludziom. Tak przywykłem do niemieckiego, że angielski brzmiał w moich uszach czysto i świeżo jak szelest nowej papierowej jednodolarówki.

Wiedziałem, że powinienem zadzwonić do ojca i powiedzieć mu, że jestem w kraju, ale chciałem mieć kilka dni dla siebie. Myszkowałem po księgarniach, jadłem kanapki z *pastrami* i zaliczyłem parę filmów. Chodziłem po ulicach jak jakiś ćwok z prowincji, gapiąc się na ludzi, kolory i życie, które furkotało w powietrzu niczym inwazja latawców. Nie przeszkadzał mi nawet deszcz i chłód. Nie byłem w Nowym Jorku od

tak dawna, że nie mogłem się nim nasycić. Chwilami zupełnie wypierał z moich myśli Wiedeń — dopóki jakiś dźwięk albo gest jakiejś kobiety poprawiającej włosy nie przypomni mi Indii albo Paula, albo czegoś stamtąd.

Kupiłem Indii kilka prezentów, z których najbardziej podobało mi się staroświeckie pudełko z różanego drzewa. Kiedy przyniosłem je do domu i postawiłem na toaletce, zacząłem się zastanawiać, czy go nie zatrzymać.

W końcu zadzwoniłem do ojca i umówiliśmy się na lunch. Chciał, żebym przyjechał obejrzyć ich nowe mieszkanie, ale wymigałem się od tego, tłumacząc, że zbieram materiały do książki i muszę się dostosować do godzin pracy Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Mogłem go przekonać takim argumentem, bo imponowało mu to, że jestem pisarzem; wszystko, co miało związek z „twórczością”, było dla niego święte.

Prawdziwym powodem mojej niechęci do złożenia mu wizyty było to, że nie lubiłem jego nowej żony, kobiety irytująco gadatliwej i nastawionej do mnie podejrzliwie. Ojciec uważał, iż jest wspaniała, i wydawało się, że są ze sobą naprawdę szczęśliwi, ale każdy mój pobyt u nich przebiegał w niezdrowej atmosferze.

Ojciec lubił puby, więc spotkaliśmy się pod O'Nealem na rogu Siedemdziesiątej Drugiej i Columbus. Miał na sobie elegancki angielski prochowiec, w którym wyglądał jak podstarzały James Bond. Zapуścił też sumiaste wąsy, które jeszcze dodawały mu szyku. Byłem zaskoczony i zachwycony tym jego nowym stylem; kiedy na powitanie zrobiliśmy „niedźwiadka”, on wypuścił mnie z objęć pierwszy.

Był rozpromieniony i pełen energii i twierdził, że nowe życie układa mu się świetnie. Znając jego prostolinijność, wiedziałem, że nie ma w tym fałszu ani przesady. Po wielu cierpieniach wreszcie zaznawał szczęścia. Ujmujące było to, że naprawdę nie mógł uwierzyć w tę odmianę losu. Jeżeli jakiś człowiek potrafi docenić dary boskie, jest nim mój ojciec.

Siedzieliśmy w kącie sali i jedliśmy hamburgery. Ojciec pytał mnie o Wiedeń i moją pracę. Powiedziałem mu parę kłamstw, z których wynikało, że mam świat u stóp. Przy kawie wyjął plik najnowszych zdjęć swojej rodziny i zaczął mi je kolejno wręczać, opatrując każde krótkim komentarzem.

Dwójka dzieci jego żony z poprzedniego małżeństwa była już prawie dorosła. Moja macocha zaczęła tracić figurę, ale za to robiła wrażenie spokojniejszej i bardziej pewnej siebie niż kiedy ją ostatnio widziałem.

Niektóre fotografie zrobiono przed ich blokiem, inne w wychuchanym nowym salonie, jeszcze inne podczas rodzinnej wycieczki do Nowego Jorku. Na jednym z tych ostatnich stali pod Radio City Music Hali — wyglądali na onieśmielonych i lekko przestraszonych wizytą w Wielkim Mieście.

Ojciec podawał mi zdjęcia tak delikatnie, jakby dotykał osób, które przedstawiały. W jego głosie dźwięczało rozbawienie, ale podszyte czułością; było jasne, że bardzo kocha tych ludzi.

Uśmiechałem się, kiedy należało, i próbowałem uważnie słuchać objaśnień, ale kiedy oglądam fotki osób, które nie są mi bliskie, po dziesięciu czy piętnastu zaczynam się rozpraszać.

— To jest przyjęcie urodzinowe, które urządziliśmy w październiku. Pamiętasz? Opowiadałem ci o nim.

Zerknąłem na fotografię i cofnąłem się, jakby parzyła.

— Co to jest? Skąd to masz?

— Co, synu? O co ci chodzi?

— To zdjęcie... co ono przedstawia?

— Jest z urodzin Beverly. Przecież ci mówiłem.

Trzy osoby stały, trzymając się za ręce, przodem do obiektywu. Byli z zwyczajnych ubraniach, ale na głowach mieli czarne cylindry — dokładnie takie jak cylinder Paula Tate'a.

— Jezu Chryste, zabierz to ode mnie! Zabierz to!

Ludzie patrzyli na mnie, mój biedny ojciec najuważniej ze wszystkich. Nie widziałem go długie miesiące i musiało się zdarzyć coś takiego. Nic nie mogłem na to poradzić. Myślałem, że zostawiłem Wiedeń za sobą, że na razie jestem bezpieczny. Ale czym jest bezpieczeństwo? Czy dotyczy ciała, czy ducha?

Kiedy wyszliśmy na ulicę, zacząłem nieudolnie zmyślać, że jestem przepracowany i potrzebuję odpoczynku, ale ojciec mi nie uwierzył. Chciał, żebym pojechał z nim do domu. Nie zgodziłem się.

— Więc co m o g ę dla ciebie zrobić, Joe?

— Nic, tatau. Nie martw się o mnie.

— Joe, po śmierci Rossa obiecałeś, że jeśli kiedykolwiek będziesz w kiepskim stanie, zwrócisz się do mnie o pomoc. Wydaje mi się, że łamiesz tę obietnicę.

— Zadzwońię do ciebie, tatau, dobrze?

Dotknąłem jego ramienia i zacząłem się oddalać. Wiedziałem, że zaraz się rozplączę, i za nic w świecie nie chciałem, żeby to zobaczył.

— Kiedy? Kiedy zadzwonisz? Joe?

— Niedługo, tatau! Za parę dni!

Na rogu Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy odwróciłem się i pomachałem mu, wyciągając rękę najwyżej jak mogłem. Zupełnie jakby jeden z nas odpływał statkiem, opuszczając drugiego na zawsze.

* * *

Zobaczyłem ich dopiero po otwarciu drzwi domu. Było po północy. Stali w kącie klatki schodowej, Murzyn tłukł głową kobiety o metalowe skrzynki na listy.

— Co jest, do diabła? Hej!

Odwrócił się; zauważyłem, że kąciaki jego ust lśnią od krwi.

— Odpieprz się, koleś! — rzucił do mnie przez ramię, nie puszczać szyi kobiety.

— Na pomoc!

Odepchnął ją i ruszył na mnie. Niewiele myśląc, z całej siły kopnąłem go w jaja — stara sztuczka, której nauczyłem się od Bobby’ego Hanleya. Facetowi zaparło dech i upadł na kolana, trzymając się za krocze. Nie miałem pojęcia, co dalej, ale kobieta zachowała zimną krew. Potykając się, dopadła drugich, wewnętrznych drzwi i otworzyła je z rozmachem. Skoczyłem za nią i drzwi zatrzasnęły się za nami na automatyczny zamek. Znaleźliśmy się w windzie, zanim napastnik zdążył podnieść głowę.

Tak bardzo trzęsła jej się ręka, że ledwo zdołała nacisnąć siódmkę, piętro pode mną. Kiedy winda ruszyła, zgięła się w pół i zwymiotowała. Torsje nie przestały jej męczyć, nawet kiedy już wszystko z siebie wyrzuciła. Próbowwała odwrócić się do ściany, ale zaczęła się krztusić i kaszleć; zląkłem się, że nie może oddychać, i mocno uderzyłem ją w plecy.

Drzwi się rozsunęły i pomogłem jej wyjść z windy. Z trudem łapała oddech. Spytałem ją o numer mieszkania. Podała mi torebkę i ruszyła korytarzem. Po chwili przysta-

nęła, wskazując jakieś drzwi. Znów zaczęła wymiotować i, niewiele myśląc, chwyciłem ją za ramiona.

* * *

Nazywała się Karen Mack. Napastnik czekał na klatce schodowej i uderzył ją w twarz. Potem usiłował ją pocałować, ale go ugryzła.

Dowiedziałem się tego stopniowo. Nakłoniłem ją, żeby położyła się na jaskrawoniebieskiej kanapie i wytarłem jej twarz ściereczką, którą zmoczyłem w ciepłej wodzie — przeżyła dość wstrząsów jak na jeden wieczór. Jedynym mocnym trunkiem, jaki miała w mieszkaniu, była nie napoczęta butelka japońskiej śliwownicy. Otworzyłem ją i oboje wypiliśmy po długim, paskudnym łyku. Nie pozwoliła mi wezwać policji, ale kiedy powiedziałem, że lepiej już pójdę, zaczęła mnie błagać, żebym został. Nie chciała puścić mojej ręki.

Mieszkanie musiało kosztować majątek. Między innymi miało wielki balkon, z którego roztaczał się widok na setki dachów; przypominało mi to Paryż.

Kiedy już dostatecznie wygłaskałem jej dłoń, zapewniając, że zostanę, jak długo będzie chciała, poprosiła, żebym zgasił wszystkie lampy i usiadł przy niej. Była pełnia księżycy i pokój zatonął w łagodnej, błękitnej poświacie.

Siedziałem na grubym dywanie obok kanapy, patrząc w zimową noc. Czułem się dobry i silny. Gdy dotknęła mojego ramienia i jeszcze raz mi podziękowała cichym, sennym głosem, pomyślałem, że to ja powinienem podziękować jej. Pierwszy raz od wielu tygodni poczułem się wartościowym człowiekiem. Na chwilę wykroczyłem poza własny egoizm, aby pomóc drugiej osobie.

Nazajutrz obudziłem się na podłodze, ale przykryty ciężkim wełnianym kocem i z jedną z miękkich poduszek z kanapy pod głową. Kobieta stała na balkonie. Włożyła szlafrok i była starannie uczesana.

— Dzień dobry.

Odwróciła się i uśmiechnęła jednym kącikiem ust. Drugi był spuchnięty i siny — przykładała do niego woreczek z lodem.

— Nie śpisz już?

Weszła do pokoju i zasunęła szklane drzwi. W dziennym świetle okazało się, że ma tę niewiarygodnie białą irlandzką cerę, do której tak dobrze pasują głębokie zielone oczy, jakimi natura też ją obdarzyła. Wielkie oczy. Wspaniałe oczy. Nos miała drobny i zwyczajny, ale złotorude włosy okalały jej wąską twarz w taki sposób, że wyglądała prześlicznie, mimo wielkiego sińca. Wysunęła język, aby go polizać, i lekko się skrzywiła.

— Na ile rund to wygląda?

— Nic ci nie jest? Dobrze się czujesz?

— Tak, dzięki tobie. Jak trochę pomieszkasz w Nowym Jorku, zaczynasz myśleć, że na tym świecie nie ma już żadnych bohaterów, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Dowiodłeś, że się myliłam. Co byś chciał na śniadanie? I czy zechciałbyś się przedstawić, żebyśmy mogła ci mówić po imieniu?

— Joseph Lennox. Joe, jeśli wolisz.

— Nie, bardziej podoba mi się Joseph. Nigdy nie przepadałam za zdrobnieniami. Więc co ci podać na śniadanie, Josephie?

— Wszystko jedno. Cokolwiek.

— Z zawartości mojej spiżarni wynika, że „cokolwiek” może być melonem, świeżymi goframi, kanadyjskim bekonem, kawą. . .

— Poproszę gofry, Karen. Nie jadłem ich od lat.

— Dobrze, załatwione. Gdybyś chciał wziąć prysznic, łazienka jest naprzeciwko sypialni. Boże, mówię tak, jakbyś miał nie wiem ile czasu. M o ż e s z zostać na śniadaniu?

Zadzwoiłam do szkoły i powiedziałam, że jestem chora. Spieszysz się gdzieś? Jest dopiero ósma.

— Nie, nie mam na dzisiaj żadnych planów. Gofry i kawa będą idealnym początkiem dnia.

Jej łazienka wyglądała jak po trzeciej wojnie światowej. Na podłodze walały się wilgotne ręczniki, ze sznurka nad wanną zwisało bezwładnie pranie; w umywalce leżała wyciśnięta tubka pasty do zębów, zakrętki nie było nigdzie widać. Jakoś pokonałem ten tor przeszkód i wziąłem prysznic, a nawet trochę posprzątałem przed wyjściem.

W pokoju było zaskakująco jasno i ciepło; na stole stało mnóstwo pysznych rzeczy. Sok pomarańczowy naląła do grubych kryształowych kielichów, srebrne sztuce rzuciły refleksy słońca na ściany.

— Josephie, siadaj i jedz, zanim wszystko wystygnie. Jestem doskonałą kucharką. Usmażyłam ci siedemset gofrów i masz je zjeść, bo dostaniesz dwóje.

— Jesteś nauczycielką?

— W rzeczy samej. Klasa siódma, wiedza o społeczeństwie.

Wykrzywiła się, napinając mięśnie jak cyrkowy siłacz. Usiadła przy stole i wzięła widelec. Oboje patrzyliśmy, jak drży jej ręka. Powoli położyła ją na kolanie.

— Przepraszam. Ale ty zacznij już jeść. Przepraszam, nadal okropnie się boję. Jest jasny dzień, najgorsze minęło, nic mi już nie grozi, ale się boję. To tak, jakbym miała paskudną gripę, rozumiesz?

— Karen, chciałabyś, żebym został z tobą cały dzień? Chętnie to zrobię.

— Josephie, chciałabym tego bardzo, bardzo, bardzo. Mówiłeś, że z której części nieba pochodzisz?

— Z Wiednia.

— Z Wiednia? Tam się urodziłam!

Chodziło o Wiedeń w stanie Wirginia. Jej rodzice mieli tam hodowlę chartów wyścigowych. Powiedziała, że są miłymi ludźmi, którzy odziedziczyli tyle pieniędzy, że wprawiało ich to w zakłopotanie.

Karen poszła do Agnes Scott w Georgii, bo w tym college'u studiowała jej matka, ale nienawdziła tam wszystkiego oprócz zajęć z historii. Pewnego razu uczelnię odwiedził Richard Hofstadter i jego prelekcja o jacksonskiej demokracji zrobiła na niej takie wrażenie, że postanowiła przenieść się tam, gdzie wykładał stale. Okazało się, że uczy na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Mimo sprzeciwu rodziców złożyła podanie i została przyjęta do Barnard College. Zanim studiowanie zdążyło jej się znudzić, zrobiła magisterium z historii, a że bardzo polubiła Nowy Jork, objęła posadę nauczycielki w prywatnej szkole dla dziewcząt na Środkowym Manhattanie.

Dowiedziałem się tego wszystkiego przy śniadaniu, najdłuższym w moim życiu. Wciąż zadawałem jej pytania, żeby nie myślała o poprzednim wieczorze. Ile gofrów można jednak zjeść? Podniósłszy się z trudem od stołu, nadal z pełnymi ustami, zaproponowałem, żebyśmy poszli na spacer. Zgodziła się. Przemknęło mi przez głowę, że

powinienem się przebrać, ale nie byłem pewien, czy mogę ją już zostawić samą, więc wyszedłem tak jak stałem.

Było strasznie zimno, ale pogodnie, po raz pierwszy od mojego przyjazdu. Zachodnia Siedemdziesiąta Druga Ulica to świat sam w sobie i można tam znaleźć dosłownie wszystko: kowbojskie buty, zdrowy makaron, japońskie latawce. . . Przeszliśmy się tam i z powrotem, przystając na długo przed wystawami i wymieniając uwagi.

Zakochałem się w kowbojskich butach, do których przymierzenia mnie zmusiła. Pamiętałem opowieść Paula o Austriakach wysiadających w takich butach z samolotu, ale te były piękne i już prawie zdecydowałem się je kupić, gdy odkryłem, że kosztują ponad sto czterdzieści dolarów.

Lunch zjedliśmy w delikatesach. Karen z trudem gryzła kanapkę z wołowiną, bo warga wciąż ją bolała, ale śmiała się i umyślnie zaczęła mówić kącikiem ust.

— No dobra, Lennox, dość się już nagadałam. Teraz twoja kolej. Będiesz mówił czy mam cię poddać torturom? Jaka jest twoja opowieść?

— Co byś chciała usłyszeć?

Udała, że patrzy na zegarek.

— Historię twojego życia w jedną minutę.

Opowiedziałem jej po trochu o wszystkim — o Wiedniu, o moim pisaniu i dzieciństwie. Słuchała mnie z szeroko otwartymi, płonącymi ciekawością oczami, a kiedy coś ją poruszyło lub przeraziło, bezwiednie dotykała mojej ręki. Wydawała okrzyki w rodzaju „Nie gadaj!” albo „Chyba żartujesz!” i często musiałem kiwać głową, aby ją zapewnić, że mówię prawdę.

Godzinę później piliśmy grzane wino w przeszklonej kawiarni. Zaczęliśmy rozmawiać o teatrze i nieśmiało zapytałem, czy kiedykolwiek widziała *Głos naszego cienia*.

— Czy go widziałam? Rany, Josephie, musiałam przeczytać tę sztukę na zajęcia z dramatu w Agnes Scott. Popełniłam ten błąd, że przywiozłam ją do domu na wakacje, i wpadła w ręce mojemu tacie. Boże! Złapał ją i latał po domu jak orzeł, wrzeszcząc, jak można kazać młodym dziewczętom czytać książki o młodocianych przestępcach i obmacywaniu się na prywatkach! Do diabła, Josephie! Wiem o tej sztuce wszystko!

Zmieniłem temat, ale później powiedziałem jej o moich związkach z *Glosem*. Uśmiechnęła się smutno i stwierdziła, że chyba nieprzyjemnie jest być sławnym z powodu czegoś, czego się nie zrobiło.

Po winie była kubańska kolacja i więcej opowieści. Minęło dużo czasu, odkąd gawędziłem z kimś tak swobodnie, śmiejąc się i o nic nie martwiąc. Poznawszy Indię, szybko zdałem sobie sprawę, iż oczekuje, że ludzie będą mówić dobrze i ciekawie, ponieważ jest uważną słuchaczką. Zanim coś powiedziałem, szlifowałem to i upiększałem, żeby zabrzmiało jak najlepiej. Kiedy byłem w towarzystwie Indii, zarówno przed śmiercią Paula, jak i potem, każda chwila miała taką wagę, że czasami nie śmiałem się poruszyć z obawy, iż coś zniszczę — nastrój, ton, cokolwiek.

Tutaj, na drugim końcu świata, przy Karen, czułem, że bez żadnego wysiłku mogę być najmądrzejszym, najdowcipniejszym facetem pod słońcem, że śmiech ma człowieka rozpierać i wypełniać całą salę echem. Życie nie jest łatwe, ale na pewno może być przyjemne. Umówiliśmy się na następny wieczór do kina.

Poszliśmy na oryginalną wersję *Zaginionego horyzontu*. Po wyjściu z kina Karen wycierała oczy moją chusteczką.

— Nienawidzę ich, Josephie! Wystarczy, że zagrają mi na skrzypcach, pokażą tego starego Ronalda Colmana i już po mnie.

Chciałem wziąć ją za rękę, ale nie zrobiłem tego. Spojrzałem na chodnik, zadowolony, że Karen jest przy mnie.

— Parę miesięcy temu miałam chłopaka. Zabierał mnie na takie filmy, a potem wściekał się, że płaczę. A co miałam robić? Pisać recenzję? Nowojorscy intelektualiści: atrament zamiast krwi.

— Masz teraz kogoś?

— Nie, to był mój ostatni stały partner. Z wiekiem robię się coraz bardziej wybredna. Czy to oznaka starości? Och, zawsze mogę chodzić na przyjęcia. Raz poszłam nawet do baru dla samotnych, ale czy ja wiem, Josephie, komu to potrzebne? Panuje tam nerwowa atmosfera i wszyscy mają oczy jak ekrany telewizorów. To mnie przygnębia.

— Jak miał na imię twój chłopak?

— Miles. — Wymówiła to „Molls”. — Był bardzo ważnym wydawcą. To on odrzucił mnie.

— Dlaczego? Nie podobał mu się twój styl?

Spojrzała na mnie i dała mi kuksańca, po czym nagle przystanęła na środku chodnika i wzięła się pod boki.

— Naprawdę cię to interesuje czy tylko podtrzymujesz rozmowę?

Ludzie mijali nas z uśmiezkami i minami mówiącymi, że wiedzą, że się kłócimy. Powiedziałem, że naprawdę mnie to interesuje. Schowała ręce do kieszeni płaszcza i ruszyła przed siebie.

— Miles kochał się ze mną z zegarkiem na ręku. Wyobrażasz sobie? Doprowadzał mnie tym do obłędu. Jak można robić coś takiego?

— Co? Kochać się, mając zegarek na ręku? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Nigdy się nie... Josephie! Nie denerwuj mnie. Wiążę z tobą wielkie nadzieje. Mężczyzna nie powinien się kochać z zegarkiem na ręku. Spiesz się gdzieś, czy co? Jak byś się czuł, gdyby kobieta weszła do łóżka z wielkim timexem na ręku? No jak?

Znów się zatrzymała i wlepiła we mnie wzrok.

— Karen, mówisz poważnie?

— No pewnie! Miles nosił taką wielką zegarkową bombę. Za każdym razem. Przez jej tykanie zamieniałam się w kłębek nerwów i diabli brali całą rozkosz.

— Karen...

— Nie patrz na mnie w ten sposób. Masz dokładnie taką minę jak Miles, kiedy mu o tym powiedziałam. Posłuchaj, kobieta chce być adorowana i uwielbiana. Chce zapomnieć o całym świecie i zatonać w miłości! A tu nic z tego: tyk, tyk, tyk, jest siódma zero osiem i trzydzieści sekund. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— „Adorowana i uwielbiana”?

— Tak jest. Nie wprawiaj mnie z zakłopotanie, sam pytałeś.

Wróciliśmy do jej mieszkania na kawę. Znow zaczęło padać; patrzyłem, jak deszcz uderza o szyby balkonu. Pokój był jasną, bezpieczną fortecą: niebieska kanapa, gruby dywan, płamy łagodnego światła w kątach. Z tą miękkością kształtów i żywością kolorów kontrastowały obrazy na ścianach. Spodziewałbym się tutaj kłownów Bernarda Buffeta albo gołąbków Picassa, ale nie. Nad stołem wisiała w matowej srebrnej ramie reprodukcja Francisa Bacona, przedstawiająca coś brunatnego i rozmazanego. Kolekcję uzupełniali Otto Dix, Edward Hopper i Edward Munch.

Gdy Karen weszła z kawą, przyglądałem się wielkiej reprodukcji *Krzyku* Muncha.

— Skąd te ponure obrazy, Karen?

— Prawda, że są przerażające? Idealne tło dla koszmarów sennych.

Przycupnęła na kanapie i starannie, delikatnymi ruchami, nakryła stół dla dwóch osób. Przypominała małą dziewczynkę urządzającą podwieczorek dla lalek i pluszowych misiów.

— Miles mówił, że jestem utajoną psychotyczką. Te moje niemodne mokasyny i cytrynowe bluzeczki. . . Miss Moherowych Sweterków. Słodzisz? Och, Miles. Powinien pisać scenariusze do francuskich filmów. Brakowało mu tylko skórzanego płaszcza do kolan i gauloise'a w kąciку ust. Proszę, Josephie. Mam nadzieję, że lubisz mocną kawę. Ta jest włoska i dobra.

Usiadłem obok niej.

— Nie odpowiedziałas, dlaczego lubisz takie melancholijne obrazy.

Nawet piła delikatnie.

— Ranisz moje uczucia, Josephie.

— Co? Dlaczego? Co ja takiego powiedziałem?

— Powiedziałeś, skarbie, że powinnam lubić takie a nie inne obrazy, ponieważ ubieram się i mówię w taki a nie inny sposób. Nie ma prawa mi się podobać nic czarnego,

smutnego ani samotnego, bo... Jak byś się czuł, mój panie, gdybym cię wtłoczyła do takiej szufladki?

— Źle. Masz rację.

— No właśnie. Wcale mnie jeszcze tak dobrze nie znasz, a mówisz takie rzeczy. Jak byś się czuł, gdybym powiedziała: „Och, jesteś pisarzem! Na pewno lubisz fajki, Szekspira i setery irlandzkie”?

— Karen?

— Co?

— Masz rację.

Dotknąłem jej łokcia. Cofnęła rękę.

— Nie przytakuj mi! Nie powtarzaj, że mam rację. Podnieś pięści i walcz.

Zwinęła dłoń w ptasią piąstkę i podetknęła mi ją pod nos. Komizm tego gestu coś we mnie poruszył i patrząc na nią, otworzyłem usta, żeby powiedzieć: „Boże, jak ja cię lubię”, ale mnie ubiegła.

— Josephie, nie chcę, żebyś się okazał męską szowinistyczną świnia. Masz być dokładnie tym, kim myślę, że jesteś, to znaczy kimś wyjątkowym. Nie powiem na ten

temat nic więcej, bo tylko wbiłabym cię w dumę. Najpierw uratowałeś mnie przed tym czarnym smokiem, a potem dałeś się poznać jako miły, interesujący człowiek. Jeśli mnie teraz rozczarujesz, wścieknę się jak wszyscy diabli. Rozumiesz?

Szkoła była starym budynkiem z czerwonej cegły; zamożność emanowała z niej jak ciepło. O wpół do czwartej stałem po drugiej stronie ulicy i czekałem na Karen. Nie miała pojęcia, że tu będę. Niespodzianka!

Zadzwoił dzwonek i we wszystkich oknach pojawiły się dziewczęce głowy. Rozległy się wołania, krzyki i piskliwy śmiech. Chwilę później zaczęły się wylewać z budynku miękkimi, szaro-białymi falami. Dźwigały książki, patrzyły w niebo, rozmawiały ze sobą; wszystkie były ubrane w szare blezerki, szare spódniczki i białe bluzki. Moim zdaniem wyglądały cudownie.

Zobaczyłem blondynkę z wielką aktówką i ruszyłem na oślep przez ulicę, ale w połowie drogi zorientowałem się, że to nie Karen.

Kiedy nie pojawiła się przez następne pół godziny, dałem za wygraną i zawróciłem do domu. Nie rozumiałem tego. Zadzwoiłem do niej z narożnej budki; odebrała po pierwszym sygnale.

— Josephie, gdzie jesteś? Piekę placek z orzechami.

Wyjaśniłem, co się stało. Zachichotała.

— Skończyłam dziś wcześniej i pojechałam do Soho zrobić zakupy na naszą kolację.

Bo przychodzisz na kolację, wiesz?

— Karen, kupiłem ci prezent.

Spojrzałem na paczkę, którą ściskałem w dłoni.

— Najwyższy czas, żebyś coś mi kupił! Nie, żartuję. Jestem wzruszona. Rozpakuję go, jak tylko zjemy.

Chciałem jej powiedzieć, co to takiego. Wielki album Edwarda Hoppera z barwnymi reprodukcjami jej ulubionych obrazów. Był ciężki. Położyłem go na metalowej półeczce pod telefonem.

— Josephie, powiedz mi, co to jest. Albo nie! Chcę mieć niespodziankę. Będzie mi się podobała?

— Zaczekaj i sama się przekonaj.

— Świntuch.

Chciałem włożyć dłoń w słuchawkę i pogłaskać ten miękki, aksamitny głos. Przed oczyma miałem jej uśmiech: radosny i łobuzerski. Pragnąłem być przy niej.

— Karen, czy mogę przyjść od razu?

— Szkoda, że nie przyszedłeś godzinę temu.

Po wyjściu z windy puściłem się biegiem. Stałem pod jej drzwiami z książką pod pachą i sercem w gardle. Do framugi była przyklejona karteczka:

Nie złość się. Zjemy placek, jak wrócę. Coś mi wyskoczyło. Nazywa się Miles i mówi, że bardzo potrzebuje pomocy. Nie chcę iść. Powtarzam — nie chcę iść, ale dużo mu zawdzięczam, więc pójdę. Postaram się wrócić jak najszybciej. Nie złość się, bo zabiję. W kinie nocnym jest dobry film. Zapukam trzy razy.

Nie złość się.

Kupiłem pizzę i przyniosłem ją do domu, żeby mnie zastała, gdyby wróciła wcześniej. Nie wróciła wcale. Nie nocowała u siebie.

Rozdział 2

Nazajutrz przyszedł list od Indii. W pierwszej chwili spojrzałem na niego tak, jakby był jakimś kluczem albo dokumentem, który zgubiłem dawno temu, i teraz, gdy się znalazł, nie wiem, co z nim zrobić.

Kochany Joe,

Wiem, że powinnam była napisać wcześniej — przyjmij, proszę, że zdarzyło się parę rzeczy, które mi w tym przeszkodziły. Nie udało mi się nawiązać kontaktu z Paulem. Zrobił tylko dwie małe, brzydkie sztuczki, aby

mi przypomnieć, że nadal tu jest. Powiem ci, co to było, żebyś się nie martwił — Kiedy pewnego ranka weszłam do kuchni, na jego miejscu przy stole leżała rękawiczka Brzdąca. Jak mówię, był to drobiazg, ale przestraszyłam się wystarczająco i zareagowałam jak wariatka, więc powinien być zadowolony.

Umówiłam się na spotkanie ze sławnym wiedeńskim medium. Nigdy nie miałam wielkiego zaufania do tych stolikowców, ale po tym, co się wydarzyło w ostatnich miesiącach, sama już nie wiem, w co mam wierzyć. Dam ci znać, jeśli coś z tego wyniknie.

Nie zrozum mnie źle, ale dobrze mi się żyje samej. Mam na głowie mnóstwo spraw, o których dotąd nawet nie wiedziałam, bo załatwiała je ta druga połowa, ale za to jestem wolna jak ptak i nie muszę się przed nikim tłumaczyć. Bóg wie, że podobało mi się życie z Paulem, i może kiedyś będę chciała żyć z tobą, ale na razie cieszę się, że mam podwójne łóżko tylko dla siebie i swobodę wyboru.

Jak ci leci, leniwcu? A spróbuj źle zrozumieć cokolwiek z tego, co napisałam, to pożałujesz.

Uściski, India.

Schowałem dumę do kieszeni i zadzwoniłem do Karen. Odebrała dopiero po siódmym sygnale. Z każdym kolejnym moje serce biło coraz szybciej.

— Halo, Joseph?

— Karen?

— Josephie. Josephie, jestem taka niedobra.

— Mogę do ciebie przyjść?

— Spędziłam z nim noc.

— Domyśliłem się tego, gdy nie wróciłaś na kino nocne.

— Naprawdę chcesz mnie zobaczyć?

— Tak, Karen, bardzo.

Była w brzydkich różowych kapciach i różowym, flanelowym szlafroku. Przytrzymała ten szlafrok przy szyi i unikała mojego wzroku. Weszliśmy do pokoju i usiedli-

śmy na kanapie, Karen tak daleko ode mnie, jak się dało. Umarli nie mogliby zachowywać się ciszej niż my przez te pierwsze pięć minut.

— Masz kogoś w Wiedniu? Nie chodzi mi o przelotne znajomości. Kogoś naprawdę ważnego?

— Tak. A raczej, może tak. Nie wiem.

— Tęsknisz za nią?

W jej głosie zadźwięczało leciusięńkie zdenerwowanie.

— Karen, czy możesz na mnie spojrzeć? Jeśli martwisz się o zeszłą noc, to wszystko w porządku. To znaczy, wcale nie w porządku, ale rozumiem. Cholera, nie mogę nawet tak mówić, nie mam prawa. Posłuchaj, nie zniosę myśli, że spiasz teraz z kimś innym. To komplement, rozumiesz? Komplement!

— Nienawidzisz mnie?

— Skądże! Mam straszny mętlik w głowie. Zeszłej nocy myślałem, że zacznę gryźć dywan, taki byłem zazdrosny.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Kochasz mnie, Josephie?

— Co za pora na takie pytanie! Ale tak, sądząc z tego, jak się czułem zeszłej nocy, chyba tak.

— Może to była tylko zazdrość. Łatwo jest poczuć się zazdrosnym, zwłaszcza w takiej sytuacji.

— Karen, gdyby mi na tobie nie zależało, zeszła noc nic by mnie nie obchodziła, prawda? Posłuchaj, dostałem dzisiaj list z Wiednia. Dostałem list i po raz pierwszy poczułem, że nie chcę tam wrócić. Wcale. Nie mam nawet ochoty odpisać. To chyba coś znaczy.

Milczała. Nadal nie chciała na mnie spojrzeć.

— A co z tobą? Kogo ty kochasz?

Położyła sobie na kolanach poduszkę z kanapy i zaczęła ją raz po raz wygładzać.

— Bardziej ciebie niż Milesa.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że zeszła noc mnie też czegoś nauczyła. Wreszcie popatrzyliśmy na siebie ponad dzielącymi nas milami kanapy. Myślę, że oboje pragnęliśmy się dotknąć, ale baliśmy się poruszyć. Karen dalej gładziła poduszkę.

* * *

— Zauważyłeś, jak inaczej ludzie zachowują się w sobotnie popołudnie? Spacerowaliśmy Trzecią Aleją, trzymając się pod rękę. Świat wokół był hałaśliwy i mokry, ale świeciło już słońce.

— Co masz na myśli?

Zacząłem poprawiać jej zielony szalik. Kiedy skończyłem, wyglądała jak bystry bandyta podczas napadu na bank.

— Nie duś mnie, Josephie. Na przykład, śmieją się inaczej. Pełną pierśią. Może to ich odpręża. Hej, mogę cię o coś spytać?

— Chodzi o zeszłą noc?

— Nie, o tę kobietę w Wiedniu.

— Wal.

Przeszliśmy na słoneczną stronę ulicy. Jezdnia lśniła. Minęli nas jacyś ludzie dyskutujący gorączkowo o liniach lotniczych Alitalia. Karen wzięła mnie pod ramię i włożyła dłoń do mojej kieszeni, w moją dłoń. Była ciepła, szczupła i krucha jak jajko.

Spojrzałem na nią. Zsunęła już szalik z górnej wargi. Zatrzymała się i przyciągnęła mnie do siebie ruchem ręki, którą trzymała w mojej kieszeni.

— No dobrze. Jak jej na imię?

— India.

— India? Ślicznie. India jaka?

— Tate. Chodźmy.

— Jak ona wygląda, Josephie? Czy jest ładna?

— Przede wszystkim, jest dużo starsza od ciebie. Ale owszem, jest dość ładna. Wysoka, szczupła, ma ciemne, raczej długie włosy.

— Ale uważasz, że jest ładna?

— Tak, ale inaczej niż ty.

— To znaczy?

Jej oczy patrzyły sceptycznie.

— India jest jesienią, a ty wiosną.

— Hmm.

Pięć minut później słońce schowało się za chmury i już tam zostało. Niebo przybrało stalowy kolor, a ludzie zaczęli chodzić, wtulając głowy w ramiona. Żadne z nas się nie odezwało, ale wiedziałem, że dzień się psuje, bez względu na to, ile prawd pokazało nam po drodze swoje twarze. Obie strony kochały, ale była to miłość mglista i bezkształtna. Czułem, że jeśli zaraz czegoś nie zrobię, ta mgła zaćmi całą bliskość, zostawiając tylko zamęt i rozczarowanie.

* * *

Ross i Bobby często jeździli do Nowego Jorku. Penetrowali go jak poszukiwacze skarbów i zwykle znajdowali to, czego chcieli. Manhattan jest pełen dziwnych i tajemniczych rzeczy ukrytych pod tkanką miasta niczym sekretny puls: okna nad głównym wejściem dworca Grand Central, wysokie na dziesięć pięter, tak że tylko Bóg może przez nie patrzeć, niczym przez brudne okulary. Albo schron przeciwlotniczy na East

Side, zaprojektowany na milion osób i wykopany tak głęboko, że traktor jadący po dnie wygląda ze szczytu schodów jak żółta mrówka z reflektorami.

Kolekcjonowali takie zakamarki i czasem mi o nich mówili. Ale nie lubili się dzielić, obojętnie, czy były to papierosy, czy butelka kradzionej whisky, i objawiali jeszcze większe skąpstwo, gdy szło o pokazanie komuś tych nieznanych, magicznych miejsc.

Omiał więc nie zemdląłem, gdy pewnego dnia zaproponowali, że wezmą mnie na opuszczoną stację metra w pobliżu Park Avenue. Był to jedyny klejnot z ich skarbcza, jaki widziałem na własne oczy, i pod wpływem nastroju chwili postanowiłem zabrać tam Karen.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, schyliłem się i zacząłem ciągnąć za koniec długiej, prostokątnej kratki szybu wentylacyjnego. Karen spytała mnie, co robię, ale byłem zbyt pochłonięty szarpaniem i stękaniami, aby odpowiedzieć. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że najpierw trzeba zwolnić zasuwkę pod spodem. Gdy to zrobiłem, kratka odskoczyła i omal nie ucięła mi głowy. Klęczeliśmy na chodniku nad szybem wentylacyjnym metra, a żaden przechodzień się nie zatrzymał ani nie odezwał. Wątpię, aby ktokolwiek w ogóle zauważył, co robimy. Witajcie w Nowym Jorku.

Stalowe stopnie prowadziły w ciemność, ale Karen zaczęła po nich schodzić bez słowa. Zanim jej twarz zniknęła w otworze, zobaczyłem na niej domyślny uśmiezek. Podążyłem za nią i zasunąłem kratkę jak właz lodzi podwodnej.

— Josephie, mój drogi, gdzie my, do diabła, jesteśmy?

— Nie zatrzymuj się. Jeżeli mamy szczęście, za chwilę zobaczysz światło. Idź w jego stronę.

— Mój Boże! Jak odkryłeś to miejsce? Wygląda, jakby ostatni pociąg przejechał tędy w latach dwudziestych.

Z jakiegoś powodu stację nadal oświetlały dwie słabe żarówki umieszczone na końcach peronu. Głuchą ciszę dopiero po dłuższej chwili przerwał łoskot nadjeżdżającego pociągu. Kiedy wagony przetaczały się po zewnętrznym torze, Karen objęła mnie ramieniem i przyciągnęła moją głowę do swojej, abym ją usłyszał.

— Jesteś kompletnie świrnięty! Kocham to!

— A kochasz mnie?

— TAK!

Kiedy już stamtąd wyszliśmy i znaleźliśmy się parę ulic dalej, nagle chwyciła mnie za płaszcz i obróciła przodem do siebie.

— Josephie, nie śpijmy jeszcze ze sobą. Pragnę cię tak bardzo, że umieram, nie mogę oddychać. Rozumiesz? To musi się stać, ale zaczekajmy, aż. . . — Pokręciła głową w radosnym oszołomieniu. — Aż doprowadzimy się do obłędu. Dobrze?

Objąłem ją ramionami i, po raz pierwszy, przyciągnąłem do siebie.

— Dobrze, ale kiedy do tego dojdzie, „bum” i wskakujemy do łóżka. Żadnych pytań i każda ze stron ma prawo powiedzieć „bum”. W porządku?

— W porządku.

Ścisnęła mnie niewiarygodnie mocno, aż zaparło mi dech. Patrząc na nią, nigdy byś nie pomyślał, że jest taka silna. To czyniło z „bum” jeszcze bardziej cudowną perspektywę.

* * *

Kiedy zadzwoniła India, byłem w Nowym Jorku prawie dwa miesiące. Porównując moje rosnące uczucie do Karen z tym, co czułem wcześniej do Indii, zorientowałem się

już, że nigdy nie kochałem jej naprawdę. Miałem z tego powodu wyrzuty sumienia, ale Karen, Nowy Jork i emocje nowego życia oddzieliły mnie od wszystkiego, co wydarzyło się w Wiedniu, grubą, aksamitną kurtyną. Będąc sam, zastanawiałem się, co zrobić, jeśli zadzwoni telefon albo przyjdzie list. I naprawdę nie wiedziałem.

Kiedy byłem mały, spalił się dom naszych sąsiadów. Przez cały następny rok drętwiałem ze strachu, ilekroć usłyszałem syrenę straży pożarnej. Wyła w taki sposób, że natychmiast wiedziałeś, gdzie wybuchł pożar: pięć sygnałów — zachodnia część miasta, cztery sygnały — wschodnia. Ale dla mnie nie miało to znaczenia. Gdziekolwiek byłem, biegłem do telefonu i dzwoniłem do rodziców, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Wreszcie, i naprawdę było to niemal rok później, syrena zawyła, gdy grałem po lekcjach w piłkę, i mój wewnętrzny alarm milczał. Uznałem, że się wyleczyłem. Płonął wtedy dom naszych sąsiadów z drugiej strony.

* * *

— Joseph Lennox?

— Tak?

— Dzwoni Wiedeń. Chwileczkę.

Byłem w mieszkaniu sam. Karen poszła na radę pedagogiczną. Padał śnieg. Czeka-
jąc na połączenie, patrzyłem, jak delikatne płatki unoszą się w powietrzu.

— Joey? Tu India. Joey, słyszysz mnie?

— Tak, Indio, słyszę! Jak się masz?

— Nie najlepiej, Joey. Chyba powinieneś wrócić do domu.

* * *

Karen weszła do mieszkania z wielką paczką pod pachą.

— Nie patrz tak na to pudełko, bo to nic dla ciebie. Kupiłam sobie pewien drobiazg
i zaraz ci go pokażę.

Jej widok zawsze mnie cieszył. Żadne z nas nie osiągnęło jeszcze stadium „bum”,
ale od wielu dni balansowaliśmy rozkosznie na krawędzi. Rzuciła płaszcz na kanapę
i pochyliła się, aby pocałować mnie w nos — była to jej ulubiona forma powitania.
Parowało z niej zimno, a policzki miała mokre od stopniałego śniegu. Nie zauważyła,
że coś jest nie w porządku: za bardzo się spieszyła, by rozpocząć swój pokaz.

Spojrzałem za okno. Ciekawe, czy w Wiedniu też pada śnieg. Paul wrócił i tak wystraszył Indię swymi sztuczkami, że rozmawiając z nią przez telefon, odniosłem wrażenie, iż jest na skraju załamania nerwowego. Kiedy tego wieczoru kładła się spać, zapaliły się firanki w sypialni. Płomień zgasł po paru sekundach, ale ten incydent był kroplą, która przepełniła czarę. India przyznała, że odkąd wyjechałem, Paul nękał ją stale. Ukrywała to przede mną, bo wciąż miała nadzieję, że uda jej się z nim porozmawiać, ale teraz była już u kresu wytrzymałości.

— TA-DA!

Karen wmaszerowała do pokoju ubrana tylko w bikini w hawajski wzór i kowbojskie buty, które podziwiałem w sklepie nazajutrz po tym, jak się poznaliśmy.

— Myślałeś, że zapomniałam, co? Ha! No więc, stary traperze, nie zapomniałam. Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Kowbojskich Butów. Jeśli ich zaraz nie ściągnę, zdeformują mi się stopy.

Usiadła obok mnie i zdjęła buty, a potem wzięła jeden do ręki i pogładziła cholewkę.

— Sprzedawca powiedział, że jeśli będziesz je starannie pastował, skóra wytrzyma sto pięćdziesiąt lat.

Spojrzała na mnie z uśmiechem tak pełnym miłości i podniecenia niespodzianką, którą mi zrobiła, że pomyślałem, do diabła, nie mogę zostawić tej kobiety. Obchodzi mnie wyłącznie jej twarz, te kowbojskie buty, ten pokój i ta chwila, nic więcej. Co zresztą mogłem zdziałać w Wiedniu? Jak miałem dokonać czegoś, czego nie udało się dokonać Indii? Dlaczego musiałem jechać? Zamknę te drzwi w moim umyśle i wyrzucę klucz najdalej, jak się da. Basta. Jeśli uda mi się zapobiec ich otwarciu albo, jeszcze lepiej, zupełnie o nich zapomnieć, będę wolny. Czy to takie trudne? Co jest ważniejsze — miłość czy koszmary?

— Nie podobają ci się.

Upuściła but i lekko go pchnęła bosą stopą.

— Nie o to chodzi, Karen.

— Są w złym kolorze. Nie podobają ci się.

— To najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałem.

— Więc co się stało? Dlaczego jesteś taki smutny?

Wstałem z kanapy i podszedłem do okna.

— Miałem dziś telefon z Wiednia.

Nie była w stanie ukryć swoich uczuć; na dźwięk słowa „Wiedeń” złapała oddech tak gwałtownie, że usłyszałem to na drugim końcu pokoju.

— Dobrze. Co powiedziała?

Chciałem wszystko wyznać! Chciałem usiąść przy niej, wziąć te urocze dłonie w swoje i opowiedzieć jej całą historię. A potem chciałem zapytać tę mądrą i wspa-
niałomyślną kobietę, co, na litość boską, mam począć. Ale nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy. Po co ją do tego mieszać? Byłoby to okrutne i niepotrzebne. Czy miałem rację, czy nie, po raz pierwszy w życiu pomyślałem, że miłość oznacza dzielenie się z drugą osobą tym, co dobre, i chronienie jej przed wszelkim złem. Więc zamilczałem o mrocz-
nych wiedeńskich sprawach. Powiedziałem tylko, że India jest w bardzo złym stanie psychicznym i prosi, żebym przyjechał jej pomóc.

— Czy ona mówi prawdę, Josephie? I czy ty mówisz prawdę?

— Tak, Karen, oboje mówimy prawdę.

— Oboje.

Znów podniosła kowbojski but i położyła go ostrożnie na stoliku. Potem zakryła uszy dłońmi, jakby w pokoju nagle zrobiło się za głośno. Reprodukacja *Krzyku* Muncha

wisiała dokładnie za nią i Karen wyglądała w tej chwili jak przerażona osoba na obrazie. Aż przeszły mnie ciarki.

— To jest niesprawiedliwe, Josephie.

Usiadłem na kanapie i objąłem Karen. Nie opierała się. Byłem tak otępiały, że przez chwilę myślałem tylko o tym, jak zimne są jej ramiona. Jak bardzo różni się w tym od Indii, zawsze cieplej.

— Mam ochotę powiedzieć dziesięć paskudnych rzeczy naraz, ale powiem tylko tyle, że jest to niesprawiedliwe.

Długo kołysałem ją w objęciach.

— Chcę ci zaufać, Josephie. Chcę, żebyś mi powiedział, że po prostu jedziesz pomóc tej kobiecie i wrócisz do mnie, jak tylko będziesz mógł. Chcę, żebyś mi to powiedział, i chcę ci uwierzyć.

— Tak właśnie jest. Właśnie to chciałem ci powiedzieć. Opierałem głowę o jej głowę. Odsunęła się i spojrzała mi w oczy.

— Owszem, teraz tak mówisz, ale ja się boję, Josephie. Miles też tak mówił. Powiedział, że potrzebuje odrobiny czasu, żeby wyprostować parę spraw w swoim życiu,

a potem do mnie wróci. Akurat. Jaka byłam naiwna. Nie wrócił! Z „odrobiny” zrobiła się nieskończoność. Jemu też chciałam zaufać. Z a u f a ł a m mu, Josephie, a on nie wrócił! Wiesz, o co mu chodziło wtedy, gdy zadzwonił? Chciał się ze mną prześpać. To wszystko. Był czuły i dowcipny, ale chodziło mu wyłącznie o seks. Pamiętasz, powiedziałam ci, że coś tamtej nocy zrozumiałam. Właśnie to.

Znów zaczęła się kołysać, ale tym razem sztywno i mechanicznie, jak automat.

— Nie jestem Milesem, Karen. Kocham cię.

Znieruchomiała.

— Ja też cię kocham, ale czy mogę ci zaufać? Czasem czuję się taka mała i samotna, jakbym umarła. Tak, tym właśnie jest śmierć: stanem, w którym nie można nikomu ufać. Josephie?

— Słucham?

— Chcę ci zaufać. Chcę uwierzyć w każde twoje słowo, ale się boję. Boję się, że powiesz, że potrzebujesz odrobiny czasu, a potem. . . Cholera, to jest nie do zniesienia!

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

— Widzisz? Widzisz? Jestem taka przerażona, że zaczęłam kłamać! Po tamtej nocy, kiedy już sobie uświadomiłam, o co tak naprawdę Milesowi chodzi, on znów zadzwonił. Nie wiedziałeś o tym, prawda?

Ścisnęło mi się serce, ale siedziałem cicho i czekałem, co powie dalej. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili. Cały czas krążyła po pokoju i patrząc na te drobne, bose stopy drepczące po podłodze w środku zimowej nocy, czułem się jeszcze gorzej.

— Zadzwonił do mnie parę dni temu. Nigdy nie umiałam zdobyć się na to, żeby posłać faceta do diabła, ale w jego przypadku, po tamtej nocy, chciałam to zrobić. To znaczy, chciałam w dziewięćdziesięciu procentach, ale pozostałe dziesięć procent mówiło: „Uważaj, skarbie, nie pal za sobą mostów”. I wiesz, co się stało, gdy zadzwonił? Mówię szczerą prawdę, Josephie, jak Boga kocham. Zadzwonił i zaprosił mnie na łyżwy do Rockefeller Chapter. Wie, że to uwielbiam. Ma dobrą pamięć, drań jeden, i zawsze umiał mnie podejść. A po łyżwach gorąca czekolada? I wiesz, co mu powiedziałam, Josephie? Ja, która miałam nie palić mostów? „Przykro mi, Miles, Karen jest teraz zakochana i nie może podejść do telefonu!” A potem odłożyłam słuchawkę. Ja! Sprawilo mi to taką przyjemność, że podniosłam ją i odłożyłam jeszcze raz.

Na wspomnienie tej chwili wzięła się z satysfakcją pod boki i wybuchnęła śmiechem.

— Mówiłaś, że tamtej nocy zwyczajnie cię wykorzystał. I mimo to chciałaś się z nim spotkać?

— Nie chciałam! Miałam ciebie. Ale co będzie teraz, Josephie? Ty wyjedziesz, a on może znów zadzwonić. Pewnie zadzwoni, ma ego wielkie jak ten pokój. I co ja wtedy zrobię?

— Jeśli znów zadzwoni, spotkasz się z nim.

Nie chciałem tego powiedzieć, ale musiałem. Musiałem.

— Nie mówisz poważnie.

— Mówię poważnie, Karen. Z przykrością, ale poważnie.

— Więc byłoby ci przykro?

Zmrużyła oczy i nie mogłem niczego z nich wyczytać, ale jej głos był zimny jak lód.

— Jeśli chcesz znać najprawdziwszą prawdę, kochanie, pękłoby mi serce. Ale będziesz musiała się z nim spotkać. I nie okłamuj mnie, Karen. Jakaś cząstka ciebie chce tego.

Milczała przez chwilę. Doceniłem to, że naprawdę zastanowiła się nad odpowiedzią.

— Tak i nie, Josephie, ale chyba rzeczywiście muszę to zrobić. Ty musisz pojechać do Wiednia, a ja muszę znów spotkać się Milesem.

— Jezu Chryste.

— Josephie, proszę, powiedz mi prawdę.

— Prawdę? Jaką prawdę, Karen?

— O niej. O Indii.

— Prawda jest taka, że szlag mnie trafia, że będziesz się z nim spotykać. Szlag mnie trafia, że muszę jechać do Wiednia. Z różnych powodów naprawdę się boję, co może się tam wydarzyć. Boję się też, co może się wydarzyć tutaj między tobą i nim. Powiedzmy, że boję się w tej chwili wielu rzeczy.

— Ja też, Josephie.

Rozdział 3

Na drogę włożyłem moje kowbojskie buty. Czuję się w nich dziwnie, bo rzucało mną w tył i w przód jak podczas przejażdżki kolejką górską, ale prędzej bym skonał, niż je zdjął. Spakowałem torbę w przeddzień wyjazdu; była pełniejsza niż kiedy przyjechałem. Moje życie było pełniejsze. Ale w Wiedniu czekała zrozpaczona India i jakaś część mnie — nowa i, miałem nadzieję, lepsza — mówiła mi, że chociaż znalazłem niemal-szczęście, mam obowiązek wrócić i zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby jej pomóc, nieważne, jak bezcelowe mi się to wydaje, czy jak bardzo pragnę zostać z Karen w Nowym Jorku. Nawet patrząc tamtego wieczoru na Karen, taką małą i pokonaną,

wiedziałem, że tym razem muszę zrezygnować z moich pragnień. Mimo bólu, jaki odczuwałem, wyjazd z Ameryki mógł się okazać jedyną rzeczą zdolną poprawić moje mniemanie o samym sobie. Karen miała rację — było to niesprawiedliwe, ale konieczne.

Nasze rozstanie było przykre i smutne. Z rozpaczy omal nie wylądowaliśmy w łóżku pierwszy i ostatni raz. Całe szczęście, że udało nam się opanować, bo to jeszcze bardziej by wszystko skomplikowało.

* * *

Ludzie wyobrażają sobie Austrię jako zaśnieżoną Krainę Czarów; i mają rację, ale nie dotyczy to Wiednia, który rzadko jest w zimie biały. Niemniej w dniu mojego przylotu zerwała się taka zamieć, że skierowano nas do Linzu i resztę drogi musiałem odbyć pociągiem. W Linzu też prószył śnieg, ale suchy i drobny; płatki opadały na ziemię lekko i niespiesznie. Natomiast w Wiedniu szalała zawierucha.

Światła sygnalizacji ulicznej tańczyły na kablach. Pod dworcem kolejowym stał długi rząd przysypanych śniegiem taksówek z łańcuchami na oponach. Mój kierowca był

okropnie przejęty i przez całą drogę opowiadał, że jakiś nieszczęśnik zamarł na śmierć we własnym domu, że pod ciężarem śniegu zawalił się dach w kinie... Przypominało mi to listy mojego ojca.

Spodziewałem się, że zastanę mieszkanie zimne i martwe, toteż aromatyczna woń piezzonego kurczaka i ciepło kaloryferów kompletnie mnie zaskoczyły.

— Witaj, powracający bohaterze!

India wyglądała tak, jakby spędziła miesiąc na Mauritiusie.

— Jakaś ty opalona!

— Odkryłam istnienie solariów. Podobam ci się? Postawisz te torby czy czekasz na napiwek?

Postawiłem torby, a India podeszła i chwyciła mnie w objęcia. Odwzajemniłem jej mocny uścisk, ale odwrotnie niż podczas powitania z ojcem, odsunąłem się pierwszy.

— Niech ci się przyjrzę. Napadli cię w Nowym Jorku? Powiedz coś! Nie słyszałam twojego głosu dwa miesiące.

— Indio...

— Tak się bałam, że ten śnieg cię zatrzyma. Dzwoniłam na lotnisko tyle razy, że w końcu przydzielili mi osobistą telefonistkę. Powiedz coś, Joe. Czy miałeś milion przygód? Chcę o nich natychmiast usłyszeć.

Terkotała jak karabin maszynowy. Każde zdanie wylatywało z jej ust tak pospiesznie, jakby się bała, że nie zdąży przed następnym. Ledwo łapała między nimi oddech.

— Postanowiłam tu przyjść i coś upichcić. . .

— Indio?

— . . . bo wiedziałam, że. . . Co, Joey? Czyżby Wielki Milczący chciał coś powiedzieć?

Położyłem dłonie na jej ramionach i mocno ją ścisnąłem.

— Indio, wróciłem. Jestem tutaj. Spokojnie, dziewczyno.

— Co znaczy „spokojnie”?

Umilkła z na wpół otwartymi ustami i zadrżała, jakby przeszyło ją zimno z dworu. Pędzelek do smarowania drobiu wypadł jej z ręki.

— Och, Joe, tak się bałam, że nie wrócisz.

— Jestem tu.

— Tak, naprawdę jesteś. *Cześć, pulcino.*

— Cześć, Indio.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, a potem India opuściła głowę i potrząsnęła nią gwałtownie. Ścisnąłem jej ramiona jeszcze mocniej.

— Jestem w domu, Indio.

Powiedziałem to tonem, jakim mówi się „dobranoc” dziecku, otulając je kołdrą przed snem.

— Dobry z ciebie chłopak, Joey. Nie musiałeś wracać.

— Nie mówmy już o tym. Jestem tu.

— W porządku. Co powiesz na kurczaka?

— Jestem gotów.

Posiłek minął bardzo przyjemnie; pod koniec byliśmy oboje w dużo lepszym humorze. Opowiedziałem Indii o Nowym Jorku, ale na razie nie wspominałem o Karen.

— Chcę zobaczyć, jak wyglądasz. Wstań.

Obejrzała mnie uważnie, jakbym był używanym samochodem, który zamierza kupić.

— Nadal jesteś chudy jak patyk, ale twarz masz wypoczętą. Nowy Jork ci posłużył, co? A ja jak wyglądam? Jak opalona Judith Anderson⁸, prawda?

Usiadłem i wziąłem do ręki kieliszek z winem.

— Wyglądasz. . . Nie wiem, Indio. Wyglądasz tak, jak się spodziewałem.

— To znaczy?

— Na zmęczoną. I przerażoną.

— Źle, co?

— Nie najlepiej.

— Myślałam, że opalenizna to ukryje.

Odsunęła się od stołu i położyła sobie na głowie serwetkę, w taki sposób, że całkiem zasłoniła jej oczy.

— Indio?

— Nie przeszkadzaj mi. Płaczę.

— Indio, chcesz mi opowiedzieć, co się tu działo, czy wolisz trochę poczekać?

⁸Judith Anderson (1898–1992) — aktorka pochodzenia australijskiego, specjalizująca się w rolach twardych, dominujących kobiet.

Zdjąłem jej serwetkę z głowy i zobaczyłem, że ma w oczach łzy.

— Dlaczego zmusiłam cię do powrotu? Co to pomoże? Nie udało mi się dotrzeć do Paula. Nie udało mi się z nim porozmawiać. Przychodził i przychodził, i za każdym razem zdobywałam się nawet na odwagę, żeby powiedzieć: „Zaczekaj, Paul. Wysłuchaj mnie!” Ale to było takie głupie! Takie cholernie głupie!

Wzięłam ją za rękę. Ścisnęła moją dłoń jak w imadle.

— To jedno wielkie gówno, Joe. On nie odejdzie. Za dobrze się, kurwa, b a w i. Co mam zrobić, Joey? Co ja mam zrobić?

Odezwałem się najłagodniej jak potrafiłem.

— Co zrobiłaś do tej pory?

— Wszystko. Nic. Byłam u chiromanty. U medium. Czytałam książki. Modliłam się. — Machnęła pogardliwie ręką. — India Tate, pogromca duchów.

— Nie wiem, co ci powiedzieć.

— Powiedz: „Indio, wróciłem i mam milion odpowiedzi na każde twoje pytanie”. Powiedz: „Przepędzę duchy i znów ogrzeję twoje łóżko, a ty po prostu mnie pytaj, bo jestem twoją Wyrocznią”.

Popatrzyła na mnie smutno, wiedząc, jak jej odpowiem.

— Odległość Ziemi od Słońca wynosi dziewięćdziesiąt trzy miliony mil. Stanowisko miotacza jest dziewięćdziesiąt stóp od bazy domowej. Reżyserem *Trzeciego człowieka* był Carol Reed. Jak ci się podobają te odpowiedzi?

Wzięła widelec i dziobnęła nim wierzch mojej dłoni.

— Jesteś kretynem, Joe, ale miłym kretynem. Zrobisz coś dla mnie?

Nie mam dobrej intuicji, ale tym razem domyśliłem się, co powie.

— Możemy iść do łóżka?

Jakby wiedziała, że się zawaham, nie czekała na odpowiedź. Wstała od stołu i nie patrząc na mnie, ruszyła w kierunku sypialni.

— Zostaw tu światło. Nie lubię teraz ciemnych mieszkań.

To ostatnie zdanie mocno mnie ukłuło. Nadal nie wiedząc, co zrobię, poszedłem za nią.

W samolocie postanowiłem, że nie będę spał z Indią. Taka prywatna obietnica dochowania wierności Karen, choćby nawet wydawało się to szczeniackie. Mówiłem sobie, że jeśli jej dotrzymam, Karen to wyczuje w ów właściwy kobietom głęboki i tajem-

niczy sposób i będzie spokojniejsza, gdy znów się spotkamy. Nie wiedziałem, kiedy to nastąpi, ale byłem pewien, że do niej wrócę.

Znajomy blask znajomej lampy w znajomym pokoju. India wyjmowała z włosów dwa małe brązowe grzebyki, odpiąwszy wcześniej mosiężny guzik dzinsów. Widziałem biały brzeg jej majtek. Stałem w drzwiach i starałem się na nią nie patrzeć, nie reagować na niedbałą zmysłowość jej gestów. Znieruchomiała na chwilę z rękami zgiętymi ponad głową i spojrzała na mnie wzrokiem pełnym pożądania i nadziei. Wyglądała w tym momencie jak szesnastolatka, która chłonie cały świat. Jak mogła! Nie miała prawa pokazywać mi się od tej strony, gdy chciałem tylko jej pomóc, a nie kochać ją. Poczułem ucisk w gardle. Przeraziła mnie ta rozrzutność mojego serca.

— Wyglądasz, jakbyś połknął małża. Dobrze się czujesz?

— Tak, ale muszę iść do łazienki.

— Aha.

Wróciła do rozbierania, nie poświęcając mi już więcej uwagi. Byłem jej za to wdzięczny, bo potrzebowałem czasu, aby wyzwolić się spod czaru, który na mnie rzucała.

Ledwo zdążyłem włączyć światło w toalecie, usłyszałem jej krzyk.

Stała przy łóżku w samych majtkach. Najpierw zauważyłem, że jej piersi wyglądają staro, dopiero potem to, na co patrzyła.

Odsunęła już kołdrę i na prześcieradle leżały w równym rzędku rozkładówki z „Playboya”. Łona kobiet wycięto i na ich miejsce wklejono twarze: staruszków, dzieci, psów... Wszystkie uśmiechały się radośnie. Na każdym zdjęciu wypisano wielkimi, niezgrabnymi literami: WITAJ W DOMU, JOE! TO MIŁO, ŻE DO NAS WRÓCIŁEŚ!

Rozdział 4

Wiedeńczycy, choć przywykli do śniegu w górach, byli wyraźnie skonsternowani jego wizytą w mieście, i to w takiej obfitości. Ulice objęły w posiadanie dzieci i nieliczne, jeżdżące powoli samochody. Zobaczyłem przez okno, jak jakiś mężczyzna z psem pośliznęli się jednocześnie i upadli. Pługi śnieżne daremnie próbowały oczyścić jezdnie.

India została u mnie na noc, ale tylko ją tuliłem i uspokajałem. Na jej prośbę pozbiierałem zdjęcia z łóżka, spaliłem każde oddzielnie w umywalce na szarofioletowy wiórek i spłukałem do kanalizacji.

Nazajutrz blade słońce wyjrzało na parę godzin, ale koło południa niebo się zachmurzyło i kiedy wyszliśmy z domu, znów padał gęsty śnieg.

— Chcę się przejść. Możemy się trochę przejść?

Trzymała mnie mocno za ramię i patrzyła pod nogi. Przy każdym kroku jej wysokie kalosze zapadały się po łydki w bieli.

— Jasne, ale lepiej idźmy jezdnią.

— Dziś czuję się o wiele lepiej. Nie wiem, może dlatego, że wyszliśmy na dwór.

Spojrzała na mnie; jej oczy, silące się na wyraz zadowolenia i beztroski, prosiły, bym się z nią zgodził. Biel otoczenia istotnie wyciszyła nieco przeżycia minionej nocy, lecz nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że cokolwiek robimy i dokądkolwiek idziemy, jesteśmy obserwowani.

India podniosła garść śniegu i spróbowała ulepić z niego kulę, ale był zbyt świeży i sypki.

— Stary śnieg jest do tego najlepszy.

Staliśmy na środku ulicy i rozglądałem się nerwowo, czy nie jedzie jakiś samochód.

— Indio, idziemy na ten spacer czy nie?

— Udaję, że bawi mnie lepienie kul, żeby cię nie spytać, dlaczego się ze mną wczoraj nie kochałeś.

— Wczoraj? Zwariowałaś?

— Chciałam tego.

— Po tym wszystkim?

— Właśnie z powodu tego wszystkiego, Joey.

— Ależ, Indio, on... on mógł być w pokoju.

— Szkoda. Pragnęłam cię.

— Chodź. Idziemy na spacer.

Otrzepała ręce ze śniegu i spojrzała na mnie.

— Wiesz co? Obejmowałaś mnie tak, jakbym umierała na dżumę.

— Przestań!

Moje zakłopotanie przerodziło się w gniew. Gniew, jaki odczuwamy, gdy wiemy, że zawiniliśmy, ale nie chcemy tego przyznać.

— Powiedziałaś, że mógł być w pokoju. Ale wiesz co, Joe? On jest w tym pokoju od miesięcy. Wiesz, jakie to uczucie, mieć go tam miesiącami? Zapewniam cię, że parszy-

we. Boże, chciałam, żebyś wrócił. Wróciłeś, więc co z tego, że on tam jest? Miesiące, Joe. Pomieszkaj z nim jak ja przez parę miesięcy i dopiero wtedy spytaj, dlaczego cię wczoraj pragnęłam. On jest teraz wszędzie, nie można się przed nim ukryć. Więc weź mnie i niech nas widzi. Nie dbam o to.

Co miałem zrobić? Wszystko wyjaśnić, wyznać, że kocham inną, żeby przynajmniej wiedziała, na czym stoi? Można zawieść drugiego człowieka na wiele różnych sposobów. Czy miałem powiedzieć prawdę, wymierzając jej w ten sposób następny cios po tych wszystkich, które już na nią spadły? Czy też milczeć i spotęgować jej dezorientację, jej uzasadniony lęk, że sama musi prowadzić tę wojnę ze swym zmarłym mężem? Stojąc tam, bezradny, czułem ciężar jej potrzeb i prawie jej za nie nienawidziłem.

Serce waliło mi jak młotem. Ubrałem się za grubo i teraz było mi gorąco i niewygodnie. Gdybym mógł wyrazić trzy życzenia, połączyłbym je w jedno i powiedział, że chcę siedzieć z Karen w Chock Fuli o’Nuts w Nowym Jorku, pić kawę i jeść pączki. Oto, co zawładnęło moimi myślami — wizja kawy i pączków z Karen.

Na rok przed śmiercią Ross miał dziewczynę, niejaką Mary Poe. Była twardą sztuką, wypalała dwie paczki papierosów dziennie i miała najdłuższe paznokcie, jakie w życiu

widziałem. Przez jakiś czas chodziła z Bobbym, ale coś im nie wyszło i odziedziczył ją Ross. Między jednym papierosem a drugim dużo się śmiała i wisiła na Rossie jak anielski włos na choince. Niemniej po paru miesiącach Ross się nią znudził i chciał zakończyć ten związek. Była to jedna z nielicznych sytuacji, kiedy widziałem mojego brata kompletnie zbitego z tropu, ponieważ cokolwiek by robił, Mary nie chciała się od niego odczepić. Przestał do niej dzwonić, unikał jej w szkole i zaczął się umawiać z jej najlepszą przyjaciółką. Na Mary to nie działało. Im okrutniej ją traktował, tym bardziej się za nim uganiała. Wydziergała mu na drutach dwa swetry i parę rękawiczek (które demonstracyjnie spalił pewnego dnia w szkole na jej oczach), dzwoniła co wieczór i przysyłała mu listy tak obficie skropione wodą kolońską „Canoe”, że nasza skrzynka pocztowa zaczęła pachnieć jak chusteczka dziwki. W chwili desperacji Ross bez większego przekonania zagroził, że ją zabije, na co Mary wzruszyła ramionami i powiedziała, że bez niego i tak jest martwa. Na szczęście znalazła sobie w końcu kogoś innego, a Ross przysiągł, że już nigdy nie będzie się zadawał z dziewczynami.

Opowiadam tę historię, ponieważ pamiętam wyraz, jaki malował się na twarzy Rossa, ilekroć w tym okresie dzwonił wieczorem telefon. Było to przerażenie człowieka

schwytanego w pułapkę. Brnąc z Indią tego ranka przez cichą, opustoszałą ulicę, miałem podobną świadomość sytuacji bez wyjścia, tylko sto razy gorszą ze względu na obecność Paula.

— Wejdźmy tu na kawę, Joe. Nie czuję palców u nóg.

Z powodu śnieżycy kawiarnia była prawie pusta. W kącie siedział przy kieliszku wina jakiś staruszek o zmęczonym wyglądzie, a u jego stóp, pod stolikiem, spał pies rasy chow-chow.

Złożyliśmy zamówienie i kelner, zadowolony, że ma coś do roboty, pospieszył za kontuar.

Panowała nieprzyjemna cisza. Tak rozpaczliwie pragnąłem usłyszeć jakikolwiek dźwięk, że miałem już opowiedzieć Indii głupi dowcip, gdy otworzyły się drzwi i do kawiarni wszedł wielki grubas z jamnikiem. Chow-chow rzucił na nich okiem i z głośnym szczekaniem zerwał się z podłogi. Jamnik pomaszerował prosto do niego i ugryzł go w nogę. India wstrzymała oddech, ale duży pies był zachwycony. Odskoczył do tyłu i zaczął kręcić się w kółko, cały czas szczekając. Jamnik zrobił dwa kroki do przodu.

du i znów go ugryzł. Obaj właściciele przyglądali się temu wszystkiemu z radosnymi uśmiechami.

India skrzyżowała ramiona i potrząsnęła głową.

— Co to jest, zoo?

— Właśnie zauważyłem, że jamnik to dziewczynka.

Roześmiała się.

— Oto odpowiedź. Może jeśli ugryzę Paula, wreszcie odejdzie.

— Albo chociaż cię obszczeka.

— Właśnie. — Założyła ręce za głowę i spojrzała na mnie z uśmiechem. — Joe, zachowuję się naprawdę głupio. Przepraszam. Ale może jest to dla ciebie komplement.

— Jak to?

— Może tak bardzo w ciebie wierzyłam, że myślałam, że wystarczy, abyś wrócił, i wszystko znów będzie dobrze. Tak jak powiedziałam wczoraj. Czy kiedykolwiek myślałeś o kimś w ten sposób? Że potrafi wszystko naprawić, jak tylko się do tego zabierze? Tak, o to właśnie chodziło. Miałam nadzieję, że twój powrót natychmiast wypłoszy te strachy.

— Stracha.

— Tak, liczba pojedyncza. Po jednym na raz, co? Chodźmy stąd. Zaczyna mi się wydawać, że jesteśmy na planie ekranizacji *Białego Kłosa*.

Reszta dnia upłynęła nam przyjemnie. Spacerowaliśmy po mieście, rozkoszując się uczuciem, że należy wyłącznie do nas i do śniegu. Chodziliśmy po sklepach w I dzielnicy i India kupiła mi u Fiorucciego wariacki T-shirt.

— Kiedy mam go nosić?

— Nie kiedy, Joe, tylko gdzie. To najbrzydszy podkoszulek, jaki widziałam od czasu tego hawajskiego ohydztwa Paula.

Powiedziała to tak, jakby Paul stał tuż obok, i naraz przypomniały mi się wszystkie miłe chwile, które przeżyliśmy razem jesienią.

Z godziny na godzinę coraz częściej wspominaliśmy o Paulu z miłością i tęsknotą. India nie chciała mówić o tym, co jej zrobił w trakcie mojego pobytu w Nowym Jorku, ale czasy, gdy Paul żył, były świeże i bliskie w jej pamięci. Ja również z przyjemnością wracałem myślami do dni naszego wspólnego szczęścia.

Śnieg utrzymał się jeszcze przez parę dni, a potem nastał jeden z tych dziwacznych, niesamowicie ciepłych i słonecznych okresów, i większość śladów zimy zniknęła. Należę zapewne do nielicznych osób, które nie lubią takiej pogody. Jest ona fałszywa: chodząc po dworze, popatrujesz nieufnie na niebo, pewien, że w każdej chwili może się rozpętać śnieżne piekło. Ale ludzie zaczęli nosić lekkie płaszcze i przesiadywać na wciąż jeszcze mokrych parkowych ławkach, wystawiając twarze do słońca. Dorożki wypełniły się uśmiechniętymi turystami, którzy po powrocie do domu mieli opowiadać z zachwytem o cudownej wiedeńskiej zimie.

W tej pogodzie dobre było jedynie to, że India poweselała i odżyła. Choć z każdym dniem coraz bardziej tęskniłem za Karen, przebywając znów z Indią, przypominałem sobie, dlaczego od początku tak bardzo mnie pociągała. Gdy była w formie, wygłaszała tak mądre i ciekawe poglądy, że chciałeś znać jej opinię na każdy temat. Czy chodziło o obraz Schielego, czy o różnicę między austriackimi i amerykańskimi papierosami, słuchając jej, otwierałeś szeroko usta i nienawidziłeś się za to, że nie starczyło ci inteligencji czy wyobraźni, aby samemu wymyślić coś takiego. Często się więc zastanawia-

łem, jaki obrót przybrałby nasz związek, gdybym nie poznał Karen. Ale ją poznałem i w moim sercu nie było już miejsca dla nikogo innego.

Myślałem o Karen bezustannie i pewnego sobotniego wieczoru zebrałem się na odwagę, aby do niej zadzwonić. Słuchając sygnału, wędrowałem w wyobraźni po jej mieszkaniu, zatrzymując moją kamerę tu i ówdzie, aby zrobić zbliżenie rzeczy, które lubiłem i za którymi szczególnie tęskniłem. Nie było jej w domu. Gorączkowo obliczyłem różnicę czasu i trochę mi ulżyło, gdy uświadomiłem sobie, że się pomyliłem — w Nowym Jorku była dopiero pierwsza po popołudniu. Spróbowałem jeszcze raz, nieco później, lecz nadal jej nie było. Aż jęknąłem, ogarnięty wątpliwościami i zazdrością; wiedziałem, że jeśli nie zastanę jej za trzecim razem, pęknie mi serce. Zadzwoniłem więc do Indii i spytałem smutnym głosem, czy chce iść do kina.

W kinie odkryliśmy, że do filmu zostało piętnaście minut. Zaproponowałem spacer dla zabicia czasu, ale kiedy ruszyłem z miejsca, India przytrzymała mnie za ramię.

— Co się stało?

— Nie chcę iść do kina.

— Dlaczego?

— Nieważne dlaczego. Po prostu nie chcę i już. Zmieniłam zdanie.

— Indio...

— To kino przypomina mi Paula! Przypomina mi wieczór, kiedy się tu poznaliśmy. Przypomina mi...

Odwróciła się na pięcie i odeszła. Po kilku krokach się potknęła, ale zaraz pomaszewowała naprzód.

— Indio, zaczekaj! Co robisz?

Szła dalej. Ruszając za nią, kątem oka dostrzegłem reklamę wycieczki do Nowego Jorku ustawioną w oknie biura podróży.

— Indio, na litość boską, zatrzymasz się wreszcie?

Stała jak wryta i omal na nią nie wpadłem. Kiedy się odwróciła, na jej twarzy lśniły łzy, odbijające białe światło wystawy sklepowej. Pomyślałem, że nie chcę wiedzieć, dlaczego płacze. Nie chciałem wiedzieć, co znów zrobiłem źle, w jaki sposób znów ją zawiodłem.

— Nie widzisz, że on jest wszędzie w tym mieście? Gdzie się odwrócę, gdzie spojrzę... Nawet ty mi go przypominasz.

Ruszyła dalej, a ja podążyłem za nią jak ochroniarz. Minęła kilka przecznic i weszła do niewielkiego parku. Był słabo oświetlony i pusty; pośrodku stał jakiś posąg z brązu. India zatrzymała się, więc ja też przystanąłem, parę kroków za nią. Przez chwilę żadne z nas się nie poruszyło. Aż nagle zobaczyłem tego psa.

Był to biały bokser. Pamiętałem, jak ktoś mi kiedyś mówił, że hodowcy często zabijają białe boksery zaraz po urodzeniu, gdyż uważają je za dziwolągi, wybryki natury. Ja nawet dość je lubiłem: te zabawne, choć groźne pyski podobały mi się, gdy miały kolor obłoków.

Pies pojawił się nie wiadomo skąd i lśnił w ciemnościach jak ruchomy kopiec śniegu. Był sam i nie miał obroży ani kagańca. India nawet nie drgnęła. Patrzyłem, jak pies idzie, węsząc, w naszą stronę. W odległości jakiegoś metra zatrzymał się i spojrzał prosto na nas.

— Matty! — Odetchnęła gwałtownie i chwyciła mnie za ramię. — To Matty!

— Kto? O czym ty mówisz?

Jej ton mnie przeraził, ale musiałem wiedzieć, o co chodzi.

— To Matty. Matterhorn! Pies Paula z Londynu. Oddaliśmy go przed wyjazdem do Wiednia. Musieliśmy to zrobić, bo... Matty! Matty, chodź tu!

Pies zaczął krążyć wokół nas: przebiegł między krzakami, po ścieżce, przez klomb. Załatwiał swoje psie sprawy, poruszając się szybko i jaśniejąc w mroku. Był olbrzymi. Musiał ważyć ponad czterdzieści kilo.

— Matty! Chodź tutaj!

India przykucnęła. Pies ruszył ku niej w podskokach, piszcząc jak szczeniak.

— Indio, uważaj. Nie wiesz...

— Co z tego? Zamknij się.

Spiorunowała mnie wściekłym wzrokiem. Pies usłyszał zmianę w jej tonie i stanął jak wryty, pół metra od nas. Spojrzał na Indię, a potem na mnie.

— Matty!

Opuścił łeb i warknął.

— Odejdź, Joe, on się ciebie boi.

Pies warknął ponownie, ale tym razem dźwięk był dłuższy i bardziej gardłowy, dzikszy i groźniejszy. Obnażył też zęby i zaczął machać kikutem ogona o wiele za szybko.

— Boże. Joe?

— Cofnij się.

— Joe. . .

Przemówiłem cichym, monotonnym głosem:

— Jeśli poruszysz się zbyt szybko, skoczy na ciebie. Cofaj się powoli. Nie tak, wolniej.

Wciąż była przykucnięta, co bardzo utrudniało jej ruch do tyłu. Rozejrzałem się za jakąś gałęzią czy kamieniem, którymi mógłbym rzucić w psa, ale w pobliżu nic takiego nie leżało. Gdyby zaatakował, miałbym tylko ręce i nogi: broń głupią i bezużyteczną w walce z ogromnym bokserem.

Indii udało się cofnąć jakieś pół metra. Przerażony jak nigdy w życiu, powoli wśliznąłem się między nią a psa, który warczał już bez przerwy. Przyszło mi do głowy, że może być wściekły. Nie wiedziałem, co robić. Jak długo będzie tak stał? Jak długo będzie czekał? Czego chce? Warczenie przeszło w urywane szczeknięcia, brzmiące tak, jakby coś zwierzaka bolało. Kręcąc łbem, otworzył szerzej ślepie, a potem je zmrużył. Jeśli jest wściekły i mnie ugryzie. . .

Uświadomiłem sobie, że mruczę pod nosem: „Jezu Chryste, Jezu Chryste. . .” Stałem z dłońmi rozpląszczonymi na udach, nie śmiąc się poruszyć. Ze strachu czułem w ustach jakiś gorzki, ohydny smak.

Ktoś zagwizdał i pies kłapnął kilkakrotnie pyskiem w moją stronę z obłąkańczą szybkością, ale nie ruszył się z miejsca. Gwizd zabrzmiał drugi raz.

— Brawo, Joey! Zdałeś test Matty’ego! Indio, Joe zdał!

Na skraju parku stał Paul. Był w cylindrze Brzdąca, białych rękawiczkach i najpiękniejszym czarnym płaszczu, jaki kiedykolwiek widziałem.

Pies podbiegł do niego i skoczył ku ręce, którą Paul unióś nad głowę. Potem obaj zniknęli w mroku.

Rozdział 5

— Joseph?

— Karen!

— Cześć, kochanie. Możesz rozmawiać?

— Jasne, tylko usiądę.

Karen. Dzwoni Karen. Anioł, który sprawi, że wszystko znów będzie dobrze.

— Już. Mów. Mów, co słyhać. Nie mogłem się do ciebie dodzwonić.

— Hej, Josephie, dobrze się czujesz? Masz taki głos, jakby wyrwali ci wszystkie zęby.

— To wina połączenia. Jak t y się czujesz?

— Ja? Dobrze.

— Co znaczy „dobrze”? Teraz ty masz taki głos, jakby wyrwali ci zęby.

Roześmiała się; mógłbym słuchać jej śmiechu bez końca.

— Nie, Josephie, czuję się świetnie. A co u ciebie? Co się dzieje z twoją panną Indią?

— Nic. Nic się nie dzieje. India ma się dobrze.

— A ty?

Och, jakże chciałem jej powiedzieć. Jakże chciałem mieć ją teraz przy sobie. Jakże chciałem, żeby było już po wszystkim.

— Karen, kocham cię. Nie kocham Indii, kocham ciebie. Chcę wrócić. Pragnę cię.

— Hmm.

Wiedziałem, że za chwilę powie coś okropnego. Zamknąłem oczy.

— Co z Milesem, Karen?

— Chcesz znać prawdę?

— Tak.

Serce waliło mi jak skazańcowi stojącemu pod szubienicą.

— Mieszkam u niego. Oświadczył mi się.

— O Boże.

— Wiem.

— I?

Nie mów tego. Na litość boską, nie mów, że go przyjęłaś.

— Powiedziałaś, że chcę porozmawiać z tobą.

— Wie o mnie?

— Tak.

— Chcesz za niego wyjść?

— Chcesz znać prawdę?

— Tak, do cholery, chcę znać prawdę! Natychmiast pożałowałem tego wybuchu, bo jej ton ochłódł.

— Chwilami myślę, że tak, Josephie. Chwilami tak. A co z tobą?

Poprawiając się na siedzeniu, wyrznąłem golenią w nogę krzesła i omal nie zemdlałem. Najlepsza rzecz w moim życiu rozsypywała się w proch, a ja, zamroczony bólem, nie mogłem znaleźć jasnych i właściwych słów.

— Karen, czy możesz poczekać z odpowiedzią? Czy możesz jeszcze trochę poczekać?

Cisza w słuchawce zdawała się trwać sto lat.

— Nie wiem, Josephie.

— Kochasz mnie, Karen?

— Tak, Josephie, ale może bardziej kocham Milesa. Przysięgam na Boga, nie próbuję się asekurować. Naprawdę tego nie wiem.

* * *

Siedziałem w moim pokoju i paliłem papierosy. Grało radio i uśmiechnąłem się gorzko, usłyszawszy piosenkę Indii z naszej wycieczki w góry, *Słońce zza chmur*. Kiedy to było? I kiedy trzymałem Karen w ramionach, przysięgając sobie, że nigdy nie wrócę

do Wiednia? Wszystko zostało w Nowym Jorku. Wszystko. Czy naprawdę miałem to teraz utracić?

Po raz kolejny stanął mi przed oczyma biały bokser, a potem usłyszałem w głowie krzyk Indii. Wiedziałem, że powinienem być dumny z tego, że ją obroniłem, ale czułem się tylko jeszcze bardziej bezradny. Czy można pokonać zmarłego? Czy można mu kazać walczyć uczciwie, bez sztuczek i podstępów? Czy jest sens podnosić pięści, jeśli przeciwnik ma ich sto, i jeszcze sto, na wypadek, gdyby pierwsza setka się zmęczyła? Zadałem sobie pytanie, czy nienawidzę Indii, ale wiedziałem, że nie. Nie czułem nawet nienawiści do Paula. Nie sposób nienawidzić szaleńca — jak nie sposób być złym na nieożywiony przedmiot, o który uderzyłeś się łokciem.

Usłyszałem, jak w kuchni włącza się lodówka. Na ulicy zatrąbił klakson. W budynku jakieś dzieci wrzeszczały, śmiały się i trzaskały drzwiami. Zrozumiałem, że nadszedł czas, aby porozmawiać z Indią. Zostanę i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by jej pomóc, ale musi wiedzieć, że jeśli Paul da jej spokój, natychmiast wyjadę. Zdawałem sobie sprawę, że ją zaskoczę i zranię, ale czułem się bardziej zobowiązany wobec Karen — której nie miałem prawa prosić, aby na mnie czekała, oszukując jednocześnie Indię.

Zanim się rozłączyliśmy, Karen zapytała, czy jestem w Wiedniu dlatego, że India jest moją przyjaciółką, czy dlatego, że jest moją kochanką. Odpowiadając, że przyjaciółką, wiedziałem, że muszę zacząć postępować uczciwie, wobec ich obu.

Poprosiłem Indię, żeby spotkała się ze mną u Landtmanna. Przyszła w zielonym jak mech lodenowym płaszczu, który sięgał jej do kostek, i czarnych wełnianych rękawiczkach. Jaka atrakcyjna kobieta. Jaki cholerny galimatias.

— Jesteś pewna, że nie przeszkadza ci to miejsce?

— Ani trochę, Joe. Nie licząc Aidy, mają tu najlepsze ciastka w mieście, a po tej ostatniej przygodzie jestem ci winna co najmniej dwie obrzydliwie wielkie sztuki. Pamiętasz wieczór, gdy się poznaliśmy? Jak siedzieliśmy tu na dworze, a ja narzekałam na upał?

Staliśmy tyłem do drzwi kawiarni. Drzewa były nagie; z trudem wyobrażałem je sobie w zieleni. Jak to się dzieje, że przyroda tak całkowicie zrzuca skórę i tak dokładnie ją odtwarza zaledwie kilka miesięcy później?

— O czym myślisz, Joey?

— O drzewach w zimie.

— Bardzo poetyczne. Ja myślałam o tym pierwszym wieczorze. Wiesz co? Uznałam wtedy, że brak ci wyrobienia.

— Dzięki.

— Przystojny, ale niewyrobiony.

— Pomyślałaś tak z jakiegoś konkretnego powodu?

— Och, nie pamiętam. Ale wybaczyłam ci ze względu na twój wygląd. Jesteś śliczny, wiesz?

Jeśli chcecie, aby Wiedeń spełnił wasze romantyczne oczekiwania, prosto z lotniska jedźcie do Café Landtmann. Są tu marmurowe stoliki, pluszowe fotele, okna od podłogi do sufitu i gazety ze wszystkich interesujących stron świata. Jest to, co prawda, jeden z tych lokali, do których ludzie przychodzą, żeby gapić się na innych, ale przy rozmiarach kawiarni nie ma to znaczenia.

Usiedliśmy przy oknie i przez chwilę rozglądaliśmy się w milczeniu po sali, po czym przemówiliśmy jednocześnie.

— In. . .

— Kto był. . .

— Mów.

— Nie, ty mów, Joe. Ja chciałam tylko popaplać.

— Dobrze. Jesteś w nastroju do rozmowy? Chcę ci powiedzieć coś ważnego.

Pochyliła głowę, ustępując mi pola. Nie miałem pojęcia, czy jest to odpowiedni moment, aby przedstawić Karen Mack, ale musiałem to zrobić.

— Indio, kiedy byłem w Nowym Jorku, miałem kogoś.

— Domyślałam się tego, widząc, jak się zachowujesz od powrotu. Kogoś starego czy kogoś nowego?

— Kogoś nowego.

— Och, nowe są najgroźniejsze, prawda? Zanim przejdiesz dalej, powiedz mi, jak ma na imię.

— Karen. Czemu?

— Karen Czemu. Jest Chinką?

Pomimo wagi chwili, wybuchnąłem śmiechem. Kręciłem głową i nie mogłem się uspokoić. Potem przyniesiono nasze ciastka i zajęliśmy się porównywaniem, czyje jest lepsze oraz kogo oszukano, dając mu mniejszy kawałek.

— No to mów dalej o Karen, Joe. Nie jest Chinką i jest nowa.

— Dlaczego spytałaś, jak ma na imię?

— Bo lubię znać imię wroga, zanim przystąpię do ataku. Opowiedziałem jej z grubszą całą historię. India milczała, dopóki nie skończyłem.

— Spałeś z nią?

— Jeszcze nie.

— Więż duchowa.

Wzięła widelczyk i rozgniotła pół swojego ciastka. Gdy znów się odezwała, nie patrzyła na mnie. Dalej maltretowała ciastko.

— Dlaczego wróciłeś?

— Dlatego, że jesteś moją przyjaciółką, i dlatego, że czuję się do winy.

— Zero miłości, Joey?

— To znaczy?

— Czy twój powrót miał coś wspólnego z miłością do mnie?

Pochyliła głowę. Zobaczyłem staranny, równy przedziałek w jej włosach.

— Oczywiście, Indio. Nie jestem. . .

Podniosła na mnie wzrok.

— Kim nie jesteś?

— Nie jestem tak dobrym człowiekiem, żeby wrócić, gdybym cię nie kochał. Czy brzmi to logicznie?

— Tak, chyba tak. Jakie mam wobec niej szansę?

Zamknąłem oczy i potarłem twarz dłońmi. Kiedy je opuściłem i spojrzałem na Indię, na jej twarzy malował się wyraz najwyższego osłupienia. Patrzyła ponad moim ramieniem, a ręce, które opierała o stolik, drżały. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, co ją tak zdumiało. Przez kawiarnię szedł ku nam Paul Tate ubrany w swój piękny czarny płaszcz.

— Cześć, dzieciaki, można się przyłączyć?

Usiadł obok żony i ucałował jej dłoń. Potem wyciągnął rękę nad stołem i delikatnie pogłaskał mnie po policzku. Jego palce były ciepłe jak grzanka.

— Minęło dużo czasu, odkąd byłem tu ostatni raz. Tuż przed twoim wyjazdem do Frankfurtu, Joey.

Powiódł dookoła tklwym spojrzeniem. To był Paul. To był zmarły Paul Tate. Siedział przy stoliku naprzeciwko mnie.

— „Zastanawiacie się pewnie, po co was tu dziś zebrałem...” Nie będę dłużej milczał.

— Paul?

Głos Indii brzmiał jak kurant małego zegara grający w pokoju oddalonym o całe mile.

— Pozwól, kochanie, że powiem, co mam do powiedzenia, a wszystko zrozumiesz. — Przygładził włosy jednym energicznym ruchem ręki. — Miałaś rację, Indio. Cały czas miałaś rację. Kiedy umarłem, nie wiedziałem, czy zabiło mnie moje serce, czy wy dwoje. Ale to już nie ma znaczenia. Jest po wszystkim. Moje sztuczki też się już skończyły. Nie będzie więcej Brzdąca, nie będzie ptaków, nie będzie białych bokserów... Koniec. Zdradziliście mnie, co jest niewybacalne, ale powodem było to, że się kochacie. Wreszcie jestem o tym przekonany. Teraz widzę, że to prawda.

Wymieniliśmy z Indią ukradkowe spojrzenia, ciekawi swoich reakcji na te słowa — zwłaszcza w świetle tego, o czym rozmawialiśmy, nim Paul się zjawił.

— Kochałem Indię i nie mogłem uwierzyć, że to zrobiła. Widzisz, Joe, ona jest naprawdę wierna, niezależnie od tego, jak to teraz wygląda. Pamiętaj o tym. Jeśli kogoś kocha, to bez reszty. Kiedy zrozumiałem, co się stało, chciałem was oboje zabić. Ironia losu, sam umarłem. Śmierć okazała się czymś innym niż myślałem. Pozwolił mi wrócić i zemścić się na was, i skorzystałem z tej szansy. Oj, bracie, jeszcze jak skorzystałem! Z początku nawet nieźle się bawiłem, patrząc, jak biegacie, dranie, w kółko, naprawdę przerażeni. Ale ty, Joe, wciąż ją chroniłeś. Nadstawiałeś głowę tak nieostrożnie, że dziesięć razy mogłem ci ją uciąć. Zachowywałeś się jak należy i po jakimś czasie, z wielkim bólem, uświadomiłem sobie, jak bardzo ją kochasz. Nie musiałeś wracać z Nowego Jorku, ale wróciłeś. To, jak obroniłeś ją przed psem. . . Zrozumiałem, że kochasz ją całym sercem, i byłem zdumiony. Zdałeś ten egzamin, jeśli można to tak nazwać, na piątkę z plusem. Przekonałeś nawet mnie. Więc nie będzie więcej Brzdąca. Zmarły da wam już spokój. Żegnajcie.

Wstał, zapiął płaszcz pod szyję i puściwszy do nas oko, zniknął z naszego życia.

Rozdział 6

Jedna z naszych słynnych rodzinnych historii brzmi mniej więcej tak: tuż po śmierci matki mojego ojca moja matka zmusiła nas wszystkich do wyjazdu na piknik pod Niedźwiedzią Górę. Chciała zająć czymś ojca, a wiedziała, że uwielbia pikniki. Ross w ostatniej chwili oświadczył, że nie jedzie, ale parę klapsów i wszeptanych w ucho obietnic sprawiło, że zmienił zdanie, i w końcu zjadł więcej pieczonego kurczaka i sałatki ziemniaczanej niż ktokolwiek z nas. Po posiłku poszedłem z ojcem na spacer. Okropnie się o niego martwiłem i wciąż się zastanawiałem, jak mógłbym złagodzić

jego ból. Miałem pięć lat i niewiele umiałem powiedzieć, tym bardziej we właściwy sposób, kiedy więc wpadłem na ten pomysł, byłem podniecony i dumny z siebie.

Usiedliśmy na dwóch pniakach i wziąłem go za rękę. Miałem mu coś do powiedzenia!

— Tatusiu? Nie powinieneś tak się smucić, że babcia nie żyje. Wiesz dlaczego? Bo jest teraz z naszym Wielkim Ojcem, tym, który troszczy się o wszystkich. Wiesz, kto to jest, tatusiu? Mieszka wysoko w niebie i nazywa się G-Ó-B.

Po tym spotkaniu w kawiarni długo się zastanawiałem, gdzie Paul przebywa. Jeśli powiedział prawdę, dokąd idziemy po śmierci? Byłem pewien jednego — po tej drugiej stronie też trzeba dokonywać wyboru i sprawy są o wiele bardziej skomplikowane, niż sądzimy. Kiedy siedział z nami przy stoliku, nie przyszło mi do głowy, żeby go o to spytać, ale później uświadomiłem sobie, że pewnie i tak by mi nie powiedział. Taki już był.

G-Ó-B. Żałowałem, że nie miałem okazji opowiedzieć mu tej historii.

Rozdział 7

— Gdzie jest pióro Paula?

Stała w drzwiach mojego mieszkania, purpurowa z wściekłości.

— Może wejdiesz?

— Wzięłeś je, prawda?

— Tak.

— Byłam tego pewna, ty złodzieju. Gdzie ono jest?

— Na moim biurku.

— Przynieś mi je.

— Dobrze, Indio. Uspokój się.

— Nie chcę się uspokoić. Chcę mieć to pióro.

Poszła za mną do pokoju. Było mi głupio i czułem się winny. Winny jak dziesięcioletek. Głowę rozsadały mi sprzeczne myśli i uczucia. Paul odszedł, ale co to właściwie znaczyło? Mogłem wyjechać. Spełniłem swój obowiązek wobec Indii. Czy było kiedyś coś prostszego? Nie odpowiedziałem na jej pytanie o „szansę” wobec Karen. Gdyby Paul nadal ingerował w nasze życie, jeszcze długo nie musiałbym na nie odpowiadać. Teraz jednak powinienem.

— Dawaj! Dlaczego je w ogóle ukradłeś?

Włożyła pióro do kieszeni i poklepała je parę razy, jakby chciała się upewnić, że tam jest.

— Chyba dlatego, że należało do Paula. Wziąłem je tuż po jego śmierci, zanim cokolwiek zaczęło się dziać. Jeśli ma to jakieś znaczenie.

— Mogłeś poprosić.

— Masz rację, mogłem poprosić. Chcesz usiąść albo coś w tym rodzaju?

— Nie wiem. Chyba nie za bardzo cię dzisiaj lubię. Co zamierzasz teraz zrobić? Jakie masz plany? Mogłeś zadzwonić, wiesz?

— Indio, nie tak ostro. Przyhamuj.

Karen w Nowym Jorku; pięćdziesięcioprocentowa szansa, że ją odzyskam, jeśli wyjadę natychmiast. India w Wiedniu; wolna, samotna i zła. Zła, ponieważ zdradziła dla mnie miłość swego życia. Zła, ponieważ myślała, że wróciłem do niej z najszlachetniejszych pobudek na świecie, a dowiedziała się, w najgorszym możliwym momencie, że zrobiłem to w dziewięćdziesięciu procentach z obowiązku i tylko w dziesięciu z miłości. Zła, ponieważ jej zdrada pociągnęła za sobą śmierć, ból i strach, a i przyszłość obiecywała jej niewiele ponad ciągłe wyrzuty sumienia i nienawiść do samej siebie.

Patrzac teraz na nią, wiedziałem o tym wszystkim i nagle doznałem iluminacji. Zrozumiałem, że cokolwiek się zdarzy, zostanę z nią tak długo, jak długo będę jej potrzebny. Ciąg obrazów Karen: w łóżku, przed ołtarzem, wychowującej i kochającej j e g o dzieci, śmiejącej się z j e g o żartów, przesunął mi się przed oczami i zniknął, i powiedziałem sobie, że muszę uwierzyć, iż nie ma to już znaczenia. India mnie potrzebowała

i gdybym ją teraz zawiódł, reszta mojego życia byłaby całkowicie fałszywa i samolubna, nie do wybaczenia.

Nie było to poświęcenie ani altruizm, ani nic równie pięknego. Po prostu, trzeci czy czwarty raz w życiu, postąpiłbym właściwie, i to było dobre. Uświadomiłem sobie, jak naiwni i niemądrzy są ludzie, którzy sądzą, że można być jednocześnie uczciwym i szczęśliwym. Jeśli ci się to uda, naprawdę należysz do wybrańców losu. Jeśli jednak masz powziąć decyzję, powinno wygrać to, co właściwe. Odkąd te myśli przedelfilowały mi przez głowę, dużo się wydarzyło, ale nadal wierzę, że to prawda. Jest to jedna z niewielu rzeczy, w które w ogóle jeszcze wierzę.

— Joe, pewnie niedługo wyjedziesz, więc chcę ci coś powiedzieć. Chciałam ci to powiedzieć od dawna i chyba wreszcie powinnam, bo jest to ważne, a niezależnie od tego, co z nami będzie, wciąż kocham cię na tyle, żeby chcieć ci pomóc.

— Indio, czy mogę coś powiedzieć pierwszy? Myślę, że może to mieć pewien związek z . . .

— Nie, zaczekaj, aż skończę. Znasz mnie. Cokolwiek powiesz, może mnie zbić z tropu, a jestem na ciebie wystarczająco wściekła, żeby machnąć na wszystko ręką, więc daj mi mówić, dobrze?

— Dobrze.

Spróbowałem się uśmiechnąć, ale zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. Żadnych uśmiechów. Usiadłem wygodnie, myśląc: niech się wścieka, ciągle mam asa w rękawie. Ależ będzie zaskoczona!

— Pióro jest częścią tej sprawy. Wiem, dlaczego je zabrałeś. Bo należało do Paula i chciałeś mieć pamiątkę jego magii. Zgadza się? To cały ty, Joe. Pożądasz magii innych ludzi, ale jesteś zbyt wielkim mięczakiem, żeby o nią walczyć, więc kradniesz pióro Paula, sypiasz ze mną. . .

— Indio, na litość boską!

— Zamknij się. Sypiasz ze mną. . . Ukradłeś nawet życie swojego brata, przelałeś je na papier i zarobiłeś milion dolarów. No dobrze, może nie milion, ale na pewno tyle, że nie musisz się już o nic martwić. Prawda? Jesteś zdolny, Joe, nikt temu nie przeczy, ale czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że być może twoim największym talentem jest

umiejętność podkradania magii innych ludzi i wykorzystywania jej do własnych celów? Zaczekaj, chcę ci coś przeczytać.

Nie wierzyłem własnym uszom. Zdumiony i zraniony bardziej niż kiedykolwiek w życiu, patrzyłem, jak wyciąga z tylnej kieszeni džinsów jakąś kartkę.

— To cytat z pisarza Evana Connella. Znasz go? Posłuchaj chwilę. „Autentyki pociągają nas również z innej przyczyny, sięgającej prehistorycznych wierzeń w magiczne właściwości rzeczy. Gdy posiadamy coś autentycznego, czy będzie to czaszka, czy pukiel włosów, autograf czy rysunek, sądzimy, że uda nam się również osiąść jakąś cząstkę mocy lub jakąś cechę osoby, do której dany przedmiot należał lub która go zrobiła”.

Odłożyła kartkę na stolik i wystawiła palec w moją stronę.

— To ty, Joe, i w głębi duszy dobrze o tym wiesz. Długo łamałam sobie nad tym głowę. Jedyne słowo, jakie przychodzi mi na myśl, to pasożyt. Nie bardzo szkodliwy, ale pasożyt. Dwóch ludzi, których najgoręcej kochałeś i podziwiałeś — Ross i Paul — tak cię oczarowało swoją magią, że postanowiłeś osiąść jakąś jej część. Po śmierci brata ukradłeś jego historię i udało się! Kiedy w twoim życiu pojawił się Paul, ukradłeś

jego żonę, ukradłeś jego pióro... Rozumiesz, o co mi chodzi, Josephie? Jezu, czemu nazywam cię Josephem? Wiesz, dlaczego ze mną zostaniesz? Bo mogę jeszcze mieć trochę magii Paula, a ty nie potrafisz bez magii żyć. A może zresztą wyjedziesz, bo twoja Karen dysponuje świeżym zapasem i zadba o to, żebyś miał stale pełny bak. Nie jest to ładne sformułowanie, ale oddaje istotę rzeczy. Przykro mi, że wbijam ci te wszystkie szpile naraz, ale taka jest prawda. To tyle. Powiedziałam swoje. Chcesz teraz porozmawiać?

— Nie. Chyba będzie lepiej, jeśli sobie pójdiesz.

— Jak chcesz. Przemyśl to. Dobrze to przemyśl. Zanim przyjdiesz, żeby mi przyłożyć, rozbierz to na części i złóż z powrotem. Będę w domu.

Po tych słowach wstała i wyszła.

* * *

Resztę popołudnia przesiedziałem w fotelu. Patrzyłem na podłogę, wyglądałem przez okno. Jak ona śmiała?! Co takiego jej zrobiłem, żeby zasłużyć na te słowa? Po prostu byłem szczery, a odwzięczyła mi się, przecinając mnie na pół tępym nożem.

A gdybym był szczery całkowicie? Gdybym jej powiedział, że kocham inną i że zamierzam z nią zostać wyłącznie z poczucia obowiązku? To była pierwsza część moich popołudniowych myśli, nosząca tytuł „Urażone ego”. Część, w której rzeczywiście chciałem jej przyłożyć za to, że miała czelność powiedzieć mi. . .

Prawdę? Czy to tej prawdy szukałem, odkąd umarł mój brat, czy też uciekałem przed nią, ile sił w nogach? Wziąłem kartkę z cytatem z Connella i przeczytałem go kilka razy.

Słońce przetoczyło się po niebie, cienie w mieszkaniu zmieniły kształt. Byłem gotów przyznać Indii rację w jednym — wykorzystałem śmierć Rossa. Ale czy nie tak powinien postępować pisarz? Sięgnąłem do własnych doświadczeń i spróbowałem wydobyć z nich jakiś sens na papierze. Jak mogła mnie za to winić? Czy nadal by mnie potępiała, gdyby moje opowiadanie nie posłużyło za kanwę głośnej sztuki? Gdyby pozostało ćwiczeniem na kurs pisarski w college’u? Czy może wtedy wszystko byłoby w porządku?

Zazdrościła mi. Tak, to o to chodziło! Zazdrościła mi pieniędzy i sukcesów, była rozgoryczona, bo odciągnąłem ją od Paula, a potem, gdy niebezpieczeństwo minęło, dałem jej do zrozumienia, że już jej nie chcę. Ona przegrała, ja wygrałem i. . . Choćbym

nie wiem jak się starał, nie mogłem jej ubrać w ten kostium. Nie była typem zazdrośnicy ani nie uschłaby z rozpaczy, gdybym ją opuścił. Wiedziałem, że jest dostatecznie twarda, aby przetrwać wszelkie nawałnice, i nie byłem na tyle zarozumiały, aby myśleć, że moje odejście by ją zabiło. Cierpiałyby i czuła się winna, owszem, ale nie do końca życia.

Druga część popołudniowych objawień niejakiego Josepha Lennox, pisarza i pasażerka.

Kiedy zrobiło się ciemno, poszedłem do kuchni i otworzyłem puszkę zupy. Dalej nic nie pamiętam, do momentu, gdy uświadomiłem sobie, że właśnie pozmywałem naczynia po kolacji. Jak lunatyk wróciłem na fotel na kolejną turę rozmyślań.

Czy od dnia, gdy popchnąłem Rossa, moje życie, całkiem przecież udane, toczyło się samoczynnie? Czy było to możliwe? Czy można tak długo funkcjonować w takiej próżni, nawet o tym nie wiedząc? To nie mogła być prawda. Spójrzcie, ile przez ten czas dokonałem! Ile miejsc zwiedziłem, ile. . .

W mieszkaniu po drugiej stronie podwórza błysnęło światło i nagle zrozumiałem, że India miała rację, choć nie całkiem. To nie magię próbowałem wyssać z innych ludzi, tylko radość życia, której, wiedziałem o tym, nigdy nie będę miał.

Radość życia. Oto, co łączyło Rossa i Paula Tate'a, jak również Indię i Karen. Jeśli tym właśnie jest „magia”, India zbyt nisko się oceniła, nie biorąc pod uwagę własnej. Rzeczywiście pożądałem tego, co cechowało ich wszystkich — umiejętności życia na dziesiątkę w dziesięciostopniowej skali tak długo, jak tylko to możliwe. Ja sam zawsze wybierałem trójkę albo czwórkę, ponieważ bałem się większych liczb.

Ross zaglądał życiu prosto w twarz i wciąż wyzywał je na pojedynek. Paul i India rzucali się w nie na oślep, bez lęku, ponieważ wychodzili z założenia, że cokolwiek się stanie, będzie interesujące. Karen kupowała ci kowbojskie buty, ponieważ cię kochała. Zachwycała się światłem przenikającym kieliszek z czerwonym winem i płakała na starych filmach, bo powinno się na nich płakać.

Radość życia. Ukryłem twarz w dłoniach i wybuchnąłem łkaniem. Nie mogłem się uspokoić. Tyle rzeczy robiłem źle; błędnie oceniałem odległości, temperatury i uczucia, łącznie z własnymi, i wreszcie zrozumiałem dlaczego. Płakałem, i nawet to nie przy-

nosiło mi ulgi, gdyż wiedziałem, że nigdy nie będę miał w sobie radości życia. Ból rozdzierał mnie na strzępy.

Co mogłem zrobić? Musiałem porozmawiać z Indią. Musiałem jej to wszystko powiedzieć, łącznie z prawdą o śmierci Rossa. Była dobrym psychologiem — rozszyfrowała mnie niemal bezbłędnie, a ilu rzeczy nie wiedziała! Nawet jeśli miałyby uznać, że znów ją wykorzystuję, chciałem usłyszeć, co według niej powinienem zrobić, teraz, kiedy wyszło szydło z worka, kiedy musiałem zdecydować, jak mam przeżyć resztę życia.

Wycierając nos w rękaw, zacząłem się śmiać. Przypomniałem sobie zabawny plakat, który widziałem przed laty w aptece i który wydał mi się wówczas wyjątkowo banalny i obraźliwy: *Dzisiaj jest pierwszym dniem reszty twojego życia*. Nic bardziej prawdziwego.

— India? Tu Joe. Mogę przyjść pogadać?

— Jesteś pewien, że tego chcesz?

— W stu procentach.

— Dobrze. Mam włożyć rękawice bokserskie?

— Nie, po prostu bądź w domu.

Wziąłem prysznic i starannie wybrałem ubranie. Chciałem dobrze wyglądać, ponieważ chciałem, żeby wszystko było dobre. Włożyłem nawet krawat, który wisiał w szafie od roku, bo uważałem, że jest za drogi, aby go nosić. Kiedy byłem gotów, stanąłem w drzwiach i rozejrzałem się szybko po mieszkaniu. Było czyste i schludne, uporządkowane. Może kiedy wrócę, również w moim życiu będzie panował porządek. Miałem szansę, realną szansę, wszystko naprawić, i dziękowałem za nią Bogu.

Było mi tak spieszno, aby powiedzieć Indii o tym wszystkim, że wziąłem taksówkę. I podobnie jak wcześniej z kolacją, pochłonięty myślami nawet się nie zorientowałem, kiedy dotarłem na miejsce; kierowca musiał dwa razy prosić o swoje osiemdziesiąt szylingów. Wyjąłem klucze, które mi dała, i otworzyłem drzwi budynku. Uderzył mnie zapach kurzu i zimnego kamienia, ale nie zważając na to, ruszyłem po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

— Dwa-na-raz. Dwa-na-raz — zaskandowałem w rytm moich kroków i zacząłem liczyć stopnie. Nigdy przedtem tego nie robiłem. Trzydzieści sześć. Dwanaście i podest, dwanaście i podest. . . — Dwanaście-i-podest!

Dotarłem na jej piętro zdyszany, ale tak podniecony, że mógłbym wyważyć drzwi. India wołała, abym używał swojego klucza, bo ilekroć dzwoniłem, była w łazience albo wyjmowała suflet z piekarnika, i kiedy mi otworzyła, natychmiast wracała biegiem do czynności, którą jej przerwałem. Wszedłem więc do środka i ze zdumieniem stwierdziłem, że w mieszkaniu jest zupełnie ciemno.

— Indio?

Zajrzałem do salonu, który rozjaśniało jedynie blade światło księżyca. Nie było jej tutaj.

— Indio?

Pusta kuchnia. Pusty korytarz. Zbity z tropu ciemnością i ciszą, pomyślałem, że musiało stać się coś złego. Takie numery nie były w jej stylu. Miałem już zapalić światło, gdy przypomniałem sobie o sypialni.

— Indio?

Światło z ulicy rzucało paski na łóżko. Zobaczyłem ją od drzwi, leżącą plecami do mnie. Do pasa była naga, jej ciało wyglądało jak ulepione z miękkiej, jasnej gliny.

— Hej, co jest grane?

Zrobiłem kilka kroków i przystanąłem. Nie poruszyła się.

— Indio?

— Pobaw się z Brzdącem, Joey.

Odezwał się za mną. Znajomy, kochany głos, który przejął mnie okrutnym, pulsującym dreszczem. Bałem się odwrócić, ale nie miałem wyjścia. Był tam. Brzdąc. Był za mną.

Odwróciłem się. Paul stał w drzwiach, oparty o futrynę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Spod pach sterczały mu koniuszki białych rękawiczek, cylinder miał przekrzywiony. Tancerz wśród nocy.

Przykucnąłem jak dziecko. Nie miałem dokąd uciec. Niżej. Jeśli schylę się niżej, nie zobaczy mnie. Ukryję się przed jego wzrokiem.

— Pobaw się z Brzdącem, Joey!

Zdjął cylinder i powoli, jak somnambulik, ściągnął twarz Paula Tate'a z własnej: z szyderczo uśmiechniętego oblicza Bobby'ego Hanleya.

— Prima aprilis, łajzo.

— Joe?

To India zawołała z łóżka i niczym wąż na dźwięk fujarki zaklinacza, odwróciłem się. Siedziała teraz przodem do mnie, nienaturalnie jasne światło oblewało jej nagą postać. Sięgnęła ręką za głowę i szybkim, gwałtownym ruchem zdarła swoje włosy i twarz.

Ross.

Skąd wzięłem siłę, nie wiem, ale zerwałem się na równe nogi i odepchnąwszy Bobby'ego, wybiegłem z mieszkania.

Pędziłem tak szybko, że pośliznąłem się na pierwszych stopniach i omal nie upadłem, ale chwyciłem za metalową poręcz i odzyskałem równowagę. Wyleciałem na ulicę. Prędeż, prędeż, prędeż.

Co mam zrobić? Dokąd uciec? Bobby, Ross, Paul, India. Moje stopy zdawały się wystukiwać te imiona, gdy biegłem przed siebie, byle dalej, szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Gazu! Zatrąbił klakson i musnąłem dłonią zimny metal maski samochodu. Zaskowyczał pies, którego kopnąłem w przelocie. Oburzony krzyk właściciela. Następny klakson. Dokąd biegnę? Ross. To jego sprawka.

Karen! Dotrzeć do Karen! Ta myśl rozbłysła mi w głowie. Dar od Boga. Dotrzeć do Karen! Dostać się do Nowego Jorku. Uciec i dotrzeć do Karen, bo tam jest miłość

i prawda, i światło. Karen. Ona mnie ocali. Po raz pierwszy obejrzałem się lękliwie do tyłu, żeby sprawdzić, czy mnie nie gonią. Nie gonili. Dlaczego? Dlaczego pozwolili mi uciec? Wszystko jedno. Dziękowałem za to Bogu, dziękowałem Mu za Karen. Biegłem i modliłem się i nagle wszystko pojąłem — całą grę Rossa. Pojąłem tak wyraźnie, że ledwo zdołałem utrzymać równowagę. Chciałem położyć się na chodniku i umrzeć. Była jednak Karen. Mój azyl.

Powoli rozjaśniało mi się w głowie. Zauważyłem, że jestem w pobliżu stacji kolejki miejskiej, której trasa biegnie obok hotelu Hilton. Mogłem pojechać do Hiltona i tam złapać autobus na lotnisko. Nie przestając biec, pomacałem tylną kieszeń spodni, żeby sprawdzić, czy mam portfel z pieniędzmi i kartami kredytowymi. Miałem. Hilton, autobus na lotnisko, pierwszy samolot, dokądkolwiek, a stamtąd połączenie do Nowego Jorku. Do Karen.

Cieężko dysząc, dobiegłem do stacji i znów pokonałem schody, biorąc po dwa stopnie naraz. Na peronie nie było nikogo, co prawdopodobnie znaczyło, że pociąg niedawno odjechał. Zacisnąłem i rozwarłem pięści, przeklinając pociągi, Rossa, życie. India była

Rossem. Kochałem własnego brata. I kochałem się z ni m. Genialne. Po prostu, kurwa, genialne.

Chodziłem tam i z powrotem po peronie, wypatrując pociągu, próbując zmusić go do przyjazdu siłą woli. W pewnej chwili obejrzałem się ku schodom. Były puste. Dlaczego? Kiedy to pytanie zaczęło napęłniać mnie lękiem, w dali błysnęły światła pociągu. Byłem uratowany. Gdy światła urosły, na schodach zastukały czyjeś kroki. Były powolne i ciężkie, zmęczone. Światła rosły coraz bardziej, kroki się zbliżały. Pociąg wtoczył się z hałasem na peron i stanął. Kroki umilkły. Wagon, który zatrzymał się przede mną, był zupełnie pusty. Podeszedłem do drzwi i już miałem je otworzyć, gdy usłyszałem:

— Josephie?

Odwróciłem się. To była Karen. Moja Karen.

— Pobaw się z Brzdącem!

Ross.

EPILOG

Formori, Grecja

Wyspa liczy stu mieszkańców. Turyści jej nie odwiedzają, bo jest brzydkim, skalistym miejscem, nie odpowiadającym ich wyobrażeniom o Grecji. Najbliższą sąsiadkę, Krete, dzieli od nas siedemnaście godzin morskiej podróży. Nie licząc załogi łodzi dostawczej, która przy pływa mniej więcej co dwa tygodnie, rzadko widzimy obcych. I tak jest dobrze.

Mój dom jest kamienny i skromny. Stoi sześćdziesiąt metrów od morza. Przy drzwiach mam drewnianą ławkę, na której przesiaduję godzinami. Jest to przyjemne.

Płacę dobrze, więc co wieczór przynoszą mi na kolację jagnięcinę i ryby, czasem kałamarnice albo nawet wielkie czerwone homary, którymi mogłyby się najeść trzy osoby. Kiedy jest ładnie, siedzę na dworze, ale nadchodzi jesień i często zrywają się sztormy. Są gwałtowne i długie. Nie ma to jednak znaczenia. Kiedy jest brzydko, rozpalam w domu ogień, gotuję, jem i słucham deszczu i wiatru. Mój dom, moja ławka, wiatr, deszcz, morze. Im mogę ufać. I tylko im.